

ANALIZA POLITYCZNA „DO RZECZY”

Braun czy Mentzen z Bosakiem?
Obie strony zyskują na rozejściu

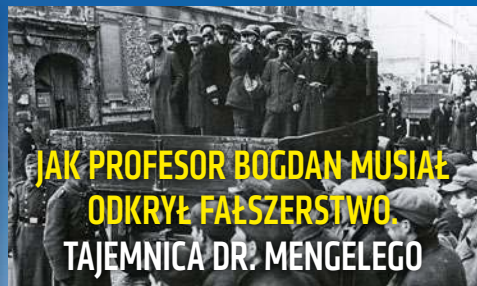


TYGODNIK LISICKIEGO

NR 36/645 1-7 WRZEŚNIA 2025
CENA 13,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Czy USA zostaną jedynym
hegemonem? Profesor Wielomski
o nowym układzie globalnym



JAK PROFESOR BOGDAN MUSIAŁ
ODKRYŁ FAŁSZERSTWO
TAJEMNICA DR. MENGELEGO

Masłoń żegna Stanisława Soykę



DZIURAWE NIEBO NAD POLSKĄ

Czy nasze państwo jest gotowe na nowy typ wojny?

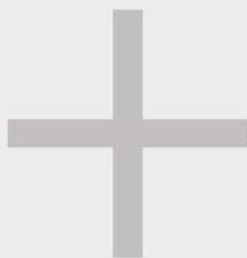


Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ABP FULTON J. SHEEN:
„DEKLARACJA PODLEGŁOŚCI”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~098~~ Zł

465,00 Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 533 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a2d4d28e41

Niezlomny apostoł wiatraków



PAWEŁ LISICKI

Inaczej, niż się spodziewałem, premier Donald Tusk na zwołanej przez prezydenta Karola Nawrockiego Radzie Gabinetowej się pojawił. Jednak, dokładnie tak jak przewidywałem, nie miał nic do powiedzenia. Starcie z prezydentem przegrał z kretesem.

Donald Tusk pozostaje mentalnie więźniem czasu, kiedy z tego typu konfrontacji w latach 2007–2010 – wówczas głową państwa był śp. Lech Kaczyński – wychodził zwycięsko. Wtedy dysponował jednak praktycznie monopolem medialnym. Teraz wszystko się zmieniło. Propagandowy przekaz PO dociera tylko do części elektoratu. Poza tym inaczej niż w latach 2007–2010 to obecny prezydent ma większy i silniejszy mandat demokratyczny niż premier. Wtedy Donald Tusk mógł twierdzić, że skoro został wybrany na premiera później niż śp. Lech Kaczyński, to blokowanie jego polityki jest sprzeczne z zasadą demokratyczną. Dziś sytuacja jest odwrotna. W końcu ponad 50 proc. wyborców zagłosowało za programem Karola Nawrockiego i przeciw polityce rządu Tuska.

Co zatem miał do powiedzenia premier? Najbardziej osobliwą częścią jego wystąpienia, w czasie którego próbował przejąć inicjatywę i dowieść, że to on, a nie prezydent, jest głównym rozgrywającym, były, o dziwo, słowa o wiatrakach. – Ja mam dobrą wiadomość dla Polek i Polaków, złą dla pana prezydenta – powiedział szef rządu. – My i tak będziemy zwiększali, i to radykalnie, moc wiatraków na lądzie. Nie dlatego, że jesteśmy fanami wiatraków, tylko dlatego, że to jest na razie najtańsze i najszybsze w realizacji źródło prądu. Te wiatraki będą powstawały i znaleźliśmy sposoby, aby mocą rozporządzenia zintensyfikować

to działanie. Więc weto będzie tutaj mało skuteczne – dodał Tusk.

Słowa te zasługują na uwagę z kilku powodów. Po pierwsze, premier (któryś już raz z rządu) deklaruje, że obowiązujące w Polsce prawo w ogóle go nie interesuje. Wprawdzie zgodnie z konstytucją prezydent ma prawo weta, ale – jak zasugerował szef rządu – on będzie je omijał. On będzie „przy pomocy rozporządzeń intensyfikował” działania, które weto miało zablokować. Trudno o bardziej jaskrawy przykład lekceważenia i bimbania sobie na prawo. On, Tusk, deklaruje: mnie prawo nie obowiązuje. Prezydent może sobie wetować, a my i tak zrobimy swoje. To ci dopiero obrońca praworządności.

Jednak niezależnie od okazywanej przez Tuska pogardy dla prawa ważniejsze jest co innego. Tego rodzaju postawa – i tak zrobię, co chcę, a weto mnie nie interesuje – mogłaby być politycznie skuteczna jedynie wówczas, gdyby Donald Tusk wybrał inne pole walki. Gdyby obojęcie weta mogło zostać uznane za społecznie pożyteczne. Tymczasem opowieść o tym, że „Polki i Polacy” nie marzą o niczym innym niż o uszczęśliwieniu ich wiatrakami, brzmi groteskowo. Pytanie, co się stało ze słuchem społecznym premiera? Czy on naprawdę wierzy w to, co mówi? Czy chce pokonać Karola Nawrockiego, głosząc dobrą nowinę o powszechnym powstawaniu wiatraków i przesuwanie ich bliżej zwykłych domów?

Podobnie osobliwie brzmi teza premiera, zgodnie z którą budowane wiatraki to „najtanie i najszybsze w realizacji źródło prądu”. Z kim on się pozamieniał na głowy? Wpychany nam siłą i podstępem przez Unię Europejską Zielony Ład, którego ważnym elementem jest uwiatrakowanie świata, jako rzekomo

najlepsza forma odnawialnych źródeł energii (OZE), okazuje się „najtanie i najlepszym źródłem energii”? Być może wytłumaczeniem jest to, że Tusk został uczniem minister środowiska, Pauliny Hennig-Kloski, według której weto prezydenta było wyrazem odrzucenia „woli obywateli”.

Tak, faktycznie, Polacy marzą o tym, żeby przy każdym domu stał gigantyczny słup wiatrakowy, i wierzą, że powstała w ten sposób energia jest tańsza niż klasyczna energia z surowców kopalnych. Tak, Polacy są ślepi i nie potrafią oceniać rzeczywistości. Nigdy nie słyszeli o blackoutach w państwach, które z dobrodziejstw wiatrakowych korzystają. Nie dotarła do nich wieść o zamykanych wielkich farmach wiatraków, o niebotycznych kosztach i kłopotach (nie do rozwiązania) z utylizacją przestarzałych turbin.

Przypomnę, że Karol Nawrocki zawetował ustawę, która m.in. miała obniżyć minimalną odległość nowych wiatraków od domów mieszkalnych z obecnych 700 metrów do 500 metrów. Słuchając Donalda Tuska i ministra Hennig-Kloski, można by dojść do przekonania, że nawet i ta granica – 500 metrów – jest niepotrzebna. Przecież skoro to tak wielkie dobro, to byłoby najlepiej, gdyby każdy mógł sobie postawić turbinę tak blisko domu, jak to tylko możliwe.

Żarty na bok. Tusk kolejny raz udowodnił, że jest reprezentantem interesów obcych, szkodliwych dla Polski. Na szczęście trafił na nowego prezydenta, który poważnie podchodzi do swoich obietnic. Dlatego, sądzę, posiedzenie Rady Gabinetowej, pierwsze zwołane przez Karola Nawrockiego, tylko przyspieszy upadek niewydolnego układu rządowego. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR WŁOCZYK

DZIURAWE NIEBO NAD POLSKĄ

Nie jesteśmy gotowi na konfrontację z Rosją

KRAJ

18 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE

MIEDZY UŁUDĄ A ZDRADĄ

Polska zawsze po stronie dobra? Za jaką cenę?

22 KACPER KITA

CUDOWNE ROZMNOŻENIE PRAWICY NIEPISOWSKIEJ

26 RADOŚLAW WOJTAS

TRZĘSIENIE ZIEMI W INSTYTUCIE PIŁECKIEGO

30 ŁUKASZ WARZECHA

PILNUJMY SWOICH PORTFELI

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

SZKOŁA IDEOLOGII

36 MICHAŁ MURGRABIA

UKRAJŃCY W CZOŁÓWCE PRZEMYŃNIKÓW

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

PAŁĘ BERLIN

Dziesięć najlepszych filmów o drugiej wojnie światowej

41 GRZEGORZ KONDRASIUŁ

SWINARSKI BIOGRAFICZNIE

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ

ŚLĄZAK Z SASKIEJ KĘPY. POŻEGNANIE STANISŁAWA SOJKI

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

50 ADAM WIELOMSKI

CZY USA ZOSTANĄ JEDYNYM HEGEMONEM?

Nowy koncert mocarstw

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

POLSKA NA KRAWĘDZI SAMOZAGŁADY

HISTORIA

56 ROZMOWA Z BOGDANEM MUSIAŁEM

PRAWDZIWYCH OFIAR NIE INTERESUJĄ GRATYFIKACJE FINANSOWE

Tajemnica dr. Mengelego

60 PIOTR GONTARCZYK

MASKI OPRAWCÓW NA TWARZACH OFIAR

ŚWIAT

64 ROZMOWA Z DECLANEM GANLEYEM

MUSIMY POWSTRZYMAĆ SAMOBÓJSTWO EUROPY

To ostatni moment,
aby ocalić Zachód

68 MACIEJ PIECZYŃSKI

JAK MOSKWA WALCZY Z IMIGRACJĄ

EKONOMIA

70 TOMASZ CUKIERNIK

PUŁAPKA KPO

Patologia funduszy europejskich



WAKACJE

74 CEZARY GMYZ

MAŁO ZNANE BOHATERSTWO PŁOCKA

Tratwą po Wiśle

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (i sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski (korespondent z USA), **Wiesław Chelminiak, Dominika**
Ćosić (Bruksela), **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarniecki, Wojciech Golonka,**
Ryszard Gromadziński, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir
Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzysztyniak,**
Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak,
Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniewicz, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska,
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz
Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sienkowski

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),

Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztofa**

Okładka: **Corona Borealis/Adobe Stock**

WYDAWCA: Do Rzeczy SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;

tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice
PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasypocztyta.pl,

www.pocztyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Z Cezarym Gmyzem tratwą po Wiśle

Pragnę serdecznie podziękować Panu Cezarowi Gmyzowi za wspnianiały i arcy-ciekawy cykl „Z Cezarym Gmyzem tratwą po Wiśle”. Mam 69 lat, dużo czytałam, dużo widziałam.

A tu dowiaduję się różnych ciekawych rzeczy o naszej pięknej rzece i miejscowościach wokół niej zgromadzonych.

Nie zapominam o innych dziennikarzach! Ponieważ od kilku lat „Do Rzeczy” i „Historię Do Rzeczy” czytam od deski do deski. Dziękuję całej Redakcji za interesujący tygodynik.

Z poważaniem
Barbara Józwiakowska,
Szczecin

Putin

Szanowni Państwo,
 wszyscy wiedzą, że prezydent Rosji to bandyta i rzeźnik, którego należy wdepnąć w ziemię i na którego można zrzucić

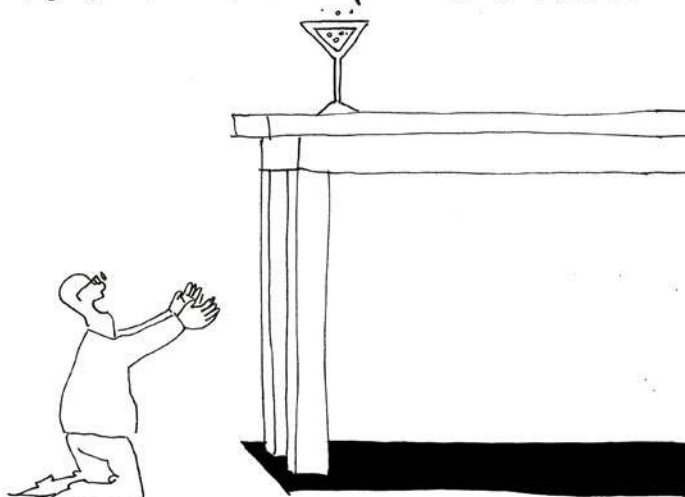
winę niemal za wszystko. Warto jednak zwrócić uwagę, że to właśnie dzięki niemu Europa może sobie spać snem niewinnego. Jednego dnia zakończył morderczą pandemię, z czym nie umiały sobie poradzić największe sławy medyczne. On, nie pani Merkel, wywołał kryzys migracyjny w Europie. Niestychane koszty życia i szalona drożyzna to skutek nie wariackiej polityki klimatycznej, tylko putinflacji. Za wysadzeniem Nord Stream 2 tudzież za licznymi podpaleniami i wyłączeniami prądu stoją służby rosyjskie. Jakby tego było mało, mówi się, że prezydent Trump to agent FSB, czyli znowu pewnie na Putina spadnie odpowiedzialność za podniesienie celi na europejskie towary. Chodzą słuchy, że banderowska burda na koncercie białoruskiego rapera to również rosyjska prowokacja.

To dzięki „bandycie” Putinowi Europa może spokojnie zajmować się zieloną energią, prawami zwierząt, przytwierdzaniem zakrętek do butelek, ujednoliceniem wejść USB, sprawami LGBT+, mową nienawiści i innymi równie ważnymi sprawami.

Żyć nie umierać z takim kozłem ofiarnym!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Dzięki KPO lud pije szampnę
 ustami swoich przedstawicieli



C E Z A R Y G M Y Z



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ci niewdzięczni Polacy

Nie po raz pierwszy odnoszę wrażenie, że zbiorowa akcja pomocy dla ukraińskich uchodźców w 2022 r. irytuje apostołów lewicowej pedagogiki wstydu. Zaprzecza wszelkim stereotypom o szowinizmie Polaków, ich ksenofobii i wrogości względem przybyszów z zewnątrz. Historyk Robert Herzyk przygotował dla „Krytyki Politycznej” tekst, który ma rozprawić się z pozytywnym mitem 2022 r. Główna teza: „Znajomość polskiej historii nie pozwala na samozadowolenie w kwestii naszej narodowej gościnności wobec przybyszów z innych państw. Prawda jest bowiem taka, że to nie my przyjmowaliśmy uchodźców – to nas przyjmowano”. A tytuł brzmi: „Prawda o polskiej (nie)gościnności. Pomoc ukraińskim uchodźcom to chlubny wyjątek w naszej historii”.

Autor rozpoczyna od udowadniania, że to inni nam pomagali, a my – nikomu. Wymienia Francuzów, którzy przyjmowali Polaków po powstaniu listopadowym, chwali Austro-Węgry za zgodę na masowy exodus biednych mieszkańców Galicji i Kongresówki na Górny Śląsk

i Śląsk Cieszyński, przypomina, jak to Iran przyjął w 1942 r. uchodźców, którzy wraz z armią Andersa wydostali się ze stalinowskiego piekła.

Po stronie polskiej zasadniczo nie dostrzega żadnej gościnności wobec innych. Nawet napływ Żydów na polskie ziemie traktuje z podejrzliwością. Zjadliwie wskazuje, że „w polskich środowiskach narodowych panuje przekonanie o naszej niezwykłej gościnności w stosunku do ludności żydowskiej, która znalazła w Polsce wręcz idealne warunki do życia i rozwoju kulturalnego oraz religijnego”. Natychmiast dodaje jednak, że bardzo szybko polskie miasta zaczęły wydawać przepisy zmuszające Żydów do zamieszkiwania w wybranych częściach miasta – gettach.

Co do innych przybyszów, którzy w ciągu kolejnych stuleci istnienia wolnej Rzeczypospolitej zasilali sobą wspólne państwo, zdobywa się jedynie na lakoniczną uwagę, że to żadne osiągnięcie, bo wiązało się to z ekspansją terytorialną dawnej Polski i Litwy. A po wojnie jedynym pozytywnym gestem było dla Roberta Herzyka przyjęcie greckich

komunistów, którzy musieli uciekać ze swojego kraju po porażce wojny domowej. Nie sposób znaleźć w tekście historyka ani słowa o przyjmowaniu szkockich jakobitów, których symbolem był rycerz Hassling-Ketling z „Pana Wołodyjowskiego” czy choćby uciekinierów z Węgier po nieudanych powstaniach (takich jak np. Franciszek II Rakoczy).

No ale co robić, jeśli ktoś chce ułożyć historię składającą się z udowadniania, że Polacy wiecznie przejawiali jak najgorsze skłonności. Teraz „Krytyka Polityczna” znowu będzie miała używanie. Obywatelskie patrole Ruchu Obrony Granic już są opisywane jako powrót starych tradycji pogromowych. A na to, że pozytywny stosunek do Ukraińców w czasie ich tragedii w 2022 r. był wynikiem bliskości kulturowej, o czym trudno mówić w wypadku przybyszów z Pakistanu czy Somalii, zapewne nie usłyszymy. Bo dla lewicy historia to wieczne uzasadnienie swoich utopii. A żeby podmiot poddawany reedukacji był posłuszny, musi najpierw uznać swoje grzechy z przeszłości. To całkiem prosta zasada. ©



PREZYDENT DYSCYPLINUJE RZĄD

Stan finansów publicznych, inwestycje rozwojowe oraz ochrona polskiego rolnictwa – to główne kwestie, o których rozmawiali w zeszłą środę podczas Rady Gabinetowej prezydent z członkami rządu. – Mam rekordowy wzrost gospodarczy, rekordowo niską inflację i rekordowo niskie bezrobocie – chwalił się Donald Tusk. – Premier często używał w swoim wystąpieniu przymiotnika „rekordowy”, ale wedle mojej wiedzy rekordowy to mamy deficyt, największy po 1989 r. – zauważył Karol Nawrocki. (jap) ©

Nadchodzi sezon burz. Niektóre już trwają, inne rozkręcą się w listopadzie. Na przykład wojna Szymona Hołowni z Włodkiem Sweterkiem Czarzastym o fotel marszałka Sejmu. Wielka bitwa odbędzie się jesienią, na razie słyszymy, że trwają ciche pertraktacje Szymka w sprawie jednorazowej większości, która go ocali. I nie mamy powodów, by sądzić, że się nie powiedzą.

Po rekonstrukcji burza trwa w Ministerstwie Rolnictwa, gdzie nowym szefem jest Stefan Krajewski, ale tak naprawdę za sznurki pociąga zza kulis weteran Marek Sawicki. Efekt jest taki, że jest czystka. Co ciekawe, jej ofiarą padają nie tylko ludzie związani z PeŁo, lecz także peezelowcy. To znaczy niewłaściwi peezelowcy. To znaczy ci związani z poprzednim ministrem.

Niemniej burzliwie jest w samym Peezelu, gdzie Władek Kosiniak-Kamasz robi wszystko, co może, żeby pozbyć się weterana Waldka Pawlaka. Nie wróżyśmy tej akcji powodzenia, nie tacy sobie na Waldku łamali zęby oraz przewodnictwo w partii.

Z kolei w prokuraturze nie sezon burz, tylko zwyczajna totalna rozpierducha. Właśnie jest rozwalany wydział do spraw przestępczości gospodarczej. Jeśli powiemy, że zwalczał on przestępczość VAT-owską, to chyba odpowiedź na pytanie, czemu to służy, nie będzie taka trudna.

Wnawiazaniu do poprzedniej notki z kronikarskiego obowiązku dodamy, że w przyszłorocznym budżecie przewidziano głębokie cięcia w dwóch służbach – Celno-Skarbowej i Więziennej. Nie uważamy tego za rozsądne, bo pamiętamy stary dowcip jeszcze z PRL, kiedy to ministra finansów zapytano: Dlaczego kosztem przedszkoli zwiększa fundusze na więziennictwo? „Słuchajcie, towarzyszu, do przedszkola to my już na pewno nie trafimy” – odpowiedział minister.

Tymczasem w Zabrzu. Najpierw odwołano panią prezydent z ramienia Koalicji Obywatelskiej, a następnie

nie wybrano na jej miejsce kolejnej kandydatki tej samej partii. Borys Borówka, kandydat PiS, nie wszedł jednak do drugiej tury i ma trochę żalu, bo podobno miał obieć wsparcie dwóch prezydentów Polski – byłego, czyli Andrzeja Sebastiana, oraz obecnego, czyli Karola Tadeusza. Tyle że obaj o tym zapomnieli. Ale Borówka nie jest w ciemni bity. W drugiej turze poparł niezależnego kandydata Żbikowskiego przeciw nowej pani z PO. I teraz, jak słyszeliśmy, ma zostać wiceprezydentem Zabrza.

PiS nie przejął się niskim wynikiem Borówki i ogłosił wielkie zwycięstwo oraz początek odbijania z rąk PO kolejnych miast. Na początek ma iść Kraków. Obecny władca miasta wspierany przez Platformę czuje zimny oddech niejakiego Łukasza Gibały na karku. I to do tego stopnia, że prezydent Miszański zaczął szukać specjalisty od PR, i to nie we własnym ratuszu, ale na tzw. rynku. Nie chodzi o rynek krakowski, lecz taki bardziej warszawski. Na razie na topie jest pewien były polityk z pewnym byłym dziennikarzem, którzy razem prowadzą agencję. Dodamy, że ów dziennikarz to człowiek, którego do mediów ogólnopolskich wprowadzał jeden z panów G. Zanim to się stało, ów człowiek robił w periodyku branży funeralnej o wdzięcznym tytule „Kultura Pogrzebu”. Prosimy, by w tym fakcie nie dopatrywać się żadnych cienkich aluzji.

Sprawy międzynarodowe. Bardzo zainteresowała nas odpowiedź polskiego MSZ na pismo z Watykanu, które było

odповідzią na pismo MSZ do Watykanu. Przypomnijmy: radkowcy sikorowcy piekli się, że biskupi Mering i Długosz krytykują rząd. I teraz będzie zabawnie: polskie MSZ się ucieszyło, że Watykan wyraża nadzieję, że komunikacja będzie przebiegać „w duchu konstruktywnego dialogu”. Nie powiedziano natomiast, czy się ucieszyło, że tenże Watykan chce jednak „pełnego poszanowania podstawowego prawa obywateli polskich do wyrażania swoich opinii, gwarantowanego przez Konstytucję”. W sumie my jesteśmy za skandowaniem w kościołach hasła: „kon-sty-tu-cja!”. Nie wiemy tylko, czy radkowcy są na to gotowi.

Berlin. Jak wiadomo, nową szefową lokalnego oddziału Instytutu Pileckiego została niejaką Joanna Kiliszek. Osoba większości nieznana, ale znana Panom G. A w szczególności jednemu. Otóż ów Pan G. pamięta panią Joannę w zamierzonych czasach, kiedy stała na czele Instytutu Polskiego w Berlinie. I tu mamy chwile zawahania, bo trudno nam określać ów instytut za jej rządów jako polski. Większość imprez w instytucie była bowiem poświęcona Żydom. Jeśli jeszcze dodamy, że w przytomności jednego z Panów G. pani Kiliszek w berlińskim kinie Babylon rzuciła się na szyję znanemu polonofobowi, którym jest Jan Grabowski, to nie zdziwi nas, jeśli Instytut Pileckiego zmieni nazwę na Instytut Netanjahu. Chociaż może jednak nie. Wszak Bibi jest przez lewactwo znienawidzony.

Sprawy personalne. Niemożliwe stało się możliwe. Otóż jednojąjowi bracia bliźniacy Michał i Jacek Karnowski nie tylko mają różne wizje rozwoju telewizji TylkoTuJestNajbardziejWPolsce24, lecz także na serio się pożarli i zerwali ze sobą stosunki. A będzie jeszcze ciekawiej. Stay tuned.

Prostuujemy i przepraszamy. Tydzień temu omyłkowo nazwaliśmy Agnieszkę Glapiak z KRRiT „Elżbietą Glapiak”, co jest oczywistą nieprawdą. Agnieszka to bowiem Agnieszka, a Elżbieta – Elżbieta. Za pomyłkę Elżbietę przepraszamy, nie była zamierzona. Agnieszkę zresztą też. Cenimy jedną i drugą. ©©



FOT. ROBERT CARZINSKI



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nie jeść bawełny

Miguel de Cervantes wielkim pisarzem był. I jak to wielcy pisarze – mocno wyprzedził epokę. Gdy kazał swemu bohaterowi walczyć z wiatrakami, współcześni, a przez wiele lat i potomni odbierali to jako, mówiąc potocznie, bekę z odklejonego od rzeczywistości rycerstwa. Tymczasem pięć stuleci później walka z wiatrakami okazuje się naprawdę wyzwaniem na miarę ocalenia świata.

Pocziwe wiatraki bowiem, z drewna i płótna, które przez stulecia mełły mąkę lub, czasem, produkowały kruszywa budowlane albo napędzały tartaki, zamienione zostały w potwory, destabilizujące zachodnie sieci energetyczne. Zasadą jest prosta: im więcej w „miksie

energetycznym” wiatru, tym energia per saldo droższa – dowodem Niemcy i Wielka Brytania, dwa kraje, które nabudowały najwięcej wiatrowych turbin i zarazem mają najdroższą energię. Niestety, pod obecnymi rządami ostro je gonimy – już w tej chwili zajmujemy pod względem uwiatrakowania szóste miejsce w Europie.

Co sprytniejsze kraje europejskie widząc bowiem, że wobec ideologicznego szaleństwa eurokracji (jak się można domyślać – przekupionej, bo przecież na wiatrakach ich producenci zarabiają miliardy) nie da się stawiania złomu uniknąć, przynajmniej nie podłączają go do sieci. Rok temu jedna z ekologicznych jacejek ujawniła, z oburzeniem oczywiście, że w Eu-

ropie bezużytecznie kręci się już turbin za 600 GW, które od lat nie są do krajowych sieci przyłączalne. Rzekomo poprzez bezmyślną biurokrację mnożącą wymogi. W istocie państwa unijne bronią się, jak mogą, przed destabilizacją systemów energetycznych, którą powoduje ideologia OZE.

Pamiętają państwo powieść „Paragraf 22” i niejakiego Mila Minderbindera? Kiedy wtopił on na nieprzemyślanym zakupie ogromnych ilości bawełny, wymyślił sobie „bawełnę w czekoladzie”. Ależ, Milo, ludzie nie jedzą czekolady – usłyszał. To będą musieli! Podobnie zachowują się dziś producenci wiatraków. Zachód ich już nie chce? To Polacy będą musieli. Dopóty, dopóki rządzi nimi PO. ©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Warszawa-Waszyngton

Czy możemy od Amerykanów oczekiwać czegoś oprócz „opieki”? Narody, które walczą o swój państwowy byt – Ukraina, Izrael – od USA oczekują broni, nie garnizonów. Warto to pamiętać, tak jak i to, że broń nosi się po to, by nie trzeba było jej używać.

Prawie dziewięć lat temu, przed pierwszą inauguracją Donalda Trumpa, zaapelowałem publicznie, aby niezależnie od przygotowań do wojny sformułować też postulaty na wypadek odprężenia w relacjach amerykańsko-rosyjskich. Podnieść sprawy dotyczące solidarności dyplomatycznej, nie tylko militarnej. Przede wszystkim dwie: demilitaryzację Królewca,

neutralność Białorusi. Jednak przez kolejne lata, niezależnie od zmiany w Białym Domu, naszą polityką kierowała jedynie ideologia „Szpica, Flanka & Fort Trump”. Aż do momentu, gdy zaczęli nas rzeczywiście pytać o wyjście na szpic...

W każdym razie czasy mamy (znowu) nowe. Pewne jest jedynie, że Ameryka chce odprężenia z Rosją, nawet za dużą – choć oczywiście nie za wszelką – cenę.

Czy mamy więc materialne podstawy do formułowania oczekiwań wobec USA? Jakie mamy dla nich znaczenie? Biden nie znosił PiS i nie prowadził swojej ukraińskiej polityki dla Polski, ale musiał nas brać pod uwagę. To była część jego

polityki wobec naszego regionu. W tym zaś aspekcie nasza geopolityczna pozycja jest niezastąpiona. Państwa bałtyckie są zbyt małe i nie posiadają głębi strategicznej, by być oparciem dla amerykańskiej obrony Europy Środkowej. Słowacja i Węgry zbyt łatwo popadają w praktyczny neutralizm. Rzeczpospolita w tym miejscu jest jedyna, tym bardziej że jesteśmy największym państwem środkowo-europejskim, między Finlandią a Grecją.

To wszystko ma znaczenie dopóty, dopóki Amerykanie zakładają odpowiedzialność europejską. Gdyby mieli się z niej wycofywać – tym bardziej należy myśleć o zmniejszaniu ryzyka wojny. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

Włoska lewica przeciw własności

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

21 sierpnia karabinierzy opróżnili prywatny budynek w Mediolanie okupowany przez centrum społeczne postępców Leoncavallo. Centrum, które ma na sumieniu flirt z lewackimi terrorystami i anarchistami, funkcjonowało jak dom kultury – koncerty, spektakle teatralne, wystawy, dyskusje i spotkania. Szczególnie w latach 70. i 80. ubiegłego stulecia cieszyło się sporą popularnością. Gościli w nim znani artyści, w tym czołówka ówczesnego włoskiego rocka i jazzu, politycy, dziennikarze i literaci, zazwyczaj związani z kontrkulturą.

Nazwa pochodzi od ulicy Ruggero Leoncavallo (kompozytor i librecista), przy której w okupowanym budynku w 1975 r. powstało

centrum społeczne przeniesione 19 lat później wraz z nazwą do opuszczonej papierni przy via Wattou. Tam właśnie, na podstawie wyroku sądowego, 21 sierpnia policja zrealizowała nakaz eksmisji.

Rozpętało się piekło. Tuż po lewicowego intelektu i partię opozycyjne zawyrokowały, że rząd Giorgii Meloni znów pokazał swoją prawdziwą faszystowską twarz. Z diatrib w włoskich telewizjach i jeremiarów w prasie wynikało, że był to akt zemsty na środowiskach niechętnych obecnemu reżimowi, emanacja braku odporności na krytykę i akt zemsty na ideologicznych wrogach.

Prawda jest oczywiście inna. Budynek przy via Wattou (4 tys. mkw. powierzchni) jest

własnością rodziny Cabbasich. Właściciele starali się odzyskać swoją własność przez 31 lat (sic!). Były setki rozpraw, ponad 130 nakazów eksmisji. Wszystko bez skutku dzięki parasolowi politycznemu lewicy. W tym roku sąd kasacyjny skazał włoskie MSW za niezrealizowanie eksmisji na zapłacenie właścicielom 3,2 mln euro odszkodowania. Stąd akcja karabinierów.

Lewicowe władze miejskie Mediolanu rozpoczęły już poszukiwanie budynku, do którego będzie można Leoncavallo przenieść, niejako w nagrodę za ponad 30 lat sankcjonowanego bezprawia. Naturalnie nikt nie poniesie żadnych konsekwencji – ani politycznych, ani finansowych. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KURA TELEWIZYJNA

O takich rewelacjach aż miło pisać! Wokalistka Gosia Andrzejewicz, która szczyt kariery muzycznej, napiszmy to wprost, ma już raczej za sobą, odnajduje się w nowej roli. Autorka hitów takich jak „Pozwól żyć” zadebiutowała w roli prezenterki telewizyjnej. Od 1 września na antenie TV Puls 2 emitowana jest nowa, poranna ramówka. Jednym z premierowych programów jest format: „A kto to mówi?”. Myk polega na tym, że Andrzejewicz będzie towarzyszyć... kura. Nie jest to jednak pierwsza lepsza czy jakaś przypadkowa kura. Pierzynka,



FOT. ANITA WALCZEWSKA / JOTWINEAST NEWS

bo tak się nazywa, to zwierzątko domowe piosenkarki. Press.pl informuje, że program, którego drugim gospodarzem będzie aktor Jędrzej Taranek, to „lekką propozycja na poranny rozruch. Prowadzący, często w towarzystwie swoich zwierząt, będą komentować ciekawostki ze świata oraz internetowe żarty. W przypadku Gosi Andrzejewicz to właśnie kura Pierzynka wzbudza największe emocje”. Świat poznał Pierzynkę, gdy Andrzejewicz zabrała ją do kościoła na poświęcenie pokarmów w jedną z Wielkich Sobót. W rozmowie z RMF FM celebrytka wspominała, że reakcje wiernych były niezwykle pozytywne.

– Nie byłam zaskoczona sensacją, jaką wzbudziła kura. Zdawałam sobie sprawę, że faktycznie będzie to poruszało ludzi, ale wszyscy bardzo sympatycznie do niej podeszli i byli bardzo zdziwieni, jaka ona jest grzeczna – relacjonowała. Oby tylko Pierzynka coś miała z tej medialnej popularności. Na przykład dodatkową garść ziarna.

ODYSEJA MARIANNY

Marianka zwiedza świat, a jej obserwatorzy wraz z nią. Celebrytkoaktywistkoscandalistka Marianna Schreiber wybrała się autem do Grecji. Towarzyszył jej aktualny ukochany (aktualny, bo sytuacja związkowa tej pani zmienia się niczym w kalejdoskopie). Po trwającej dobę podróży podzieliła się z fanami pierwszymi przemyśleniami. – No więc, kochani, dotarłam do Grecji, do Kawali. Jesteśmy tutaj w kilka osób, w tym Piotr ze mną. I pisaliście do mnie, że podróż autem tutaj to żadna oszczędność, że się nie opłaca, że to jest zmęczenie. Na początku miało to być 18 godzin, wyszło 22 – wiadomo, jest lekkie zmęczenie. Prowadziliśmy na zmianę. Byliśmy głodni, więc trzeba było kilka razy się zatrzymać, zatankować itd. Ale przy ekonomicznej jeździe w tę stronę wyszło nas mniej więcej 700 zł za paliwo i 400 zł za winiety, do podziału na kilka osób. To jest naprawdę bardzo mało, gdzie bilet tutaj, do Kawali, i z powrotem dla jednej osoby kosztuje ok. 2,5 tys. zł. Więc, bądź co bądź, bardzo się opłacało – zauważa Schreiber. – No i po tych 22 godzinach jestem tutaj na te kilka dni, bo potem będzie bardzo, bardzo dużo pracy i myślę, że dla Was też bardzo dużo ciekawego kontentu. No i cóż – życzyć mi udanego wypoczynku, a ja Wam również życzę wszystkiego dobrego i udanej reszty wakacji – przekazała. Skoro Marianna zapowiada „ciekawą treść”, to aż strach się bać.

UROBIENI PO PACHY

Polscy Beckhamowie, czyli Małgorzata Rozenek i Radosław Majdan, szykują się do opuszczenia swojej wilanow-

skiej willi i przeprowadzki do nowego domu. „Perfekcyjna” zapowiedziała na Instagramie, że to kwestia dni. Dodała, że urządzenie wnętrza nowego gniazdka spowodowało wiele nerwowych sytuacji.

– Wykańczanie mieszkania czy domu może wykończyć człowieka, może wykończyć niejednego związek, może wykończyć zdrowego człowieka. To jest prawdziwy rollercoaster, ale u nas już jest po i powiem szczerze, naprawdę nigdy już więcej nie wpadnę na taki pomysł. Jeszcze wyobraź sobie kogoś, kto, nie będę tego ukrywać, ma nutę perfekcjonizmu w sobie jak ja, więc dla mnie każda linia nie jest odpowiednio prosta, więc były poprawki. Wyobraź sobie, patrzę i coś jest pół tonu w innym kolorze, niż ja sobie to wyobrażałam. Ja tego nie traktuję jako swoją zaletę, tylko ja nie potrafię po prostu przejść nad takimi rzeczami do porządku dziennego i mówię: „Panowie, przepraszam, ale zrywamy” – wskazuje. Rozenek przyznaje, że „mąż już jest wykończony psychicznie tym wykańczaniem”. – Radzio już od pewnego momentu – jak ja zaczęłam mówić: jeszcze to zmienimy, to zrobimy – to już widzę, że chciałby już nie być w tej linii informowania – opowiada gwiazda. – Niekoniecznie chce mu się rozmawiać o tym, czy ta pistacjowa zieleni jest troszkę bardziej w stronę miętowej zieleni, a może przełamymy nutą dubajską, więc trochę już oszczędzam Radzia – dodaje. „Radzio” się jednak nie leni, po prostu ma inne zadania. – Bardzo dużo rzeczy robi wokół tego tematu, ale bardziej logistycznych. Te wszystkie rzeczy związane z dekoratorstwem pozostawił mi, projektantom, z którymi współpracuję. W momencie, w którym dałam mu, jego zdaniem, trzy identyczne kolory i powiedziałam, że one się drastycznie różnią i żeby pomógł mi w wyborze, powiedział: „Małgosiu, przepraszam cię, nie”. Staram się jakoś Radzia oszczędzać w tym temacie. To jest niekończąca się historia. Jestem osobą, która lubi te wyzwania. Lubię też, jak się coś dzieje, ale tu już się dzieje za dużo i już nie chcę, żeby się działo – podsumowała Gonia. Aż się człowiek męczy od samego czytania. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z zapartym tchem śledziliśmy posiedzenie Rady Gabinetowej, w której Donald Tusk przeczołgał Karola Nawrockiego, ale – tak wiecie – z miłością. Potraktował go tak, jak stary i wyrozumiały mistrz zwykły traktować krnąbrnego ucznia, który zamierza się pozycjonować powyżej swoich kompetencji intelektualnych. Czyli, podsumowując, zwycięzcą Rady Gabinetowej jest pan Premier Tusk oraz jego gabinet, bez dwóch zdań.

Z wystąpienia Nawrockiego zapamiętaliśmy głównie te nieudolne próby czynienia rządowi wyrzutów, iż niby rząd niczego nie robi, że jest rekordowy deficyt (No to chyba dobrze, skoro rekord, nie? Rekord oznacza, iż coś jest najlepsze w historii, o ile się nie mylimy), coś się tam dalej czepiał, wiadomo, nie można oczekiwać chęci do współpracy.

Jednak to, co wstrząsnęło nami najbardziej, to słowa prezydenta, iż należy porozmawiać „po ludzku” oraz „po męsku”. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, iż w centrum Europy w XXI w. będziemy świadkami takiego wykluczającego dyskursu i mowy nienawiści – i to z ust prezydenta tego kraju.

Tym jednym stwierdzeniem, iż należy rozmawiać po męsku, Nawrocki jednocześnie obraził wszystkie obecne na sali ministery, dając do zrozumienia, iż albo przyjmą one tę narrację jako własną

i dostosują się do niej, albo nie będzie z nimi nikt rozmawiał. Po drugie, cofnął do tyłu o lata świetlne do średniowiecza dyskusję publiczną o równouprawnieniu.

Pisaliśmy wam całkiem niedawno o tym vibie toksycznej męskości, który – nomen omen – bije od Nawrockiego. No i właśnie tego wszyscy doświadczylimy.



śmy. Męski ma być prezydent, męski ma być jego dyskurs i gabinet (gdzie tam są waginoosoby?), męsko ma z nim rozmawiać pan Premier, chociaż może nie ma na to najmniejszej ochoty.

Już nie będziemy nadmiernie rozwodzić się nad apelem, aby rozmawiać po ludzku, iż to kolejny niezrozumiały dla nas lingwistyczny antropocentryzm, jakby porozumiewanie się językami osób zwierzęcych było gorsze, mniej równe czy co – zwłaszcza w sytuacji, kiedy tak wiele Polek i Polaków i osób tenkra-

jowych wychowuje psieci, takie słowa naprawdę świadczą o braku wrażliwości i społecznego słuchu. Kogoście wybrali na tego prezydenta :{?

W ogóle nie macie, kochani, poczucia takiego, iż urząd prezydenta w tym kraju jest chyba najbardziej niestabilnym, podatnym na populistyczne nastroje urzędem w kraju?

Jeśli np. populiści i fashyści wygrywają wybory parlamentarne, to siły antyfashystofskie i rozumne mogą się zjednoczyć w ramach koalicji, iżby się im przeciwstawić. A gdy wybory prezydenckie kończą się podobnym wynikiem, to choćby milion Silnych Razem słało protesty wyborcze – nic się nie da.

I w efekcie mamy najpierw prezydenta, który podpisuje wszystko jak leci, teraz mamy takiego, który wetuje wszystko jak leci, zero stabilizacji i pomysłu na państwo. A jak spojrzeć historycznie, to w XXI w. mieliśmy tylko raz i tylko przez chwilę prezydenta reprezentującego środowiska demokratyczne. Może czas na inny system? Jest taki kraj, całkiem niedaleko, gdzie prezydent jest do dekoracji, a władzę sprawuje kanclerz. Tak tylko podpowiadamy... ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Wielkie „szuuu!”

Nie, Szymon, naprawdę wiatraki nie są uciążliwe.

Byłem wczoraj na takiej farmie i w domach obok. Słuchaj, Paulina,

to będzie trudno obronić. Jak on tak robi „szuuu!” kilka razy na minutę...

Ale gdzie tam. No zobacz – tutaj mam wiatrak. Jest jakoś uciążliwy?
No, ten nie, ale...

Właśnie. Nawet przyjemnie, jak tak chłodzi.

Tylko przecież ten jest malutki, a tamte...

Może jest mniejszy, ale za to zobacz, jak się szybko kręci. A tamte się kręcą wolniej, prawda? Czyli się wyrównuje.

Nie wiem, nie wiem. Aż tak się na tym nie znam.

Uwierz mi, ja się znam. W końcu jestem ministrami od klimatu, prawda? ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Węgiel, wódka – priorytety Nawrockiego są dość jasne”.

TOMASZ LIS, publicysta, na X komentujący weto prezydenta Karola Nawrockiego dotyczące tzw. ustawy wiatrakowej i podwyżki akcyzy na alkohol





KATASTROFA F-16 W RADOMIU

W czwartek, podczas prób do Międzynarodowych Pokazów Lotniczych AirSHOW, doszło do katastrofy. Myśliwiec F-16 z impetem uderzył w ziemię i zamienił się w kulę ognia. Jeden z najbardziej doświadczonych polskich pilotów – mjr Maciej „Slab” Krakowian – nie przeżył wypadku.

Krakowian był absolwentem Liceum Lotniczego w Dęblinie, a także prestiżowej Akademii Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Od lat związany był z 31. Bazą Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu-Krzesinach. Był instruktorem i szefem szkolenia, a także członkiem zespołu Tiger Demo Team. Miał ponad 1,4 tys. godzin nalołu, w tym 1,2 tys. godzin na F-16. W sierpniu został uhonorowany prestiżową nagrodą As the Crow Flies Trophy podczas tegorocznej edycji Royal International Air Tattoo w Wielkiej Brytanii, największego pokazu lotnictwa wojskowego na świecie. – Zależy nam na tym, żeby każdy widz, niezależnie od tego, czy będzie to dziecko, które marzy o lataniu, czy też doświadczony pasjonat, mógł poczuć to, czego my doświadczamy każdego dnia – zapowiadał zaś Maciej „Slab” Krakowian na konferencji przed AirSHOW w Radomiu.

Katastrofa F-16 to już trzeci wypadek lotniczy podczas AirSHOW w Radomiu, którego organizatorami są Agencja Mienia Wojskowego oraz Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. 1 września 2007 r. zderzyły się dwa samoloty Grupy Akrobacyjnej „Żelazny” z Zielennej Góry. Zginęli wówczas 62-letni ppłk rez. mgr inż. pil. Lech Marchelewski oraz 24-letni inż. Piotr Banachowicz.

Dwa lata później, 30 sierpnia 2009 r., o ziemię rozbił się białoruski samolot Su-27. Zginęli wówczas płk Aleksandr Marfickij i płk Aleksandr Żurawlewicz.

Tegoroczne AirSHOW po katastrofie F-16 zostało odwołane. Planowane loty do i z lotniska w Radomiu w piątek zostały obsługiwane przez Lotnisko Chopina w Warszawie. (jap) ©

FOT. RAMEL SUPERMAN / PAF / SLASHER / YOUTUBE (OZ), PIOTR POLAK / PAP

Polska wciąż bez tarczy



Piotr Włoczyk

Incydent w Osinach obnażył naszą bezsilność. I nie chodzi tylko o to, że polskiemu wojsku brakuje odpowiedniego sprzętu

Nic nie umknie ich uwadze. Nawet lot tuż nad drzewami nie sprawi, że dron uniknie wykrycia. Cztery balony będą monitorowały przestrzeń powietrzną przy wschodniej i północnej granicy Polski. Zwisające z nich potężne radary będą mogły „patrzyć” z wysoka na odległość ponad 300 km, wykrywając nie tylko samoloty, rakiety, lecz także drony w rodzaju słynnych już rosyjskich gierani (zruseyfikowanych irańskich szachidów).

Ta krzepiąca wizja to jednak niestety tylko melodia przyszłości, i to niezbyt bliskiej. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to kosztujący niemal miliard dolarów program „Barbara”, czyli zakup czterech amerykańskich aerostatów

rozpoznawczych, zostanie zrealizowany dopiero za dwa lata. Do tego czasu, co zresztą zupełnie otwarcie przyznają polskie władze, mamy duży problem, jeżeli chodzi o wykrywanie nisko lecących statków powietrznych. Jak jednak pokazała eksplozja drona na polu kukurydzy w Osinach na Lubelszczyźnie, problemem jest nie tylko brak odpowiedniego sprzętu, lecz także to, jak na całą sytuację zareagowały struktury naszego państwa.

– Chaos, który zapanował w Polsce po tym incydencie, dał Rosjanom niezwykle cenną wiedzę. Nasza reakcja to same straty dla państwa polskiego – mówi „Do Rzeczy” Andrzej Kiński, ekspert do spraw obronności, redaktor naczelny magazynu „Wojsko i Technika”.

– Rosjanie przyglądali się naszej bezradności. Eksplozja drona w Osinach obnażyła stan naszej obrony powietrznej. Mamy system z dykty – komentuje w rozmowie „Do Rzeczy” gen. Leon Komornicki, były zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. – To jest przerażająca sprawa, która ma wiele wątków. Bo chodzi nie tylko o same zdolności sił zbrojnych, lecz także o prawidłową ocenę tego, co się zdarzyło, i komunikację ze społeczeństwem. Na każdym odcinku ten test wypadł fatalnie.

– Mam wrażenie, że my wciąż jako państwo nie rozumiemy, że za naszą wschodnią granicą toczy się prawdziwa wojna. Osiny nam o tym przypominają – mówi „Do Rzeczy” gen. Roman Polko,

Polska buduje wielowarstwowy system obrony powietrznej już od ponad dekady. Jeszcze rząd Ewy Kopacz postanowił kupić pierwsze baterie systemu Patriot (na zdjęciu: trening systemowy realizowany przez 37. Dywizjon Raketowy Obrony Powietrznej). A jednak polskie władze zupełnie otwarcie przyznają, że mamy duży problem, jeżeli chodzi o wykrywanie nisko lecących statków powietrznych

FOT. PAWEL WODZYŃSKI/EAST NEWS



radiolokacyjne według wstępnej analizy nie zanotowały naruszenia przestrzeni powietrznej”.

– Jak można było się przyznać, że my nic nie widzieliśmy na radarach? – dziwi się gen. Leon Komornicki.

Minister dodał też na wspomnianej konferencji prasowej, że być może był to dron... przemytniczy, a poza tym nie można też wykluczyć sabotażu. Wszystko wskazuje na to, że w pierwszych godzinach po upadku drona władze miały nadzieję, że cała sprawa jakoś „rozejdzie się po kościach”, ponieważ zakładano, że nie był to dron bojowy (ignorując najwyraźniej to, że w oddalonych o kilkaset metrów domach wyleciały szyby i uszkodzone zostały dachy).

I właśnie w ramach tej przedziwnej kampanii uspokajania społeczeństwa, że najpewniej nic wielkiego się nie stało, pojawił się kuriozalny komunikat Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych: „Według wstępnych ocen [obiekt] może stanowić element starego silnika ze śmigłem”. Następnie zastępca Dowódcy Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych gen. Dariusz Malinowski powiedział na konferencji prasowej, że wstępna ocena pozwala stwierdzić, iż dron był tzw. wabikiem, czyli aparatem wysyłanym w celu przeciążenia obrony powietrznej. Szef MON porzucił w końcu wersję o dronie przemytniczym i ogłosił dobitnie: „Mamy do czynienia z prowokacją Federacji Rosyjskiej, z rosyjskim dronem”.

Dwa dni po incydencie w Osinach wiceszef MSWiA Czesław Mroczek w TVN24 stwierdził jednak, że raczej nie był to „wabik”. Wiceminister zupełnie wprost powiedział w czasie tego wywiadu, że „mamy pewne braki jako państwo, jeżeli chodzi o wykrywanie obiektów lecących na niskich wysokościach”. Trudne okazało się też wskazanie kierunku, z którego nadleciał dron. Początkowo władze mówiły o Białorusi, jednak po kilku dniach wiceminister – tym razem MSZ – Władysław Teofil Bartoszewski stwierdził w TV Republika: „Z tego, co ja słyszę – to nie jest wersja oficjalna, czekamy na raport – on wleciał z terenu Ukrainy”. I również ten wiceminister z rozbrajającą szczerością przyznał, że „w tej chwili Polska nie ma systemu, który takowe drony wyłapuje”.



Rząd dopiero planuje zakup amerykańskich aerostatów rozpoznawczych. Zwisające z nich potężne radary będą mogły „patrzeć” z wysoka na odległość ponad 300 km. FOT. WOJSKO-POLSKIE.PL

Nawiasem mówiąc, komentarz Władysława Kosiniaka-Kamysza sprzed dwóch lat, który uderzał w szefa MON w rządzie PiS, dziś wraca jak bumerang: „Jeśli minister Mariusz Błaszczak nie wiedział, że nad Polską leciała rosyjska raketa, to jest to ogromny skandal. Jeśli wiedział, i nic z tym nie zrobił, to jest to rażąca nieodpowiedzialność i granie z bezpieczeństwem Polski. Jedno i drugie jest dyskwalifikujące. Do dymisji!”.

Patrząc na ten ciąg wykluczających się wzajemnie wersji, rzucanych swobodnie na lewo i prawo, trudno się dziwić, że nawet przychylna rządowi „Gazeta Wyborcza” swój tekst o reakcji państwa w pierwszych dwóch dniach zatytułowała: „Nieszczelny system, nie jesteśmy przygotowani, kompromitacja armii i MON”. I nie można tu mówić jedynie o zapóźnieniach w modernizacji sił zbrojnych, do których przyczyniły się kolejne ekipy rządzące naszym państwem. Nie sposób bowiem znaleźć eksperta do spraw obronności, który nie miałby do powiedzenia samych ostrych słów w kwestii zarządzania tą sytuacją kryzysową.

SAABY NA STRAŻY

Andrzej Kiński z „Wojska i Techniki” tłumaczy, dlaczego wykrywanie nisko lecących dronów nie jest łatwym zadaniem: – W żadnym państwie świata, łącznie z Izraelem, powierzchnia całego kraju nie jest pokryta ciągłym polem radiolokacyjnym od wysokości 10 m do stratosfery. Pole radiolokacyjne zaczyna się zazwyczaj od wysokości kilkuset metrów, a przecież takie drony potrafią latać niżej. W związku z tym bardzo trudno wykryć je środkami naziemnymi. Takich radarów naziemnych należałoby ustawić tysiące, ponieważ ich zasięg wykrywania na małych wysokościach ogranicza się

były dowódca GROMU-u i były zastępcą szefa BBN. – Po raz kolejny granica naszego państwa została przekroczona przez obcy obiekt, a my mamy zerową skuteczność. Pokazujemy całemu światu naszą beznadziejność. I za każdym razem mamy kompletny chaos informacyjny.

OD WERSJI DO WERSJI

Jeżeli zbierzemy w jednym miejscu kolejne komunikaty naszych władz na temat eksplozji drona, to trudno nie odnieść wrażenia, że wygląda to jak komedia pomyłek.

Zaczął się od informacji przekazanej przez wicepremiera i szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza, który w dniu upadku drona stwierdził, że „systemy

do kilkunastu kilometrów. Byłoby to zbyt drogie. Dlatego w takich przypadkach trzeba polegać na środkach, które „patrzą” z góry. Myślę tu np. o aerostatach Barbara, które Polska zamówiła, ale wciąż czeka na realizację tego kontraktu, czy o samolotach wczesnego ostrzegania.

Te ostatnie już służą w naszych siłach zbrojnych. Kupiliśmy je od Szwedów po tym, gdy w 2022 r. pod Bydgoszczą spadła rosyjska rakietą. Jednak dwa saaby 340 AEW to oczywiście za mało, by zabezpieczyć niebo nad Polską.

– Mówimy tu jednak tylko o wykrywaniu dronów, a nie o zestrzeliwaniu ich – dodaje Andrzej Kiński. – Brutalna prawda jest bowiem taka, że obrona przeciwlotnicza jest obiektowa, czyli ochrania się konkretne obiekty, miejsca strategicznie ważne, a nie pola uprawne. Głównym powodem są koszty – im większy teren chcemy ochronić, tym droższy będzie taki system.

Redaktor naczelny „Wojska i Techniki” liczy na to, że incydent pod Osinami zmobilizuje polskie władze do działania, jeżeli chodzi o zabezpieczenie naszego państwa przed tym nowym rodzajem zagrożenia.

– Uważam, że po eksplozji drona w Osinach, co rozgrzało społeczeństwo i świat polityki, ten temat stanie się bardziej palący dla rządzących i zapewne dojdzie do większych zakupów. Warto jednak myśleć kilka kroków do przodu. Niektóre państwa mocno rozwijają już środki walki przeciwdronowej, które są dosyć tanie, biorąc pod uwagę koszt pojedynczego „strzału”, i bardzo efektywne, np. lasery czy impuls elektromagnetyczny.

Tymczasem dobrych, sprawdzonych systemów antydronowych nie brakuje na rynku, i to również tych wytwarzanych w Polsce. Przykładem są tu systemy oferowane przez gdyńską firmę APS (Advanced Protection Systems), które z powodzeniem używane są przez Ukraińców.

Generał Roman Polko uważa, że w związku z dużym prawdopodobieństwem, iż takie incydenty będą się powtarzały, należy natychmiast poprosić naszych sojuszników z NATO o przekazanie nam odpowiednich radarów.

– Do tego incydentu doszło na kierunku strategicznym dla obrony państwa, czyli od bramy brzeskiej w kierunku stolicy, gdzie znajdują się wojska 18. Dywizji Zmechan-

zowanej, a także jednostka sił powietrznych w Mińsku Mazowieckim – podkreśla gen. Leon Komornicki. I dodaje: – Źle budujemy system obrony kraju. Absolutnym priorytetem od samego początku powinna być obrona powietrzna, i to na każdym poziomie: od bardzo krótkiego, do dalekiego zasięgu. Dopóki rosyjskie środki napadu powietrznego nie zyskają przewagi strategicznej w powietrzu, dopóty ich wojska lądowe będą miały olbrzymi problem, by wkroczyć na nasze terytorium. To jest absolutna podstawa.

Andrzej Wilk, ekspert do spraw obronności z Ośrodka Studiów Wschodnich, zwraca uwagę, że masowe użycie dużych dronów uderzeniowych, z czym nie mieliśmy wcześniej do czynienia, wcale nie oznacza, iż państwa NATO muszą przeprojektować swoje systemy wielowarstwowej obrony powietrznej.

Nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi, jeżeli chodzi o budowę polskiego wielowarstwowego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej

– Każda warstwa odpowiada za zwalczanie konkretnych środków napadu powietrznego. Aby lepiej zabezpieczyć swoje terytorium przed dronami w rodzaju gierani, trzeba po prostu kupić mnóstwo systemów niższego szczebla – mówi „Do Rzeczy” Andrzej Wilk. – Przykładowo polskie przenośne przeciwlotnicze zestawy rakietowe Piorun radzą sobie z takimi celami, tylko że wobec tak masowego użycia gierani Ukraińcy cierpią na ciągły „głód” takich środków walki. Ta wojna trwa już po prostu zbyt długo.

CHMARY GIERANI

Polska buduje wielowarstwowy system obrony powietrznej już od ponad dekad. Jeszcze rząd Ewy Kopacz postanowił kupić pierwsze baterie systemu Patriot (program „Wisła”). W sumie Polska ma mieć do dyspozycji osiem baterii patriotów, czyli 64 wyrzutnie. Na razie nasze wojsko odebrało dwie baterie (16 wyrzutni), które już strzegą najważniejszych fragmentów

Polskiego nieba, m.in. stolicy. Poza tym najwyższym „piętrzem” systemu obrony powietrznej Polska rozwija też jego „niższe” szczeble – programy „Narew” i „Pilica”. Co istotne, wszystkie „piętra” naszej obrony powietrznej mają być połączone wyspecjalizowanym systemem dowodzenia IBCS (Integrated Air and Missile Defense Battle Command System), który ma sprawić, że całość będzie jak najbardziej efektywnie wykorzystywała środki walki. Oznacza to, że centrala systemu będzie automatycznie wskazywać, które stanowisko ogniowe ma zostać uruchomione, by jak najtańszym kosztem zneutralizować zagrożenie.

W kwestii bezpieczeństwa polskiego nieba nie można też zapominać o działającej od zeszłego roku bazie w Redzikowie, którą jednak w pełni kontrolują Amerykanie. Instalacja ta, dysponująca 24 raketami SM-3 Block IIA, jest w stanie zwalczać rakiet balistyczne w odległości nawet do 3 tys. km.

Jak mocno zaawansowana jest obecnie budowa polskiej „żelaznej kopuły”?

– Nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi, jeżeli chodzi o budowę polskiego wielowarstwowego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Harmonogram przewiduje, że proces ten ma się zakończyć ok. połowy następnej dekady – tłumaczy Andrzej Kiński z „Wojska i Techniki”. I dodaje: – Ale i tak już dziś nie ma pod tym kątem wstydu. Wiele państw NATO może tylko pomarzyć o tym, co my już mamy. Natomiast jeżeli uda się nam zbudować całość, to będziemy pod tym kątem w NATO-wskiej pierwszej lidze. Co ważne – trzeba rozwijać wszystkie poziomy tego systemu, bo każdy z nich jest bardzo potrzebny. Wykrywanie i zwalczanie dronów w rodzaju rosyjskich gierani jest oczywiście istotne, ale pamiętajmy, że przeciwnik dysponuje też inną groźną bronią, którą zneutralizować mogą tylko wyższe „piętra” obrony powietrznej, jak np. patrioty.

– Dziś, odwrotnie niż w 1939 r., Polska powinna w pierwszej kolejności stawiać na silną obronę powietrzną i lotnictwo, a dopiero potem rozwijać siły lądowe – mówi „Do Rzeczy” dr Marcin Paluch, historyk wojskowości. – Jeżeli to my będziemy mieli przewagę w powietrzu i nie pozwolimy Rosji zdominować naszego nieba, to ich siły lądowe nie będą wkraczały. Tak to wygląda na nowoczesnym polu bitwy.



Gdy w 2022 r. pod Bydgoszczą spadła rosyjska rakiet, kupiliśmy od Szwedów dwa saaby 340 AEW. To oczywiście za mało, by zabezpieczyć niebo nad Polską. FOT. SAAB

Ekspert zwraca przy tym uwagę na konieczność zapewnienia ogromnych ilości amunicji do zwalczania obiektów latających.

– Chmury gierani, które Rosjanie wysyłają na ukraińskie miasta, okazały się bardzo skuteczne w paraliżowaniu obrony przeciwlotniczej Ukrainy. Czego takiego nie było w historii konfliktów, żeby amunicja do strącania statków powietrznych była nawet 10 razy droższa od swojego celu, a tak jest przecież w przypadku rakiet przeciwlotniczych i gierani – mówi dr Marcin Paluch.

Rosjanie coraz bardziej polegają na gieraniach w nieustannym nękaniu Ukrainy. Drony te mogą już przenosić nawet 90-kilogramowe głowice bojowe. Do tej pory rekordowa okazała się pod tym względem noc z 8 na 9 lipca, gdy Rosjanie użyli 728 dronów oraz 13 rakiet. Ta skala uzmysławia, jak ogromnym wyzwaniem byłaby dla naszej obrony powietrznej konfrontacja z Rosją.

– W tym, co powszechnie nazywamy „Szachidem”, obecnie jest już bardzo niewiele irańskich elementów. Pojawiły się nawet wersje z silnikami odrzutowymi, które są już właściwie w całości rosyjskie, jeżeli nie liczyć chińskiej elektroniki – mówi Andrzej Wilk z OSW. – Rosjanie nie wytwarzali takich dronów przed wojną, więc było to dla nich coś zupełnie nowego. A mimo to w szybkim tempie rozwinęli u siebie program budowy dużych dronów uderzeniowych. Dlatego nie powinniśmy lekceważyć zdolności rosyjskiego przemysłu wojskowego.

A jak wygląda efektywność naszych wschodnich sąsiadów w walce z tym zagrożeniem?

– Ukraińcy jeszcze rok temu deklarowali skuteczność strącania dużych dro-

nów uderzeniowych na poziomie 90 proc. Obecnie spadła ona do 80 proc. Czyli według oficjalnych ukraińskich danych co piąty Gierań uderza w cel. Bywało jednak, że ta skuteczność spadała poniżej 50 proc. – mówi Andrzej Wilk. – Wszystko wskazuje na to, że te dane są raczej wiarygodne. Zważywszy na skalę nalotów gieraniami, 20 proc. skuteczności Rosjan oznacza dla Ukraińców duży problem.

Rosjanie rozwijają zdolności swoich dużych dronów uderzeniowych, zwiększają ich precyzję i zmieniają taktykę użycia, by sprawić jak najwięcej problemów ukraińskiej obronie powietrznej.

– Od niedawna gieranie latają na wyższych pułapach, więc teraz już bardzo trudno je zestrzelić grupom strzeleckim poruszającym się pick-upami. To tłumaczy spadek skuteczności Ukraińców – mówi Andrzej Wilk. – Zmiana taktyki oznacza, że do strącania takich dużych dronów uderzeniowych trzeba wykorzystywać rakiety, co wyczerpuje obronę przeciwlotniczą. I o to chodzi Rosjanom. Patrząc na historię tej wojny, możemy się jednak spodziewać, że Ukraińcy niedługo znajdą jakiś sposób na zmienioną rosyjską taktykę atakowania przy pomocy gierani i ich skuteczność w obronie znów wzrośnie.

„PARÓWKAMI” W ZACHÓD

Doktor Marcin Paluch przypomina, że artyleria zawsze była u Rosjan prawdziwym „bogiem wojny”.

– Ich armia z tego słynęła, i to głównie w ten sposób Sowietci zagnęli za Stalina pół Europy. Rosyjska armia na Ukrainie mocno się jednak zmieniła i Polska musi za tym nadążyć. Często Polacy deprecjonują rosyjską generalicję, ale jednak ci ludzie w końcu wyciągają lekcje ze swoich porażek. Tak było na Ukrainie.

Kiedy okazało się, że drony masakrują przeciwnika co najmniej tak skutecznie jak nawała artyleryjska, to Rosjanie nie stali w miejscu i zaczęli rozwijać ten rodzaj broni – mówi historyk wojskowości. – Żołnierze walczący obecnie w okopach niewiele się różnią od tych z czasów wojen w Afganistanie czy też w Czeczenii, natomiast ewolucja walk na niebie, szczególnie w kontekście użycia dronów, jest niesamowita. Jeszcze w 2008 r. śledziłem konflikt w Gruzji. Rosji udało się wtedy zestrzelić kilka dronów. To była ciekawostka. A teraz ta „ciekawostka” stała się codziennością wojny na Ukrainie, gdy obie strony potrafią sobie zadać w ten sposób bardzo mocne ciosy.

Nikita Chruszczow podkreślał w latach 60.: „Rakiety toczą się z naszych fabryk jak parówki!”. Przywódca ZSRS chciał w ten sposób wystraszyć Zachód. Dziś Rosjanie sięgają po podobną metodę. W lipcu rosyjska telewizja pokazała reportaż ze Specjalnej Strefy Ekonomicznej Ałabuga w Tatarstanie, gdzie montowane są drony typu Gierań. Pracujący tam pod portretem Stalina robotnicy wytwarzają już ponad 170 maszyn dziennie. Według danych ukraińskiego wywiadu Rosjanie planują przekroczyć poziom 6 tys. maszyn miesięcznie. Tak masowa produkcja sprawia, że spada koszt jednostkowy. Początkowo jeden taki dron kosztował Rosjan ok. 200 tys. dol. Obecnie koszt produkcji zmniejszył się do ok. 70 tys. dol.

A to z kolei oznacza, że świetne radary i mnóstwo wyrzutni to za mało, żebyśmy byli gotowi na konfrontację z Rosją. Najtrudniejszym zadaniem jest zapewnienie sobie dostępu do nieprzebranych wręcz zapasów amunicji, by skutecznie strącać „parówki” Putina.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ukraińcy na placu Zamkowym w Warszawie świętują Dzień Niepodległości Ukrainy

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS



Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Miedzy utłudą a zdradą

RYSZARD GROMADZKI: Przebieg szczytu w Waszyngtonie w sprawie zakończenia wojny na Ukrainie to jeszcze jeden dowód na bankructwo polskiej polityki wschodniej?

MARCIN PALADE: To kolejne potwierdzenie, że tak zwana, dla niepoznaki z użyciem terminu polska, a dalej polityka wschodnia, od ponad trzech dekad była i do dziś pozostaje przede wszystkim realizacją interesów Berlina i Waszyngtonu w Europie Środkowej, w tym na wschód od Bugu. Co istotne, ale złe dla nas – rękami polityków kolejnych ekip po 1989 r. w Warszawie. Przede wszystkim

romantyków, idealistów, godnościowców, wierzących i praktykujących Kościoła Neojagiellońskiej Rzeczypospolitej. Przekonanych o tym, że uczestniczą w budowaniu czegoś, co raz na zawsze da naszej części Europy bezpieczeństwo od imperialnej Rosji, w pakiecie ze wzajemną miłością i chęcią współdziałania wszystkich narodów leżących między Niemcami a Rosją. Rzec by można: więźniów przeszłości, tej jakże odległej, XVIII-, XIX-wiecznej, czy nieco bliższej, ale też z innej epoki, czyli XX-wiecznej. Niezdolnych do adaptacji zmieniającej

się rzeczywistości, a nade wszystko nierozumiejących podstawowej dewizy, że w polityce międzynarodowej nie ma stałych przyjaciół, a są tylko stałe interesy. A co za tym idzie – takich obłąkanych rycerzy z Warszawy jedynie słusznej sprawy wielcy tego świata nie potrzebują. Takich nie szanują, co – choćby przy okazji szczytu na Alasce i w Waszyngtonie – doświadczyliśmy jako Polska i Polacy. I jak od ponad trzech dekad Berlin i Waszyngton zadaniują, poklepią po ramieniu, wywołując już tylko z tego tytułu ekstazę u poklepywanych, nawet po-

chwałą za umacnianie demokracji tam, gdzie jej podobno nie ma, wypowiedzą stałą formułkę „za waszą i naszą wolność”, a potem każą siedzieć cicho w kącie, w oczekiwaniu na nowe wytyczne na odcinku wschodnim. A ten rzeczywisty obraz antypolskiej polityki wschodniej wygląda z grubsza tak: od ponad trzech dekad służymy, klęcząc przed Wilnem i Kijowem, i szabelkujemy przed Mińskiem. My, altruści (naiwniacy), versus oni, egoiści (cwaniacy). Dajemy, nie otrzymawszy nic lub prawie nic w zamian. Gorzej. Przechodzimy do porządku dziennego nad de facto państwowym na Litwie i na Ukrainie antypolonizmem. Wymierzonym w liczną, szczególnie na Litwie, polską społeczność. W Mińsku z kolei, w ramach neotrockistowskiej, teraz nazywanej globalną agendą, realizujemy walkę o demokrację. Dla kolejnych ekip w Warszawie, w tym tych szumnie nazywających się patriotami, ważniejszy jest los opozycjonistów na Białorusi niż sytuacja miliona Polaków, w tym na Grodzieńszczyźnie. Niejaka Cichanouska jest na liście priorytetów warszawskich notabli wyżej od więzionego Andrzeja Poczobuta. To jest polityka polska czy antypolska?

Litwa, Białoruś, Ukraina – w założeniach państwa buforowe, które miały nas chronić przed rosyjskim imperializmem.

No właśnie – w teorii. A w praktyce? Bez warszawskiego planu B, czyli sytuacji, kiedy waszyngtoński szeryf przekalkuluje, tak jak Berlin dekadę temu, albo zostanie zmuszony do zmiany postrzegania Rosji czy Białorusi. Czyli zmieni podejście nagle o 180 stopni. Bo to wynika bądź będzie wynikać z nowej geopolitycznej układanki. A prościej – amerykańskich czy niemieckich interesów w naszej części Europy. Proszę spojrzeć na te nasze tzw. elity – od patriotów do demokratów. One są od kilku miesięcy, a szczególnie od kilku dni, jak dzieci we mgle. Najbardziej komicznie wygląda to w przypadku najtwardszego jądra ponadpartyjnego, bardzo liczego, stronnictwa tych, którzy bardziej nienawidzą Rosji, niż kochają Polskę, czyli PiS. Dziewięć miesięcy temu posłowie tego ugrupowania skandowali w Sejmie: „Donald Trump”. Niedawno Jarosław Kaczyński w „Deklaracji polskiej” grzmiał „nie” dla współpracy

z putinowską Rosją oraz „tak” dla ściślego, niezachwianego sojuszu z USA. Z tym Trumpem, który układa się z Putinem? A ostatnio wysłał sygnały porozumienia z Mińskiem Łukaszenki? Przecież to jest jak zawalenie się świata, w którym funkcjonowała po 1989 r. w ciepełku, naczytawszy się Fukuyamy, niemal cała klasa polityczna nad Wisłą. Miał być bufor na wieki wieków. Ba, po 2022 r. słyszeliśmy ze strony ówczesnie rządzących, jak to teraz zwińczeniem polityki wschodniej będzie nasza nadzwyczajna, po oczywiście pewnej wygranej przez Ukrainę wojnie, pozycja w regionie. Pozycja rozdającego, z którym wszyscy, w tym najwięksi, jak USA, będą musieli się liczyć. Polska mocarstwowa, jak bajdurzenie sanacji tuż przed 1939 r. Jestem pewien, że gdyby PiS rządził trzecią kadencję, mielibyśmy już odtworzenie przedwojennej

Dla kolejnych ekip w Warszawie ważniejszy jest los opozycjonistów na Białorusi niż sytuacja miliona Polaków, w tym na Grodzieńszczyźnie

Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ale urojona wielkość niosących sztandar światowego dobra to nie tylko rodzimi patrioci. Po 2023 r. z ust nowej centrolewicowej ekipy słyszeliśmy wielokrotnie, jak to w Europie nic o nas i o tym, co wokół nas, bez nas. Jak to wracamy do głównego stołika, bo premiera w Brukseli nikt nie ogra. Pozostając w duchu lat 30. XX w.: silni, zwarci, gotowi. I co? Do Kijowa premier Tusk pojechał niedawno nie – jak liderzy Europy – w salonie, a najlagodniej rzecz ujmując – w wagonie pocztowym. W Waszyngtonie zaś byliśmy niedawno jedynie obecnym duchem, bo materialnie reprezentował nas i Europę Środkową prezydent Finlandii.

Gdzie należy szukać źródeł tej niemocy? Czy to skutek rojeń snutych w związku z tzw. ideą jagiellońską promowaną przez Jerzego Giedroycia? Czyba można powiedzieć, że to na niej zasadała się polska polityka wschodnia po 1989 r.

Myślę, że możemy tu mówić o dwóch czynnikach. Po pierwsze, obrona linii neojagiellońskiej czy – jak kto woli – giedroyciowej. Ten obrany przez Polskę, a precyzyjnie w dużej mierze narzucony z zewnątrz, a zgrabnie ubrany w polski kostium przez narzucających kurs, zarówno na odcinku ukraińskim, jak i litewskim, dał nam – Polsce – chore partnerstwo. Przykładów z odległej przeszłości jest aż nadto. Ale wystarczy – a to mamy wszyscy w pamięci i ma to duży wpływ na sympatie polityczne Polaków tu i teraz – sięgnąć po przykład kelnerowania, nadskakiwania przez Warszawę Kijowowi po 2022 r. Tak się nie szanować? Dać się aż tak wielokrotnie sponiewierać? Sprowadzić kraj dumnych prawie 40 mln Polaków do roli dającej za darmo prostytutki, która – jak trzeba – pozwoli jeszcze na koniec napluć na siebie i dać się spoliczkować? Począwszy od prezydenta Dudy, postaci tragikomicznej, który postanowił w drugiej połowie swojej kadencji porzucić funkcję głowy państwa polskiego i zostać wiceprezydentem Ukrainy, dbającym niemal wyłącznie o interesy Ukrainy, bez patrzenia, co z tego ma Polska, co z tego mają Polacy. Po rządzących do 2023 r. i po nim – z tą bezwarunkową pomocą dla Kijowa. Bo tak trzeba, bo to szlachetne, bo to słuszne, bo musimy, bo to nasza wojna. Bez względu na koszty dla nas, a mówimy o setkach miliardów złotych zadłużenia, które będą spłacać nasze dzieci i wnuki. A w wymiarze symbolicznym z ciągłością ekshumacji na masową skalę żołnierzy Wehrmachtu i wyszarpanym niedawno jednym miejscem czy dwoma, gdzie łaskawie Kijów pozwolił wykopać kilka dołów, gdzie mogą znajdować się szczątki bestialsko zamordowanych przez Ukraińców Polaków na Wołyniu czy w Galicji Wschodniej. Można odnieść wrażenie, że niemal cała klasa polityczna od dawna, ale od trzech lat to się nasiliło, cierpi na chorobę o numerze statystycznym F.44.3, czyli trans i opętanie. Neojagielloński, proukraiński trans i opętanie.

Nie mówiąc o tym, jak bardzo koncepcje jagiellońskie rozmiągają się z rzeczywistością obecnie.

Co było widać już w latach 90. Mówili i pisali o tym, pozostający na nieszczęście dla Polski w mniejszości, realiści.

W mniejszości dlatego, że to się wielkim tego świata opłacało, oraz dlatego, że w III RP można podważać konstytucję, wiele dogmatów, w tym ten o nieomylności papieża, ale nie można podważać dogmatu o niemylności Giedroycia i środowiska paryskiej „Kultury”. Bo to sacrum nad sacrum w Kościele Neojagiellońskiej Rzeczypospolitej. I to wtedy, kiedy – jak w przypadku relacji z Litwą – mamy niemal każdego dnia dowód na to, że neojagiellońskie wyzwywy przełożone na praktykę dają wymierne straty Polsce. Tej rozumianej jako ciągłość między przeszłością a teraźniejszością, niezamykającej się, bo taka jest nasza historia, duch i materia, między Bałtykiem a Tatrami. Wilno, o czym już wcześniej wspominałem, realizuje de facto od ponad trzech dekad, z żelazną konsekwencją i przy całkowitym milczeniu, czyli aprobacie Warszawy, rugowanie ze swojej przestrzeni publicznej, wszelkimi dostępnymi środkami, polskości. Odczuwają to Polacy zamieszkujący na Wileńszczyźnie, którzy choć są u siebie od setek lat, to są obywatelami drugiej kategorii. Władze Litwy wbrew konwencji o ochronie praw mniejszości narodowych i etnicznych obowiązujących w Europie nie respektują prawa własności naszych rodaków, co widzieliśmy na przykładzie skandalicznie realizowanej reprivatyzacji. Do tego dodajmy kwestie edukacji, nazw miejscowości i ulic na terenach zamieszkałych przez rodaków. Podam przykład. W Ejszyszkach, gdzie byłem, mieszka grubo ponad 80 proc. Polaków, a kilka lat temu za wywieszenie na domu, obok nazwy litewskiej ulicy Kościelnej, jej odpowiednika po polsku właściciel posesji został ukarany wysokim mandatem. Polscy prezydenci i premierzy, od lewicy do prawicy, w ostatnich 35 latach odbyli setki wizyt w Wilnie, spotykając się ze swoimi litewskimi odpowiednikami. Jak to jest, że na agendzie zawsze było miejsce na kwestie bezpieczeństwa naszego regionu, a nie było miejsca na wyegzekwowanie od władz litewskich tego, co się naszym rodakom po prostu należy? Bo kto miałby się o to upomnieć jak nie Warszawa? Zasadne wydaje się w związku z tym postawienie pytania, czy w Wilnie reprezentowali nas politycy polscy czy politycy z Polski. Dotyczy to, biorąc pod uwagę każdorazowo

To dobry kierunek na starcie prezydentury, by polityka w sprawach krajowych i relacji z innymi krajami była w końcu propolska. I oby ten nowy kierunek miał swoją kontynuację

wo wyłączenie z dialogu z Litwą spraw polskich, wycieczek krajoznawczych do Wilna prezydentów Wałęsy, Kwaśniewskiego, Kaczyńskiego, Komorowskiego i Dudy. Głównym państwem, wywodzącym się z różnych opcji politycznych, ale połączonych niezrozumiałym pomijaniem tychże spraw polskich w ramach realizowanej, przynajmniej z nazwy polskiej, polityki wschodniej. Wracając do wcześniejszego pytania o niemoc. Powiedzieliśmy sobie już o romantykach i lekkoduchach. Ale nie sposób nie pójść jeszcze dalej i nie postawić pytania, czy w przypadku niektórych przedstawicieli państwa polskiego, którzy wywiesili białą flagę ze sprawami polskimi na wschód od Bugu, mieliśmy czy mamy do czynienia ze świadomym działaniem wbrew polskiemu interesom.

Trudno wszystko tłumaczyć indolencją. To pachnie zdradą.

To zmusza do zadania pytania, na ile część polskiej klasy politycznej jest przedmiotem skutecznych działań operacyjnych służb państw położonych na wschód od nas, ale pozostaje także kwestia wpływu agentury „państw sojuszników” z Zachodu. W obu przypadkach przekłada się to na efekty działalności w ramach tzw. polskiej polityki wschodniej z niekorzyścią dla polskiego interesu narodowego. Można by więc zapytać: A gdzie osłona kontrwywiadowcza? Nie ma, bo to przyjaciele, którzy względem nas mają tylko szlachetne intencje?

Powiedział pan, że w relacjach z Litwą i Ukrainą Polska w pełni się otwiera, nie dostając w zamian nic. W szczególnie jaskrawy sposób widać to w relacjach z Ukrainą, która z rąk Polski i Polaków otrzymała i otrzymuje bezprecedensową pomoc. Zamiast wdzięczności mamy powtarzające się

banderowskie demonstracje, jak ostatnio podczas koncertu rapowego na Stadionie Narodowym.

Takich ekscesów było dużo więcej. Ostatnio mieliśmy wysyp banderowskich symboli na murach we Wrocławiu czy zdewastowanie pomnika ofiar rzezi wołyńskiej w Domostawie. Gdyby nie nacisk opinii publicznej, głównie w mediach społecznościowych, to mielibyśmy to, co obserwowujemy od dłuższego czasu w głównym nurcie mediów w Polsce. Wyciszanie bądź pomniejszanie znaczenia antypolskich zdarzeń, zwłaszcza z udziałem Ukraińców. Mówiąc „główny nurt medialny”, bynajmniej nie mam na myśli wyłącznie mediów lewicowo-liberalnych, lecz także te, które do obrzydzenia określają się mianem patriotycznych. Musimy mieć świadomość, że w sprawach polityki wschodniej od lat oraz nasilających się w ostatnim czasie antypolskich ekscesów w kraju mamy do czynienia z szerokim frontem niby skłóconych, ale nadających na jednej fali, od „Gazety Wyborczej” Michnika do „Gazety Polskiej” Sakiewicza, od Kraśki w TVN24 do Rachonia w Republice. W żadnym z wymienionych mediów nie zobaczymy czy nie usłyszymy choćby, że zapaść służby zdrowia w Polsce to w dużej mierze pochodna zrównania w prawach pacjenta obywateli Ukrainy. Czyli że my, z niekorzyścią dla polskich pacjentów, utrzymujemy de facto, w tym i nie tylko w tym segmencie, dwa narody, dwa państwa.

Rodzi się pytanie o alternatywę. Gdzie upatrywać nadziei na wyjście z tego chocholego tańca? Braku realistycznej polskiej agendy wobec państw za naszą wschodnią granicą?

Szanse na zmianę w najbliższych latach są mocno ograniczone. Bo musiałoby to oznaczać, że do gry wchodzi, w sensie sprawczości, formacja w rodzaju Konfederacji, która jest wolna od tych wszystkich giedroyciowych upiorów. Z politykami młodszej generacji. Odrzucających tych, starszych od nich o dwie, trzy, a nawet cztery dekady, obłąkanych rycerzy, mamroczących o idealnym świecie, moralności w polityce, wartościach czy stałych sojuszach. Postrzeganych przez niemal cały świat jak dziwacy, nieprzystający do rzeczywistości. Z którymi normalnej polityki uprawiać się nie da. A dla Polski wręcz szkodliwych. Odwołujących się do dziejowego fatum, czyli nurtu romantyczno-insurekcyjnego. Z tymi

choćby od daniny krwi dla wielkich celów, którzy kazali walczyć młodym warszawiakom bez broni, bo jak świat się dowie o Powstaniu Warszawskim, to diametralnie zmieni się in plus pozycja Polski. W ich miejsce musieliby wejść ci z mentalnością kupiecką. Pragmatyczni i praktyczni. Z pytaniami, których liderzy PiS czy PO na odcinku wschodnim nigdy sobie nie zadają, a co robi niemal cały świat, aktywizując się w relacjach międzynarodowych. Kategorii z języka biznesu: opłacalność inwestycji, rachunek zysków i strat, koszty itd.

Możemy się nadal chlępić, że jesteśmy „humanitarnym mocarstwem”...

To świetny przykład, który dowodzi tego, jak infantylne są mózgi wielu polskich polityków od lewicy do prawicy. Przedszkolaków w piaskownicy, chlępiących się tym, że ktoś gdzieś w jakimś dzienniku czy tygodniku napisał o Polsce jako „mocarstwie humanitarnym”. Kraju, który tak pięknie przyjął miliony Ukraińców, że nie trzeba było dla nich budować żadnych obozów dla uchodźców. Albo

że jesteśmy w czołówce pod względem PKB państw wspierających Ukrainę. No bo przecież my zawsze po stronie dobra. Za jaką cenę? Z jakimi korzyściami? Bez korekty obranej ponad trzy dekady temu strategii? Tak jakby świat zastygł?

Niestety, mam wrażenie, że do postawienia takich pytań wprost nie jest gotowy także nowy prezydent Karol Nawrocki. Gdyby było inaczej, on sam pewnie zyskałby spektakularne poparcie wśród Polaków, ale wywróciłby do góry nogami polską politykę, nie tylko wschodnią.

Prezydent Nawrocki ma prosty wybór. Albo kontynuacja, czyli bycie, choćby na odcinku wschodnim, neo-Dudą. Co z automatu oznacza konflikt z prawie połową wyborców z II tury, z twardej prawicy. Albo zasadnicza korekta i porzucenie romantyzmu w polityce, w tym w polityce zagranicznej. Co nie niesie – moim zdaniem – aż tak dużego ryzyka. Dlaczego? Walcząc o reelekcję w 2030 r., prezydent Nawrocki będzie potrzebował jeszcze mniej głosów pochodzących z PiS. Jeśli ta partia w ogóle przetrwa do końca obecnej dekady w obecnej postaci. Przed

nami bowiem czas, kiedy prawica będzie o wiele mniej PiS-owska, w rozumieniu Zamkniętego Funduszu Emerytalnego Porozumienia Centrum, niż do tej pory. To oznacza, że zapotrzebowanie na utopijne, neojagiellońskie spojrzenie na nasz region musi zostać wyparte zdroworozsądkowym, pragmatycznym, wolnym od fobii podejściem. Być może początki tego już obserwujemy. Mam tu na myśli zesłotygodniowe weto do ustawy o wsparciu dla ukraińskich uchodźców. Zapowiedź prezydenckiej inicjatywy, która prowadziłaby do uszczelnienia 800+ czy ograniczenia w korzystaniu z usług NFZ do pracujących i płacących u nas podatki Ukraińców. Do tego zapowiedź nowelizacji ustawy o IPN w kwestii ścigania banderyzmu, który miałby być zrównany – co jest jak najbardziej trafne – z nazizmem i komunizmem. Ze swojej strony mogę tylko przyklasnąć, bo to dobry kierunek na starcie prezydentury, by polityka w sprawach krajowych i relacji z innymi krajami była w końcu propolska. I oby ten nowy kierunek miał swoją kontynuację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

67 lat
historii filmu
2536 wydań

Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej

Filmopedia ★
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





Cudowne rozmnożenie prawicy

Gdy siedem miesięcy temu Grzegorz Braun zdecydował się na samodzielny start w wyborach prezydenckich, powszechne było pisanie o „wojnie domowej w Konfederacji”. Nie bez podstaw – rzeczywiście podstawą rozłamu był fakt, że Sławomir Mentzen i Braun nie byli w stanie porozumieć się co do prawyborów (prezes Nowej Nadziei nie chciał udziału w nich reżysera, akceptował starcie jeden na jeden z Krzysztofem Bosakiem) i miejsc na listach (prezes Korony chciał dla siebie jednej trzeciej „jedynek” do Sejmu i Rady Liderów). Wydawało się, że może dojść do ostrej walki o dotychczasowych



Kacper Kita

Prezydent Karol Nawrocki nie ma interesu w aktywnym wspieraniu Prawa i Sprawiedliwości przeciwko Konfederacji, tylko w budowie wizerunku „prezydenta wszystkich patriotów” i we wspieraniu w walce o mandaty poselskie konkretnych, bliższych sobie polityków PiS. Skądinąd może się okazać, że na ewentualne wzmocnienie głowy państwa prędzej będą d o namówienia Konfederacja lub Korona niż Jarosław Kaczyński, tradycyjnie preferujący silny ośrodek rządowy



Wymiana zdań między Sławomirem Mentzenem a Grzegorzem Braunem podczas debaty kandydatów na prezydenta organizowanej przez „Super Express”, 28 kwietnia 2025 r.

FOT. MAREK KUDELSKI/SE/EAST NEWS

niepisowskiej

sympatyków. Niektórzy obawiali się, czy część wyborców się w ogóle nie zniechęci do obu kandydatów, widząc rozłam, wzajemne oskarżenia i publiczne pranie brudów. W końcu niepisowska prawica przez długie lata była podzielona i żadne jej środowisko nie było w stanie znaleźć się w parlamencie, a Konfederacja ewidentnie dostała w 2019 r. „premię za zjednoczenie”.

Warto zauważyć, że równolegle analogiczna „wojna domowa” odbyła się na lewicy. Adrian Zandberg i Magdalena Biejat jeszcze 10 miesięcy temu byli w tej samej formacji – Partii Razem, a teraz wystartowali przeciwko sobie. Tam też

zderzenie osobistych ambicji łączyło się z taktycznymi różnicami (chęcią prowadzenia „entryzmu” w ramach rządu Donalda Tuska – opcją wybraną przez Biejat i byciem w opozycji preferowanym przez Zandberga).

Na lewicy rzeczywiście doszło do klasycznej kanibalizacji i podziału stałego, zamkniętego zbioru wyborców. Do Sejmu w 2023 r. wspólna lista Lewicy dostała 1,86 mln głosów. Półtora roku później w wyborach prezydenckich oboje jej kandydaci dostali razem 1,78 mln – prawie dokładnie tyle samo. Zero zaskoczeń.

W „wojnie domowej na prawicy” wydarzyło się jednak coś zupełnie innego.

Konfederacja dostała do Sejmu 1,55 mln głosów. A potem nagle Mentzen i Braun otrzymali razem aż 4,14 mln – prawie trzy razy więcej! Mentzen 2,9 mln – prawie dwukrotność wyniku „Konfy” sprzed dwóch lat. Braun 1,24 mln – praktycznie tyle samo, co cała Konfederacja, gdy pierwszy raz weszła do Sejmu w 2019 r. (1,26 mln), co było przecież wówczas odbierane jako jej duży sukces. Wszystkie sondaże na przestrzeni tych siedmiu miesięcy (a więc długiego już czasu) pokazują, że również gdy chodzi o poparcie dla partii politycznych w perspektywie wyborów do Sejmu, Konfederacja bynajmniej nie straciła na odejściu reżysera. Sojusz narodowo-wolnościowy ma dziś 13–18 proc., a zarazem Korona ma szansę na samodzielne przekroczenie progu wyborczego z 5–7 proc.

Jak mogło dojść do takiego cudownego rozmnożenia? Jak to możliwe, że na rozejściu się zyskali jednocześnie i Mentzen, i Braun? Co to oznacza dla przyszłości polskiej prawicy i relacji między niegdyśiejszymi partnerami?

NOWA RÓWNOWAGA SIĘ

Po pierwsze wypada zauważyć, że wynik I tury 18 maja 2025 r. był poniekąd powtórzeniem na większą skalę tej samej równowagi, która wystąpiła rok wcześniej, gdy wybieraliśmy posłów do Parlamentu Europejskiego. Już od wyborów do Sejmu w Konfederacji „kotłowała się”, a poszczególni liderzy szykowali się do znalezienia nowej wewnętrznej równowagi, wyłonienia nowej Rady Liderów i rozstrzygnięcia kwestii kandydata w wyborach prezydenckich. Narastało napięcie na linii Mentzen – Braun, między nimi zaś próbował manewrować Ruch Narodowy.

Prezes Nowej Nadziei nie zdołał zdominować partnerów wskutek rozczarującego wyniku wyborów do Sejmu, ale wziął się do wewnętrznych rozliczeń (m.in. wycięcia Janusza Korwin-Mikkego), szykował do boju o prezydenturę i budował grunt pod usunięcie także Brauna. Krzysztof Bosak wywalczył stanowisko wicemarszałka Sejmu, które mocno pomaga mu budować wizerunek poważnego państwowca. Braun, który zgodził się być mało widoczny w kampanii parlamentarnej, postanowił widowiskowo przypomnieć o sobie w grudniu 2023 r. poprzez zgaszanie świec chanukowych w Sejmie, ■

■ które ewidentnie przysporzyło mu zwolenników. Prezes Korony nieoczekiwanie zdecydował się też na start w wyborach do PE z drugiego miejsca w Krakowie, czym zaskoczył partnerów.

Wyборы do PE nie przyniosły jednak rozstrzygnięcia wewnętrznego sporu, bo każdy z ówczesnych trzech członów Konfederacji odniósł w nich jednocześnie spory sukces i pewną porażkę. Nowa Nadzieja zdobyła trzy mandaty, a w Warszawie Ewa Zajączkowska-Herńnik przeskoczyła Krystiana Kamińskiego z Ruchu Narodowego, ale w Krakowie Konrad Berkowicz został przegoniony na swoim terenie przez Brauna. Ruch Narodowy przegrał w Warszawie z NN, ale za to w Wielkopolsce znakomity wynik uzyskała Anna Bryłka z RN, a narodowiec Tomasz Buczek wywalczył szósty mandat kosztem Rafała Forsysa z Korony. Wszyscy mogli być w miarę zadowoleni, każdy miał lekki niedosyt, każdy pokazał też, że ma swoich oddanych wyborców. Nowy układ sił był więc nadal zagadką, bo z jednej strony po czerwcowym sukcesie Mentzen nie miał już podstaw do usunięcia Brauna, ale z drugiej nie chciał też uznać reżysera za lidera takiego samego rządu co on i Bosak i oddać mu jednej trzeciej miejsc.

Braun mógł pokręcić głową, trwać dalej w Konfederacji i mieć zagwarantowaną obecność w Sejmie, choć mniejszą niż ta, której by chciał. Ostatecznie zdecydował się jednak zaryzykować samodzielny start. Miał bezpieczny mandat w PE do 2029 r., być może stwierdził też, że nie ma na co czekać – w końcu liczy sobie już 57 lat, gdy Bosak 43 lata, a Mentzen 39. Z pewnością uznał, że ma dość silnie zaangażowanych zwolenników, by sobie na to pozwolić. Chciał być „zważony i policzony”, nawiązując do uczty Baltazara z biblijnej Księgi Daniela.

SŁABNIĘCIE PIS OTWIERA PRZESTRZEŃ?

W wyborach prezydenckich zobaczyliśmy więc to samo, co wcześniej w kampanii europejskiej. Część zwolenników Brauna odgrażała się, że ten przegoni „miękkiego i nijakiego” Mentzena. Sympatycy prezesa Nowej Nadziei – że reżyser dostanie fatalny wynik i sam się wyrzuci na margines. Znow jednak wszyscy urosli jednocześnie. W tych

okolicznościach wydaje się, że wbrew pozorom obie siły mimo naturalnej rywalizacji wcale nie są skazane na bezwzględny konflikt, ale mogą być w pewnej mierze komplementarne. Są w tym momencie swoimi odbiciami, a kontrast pomaga budować własną tożsamość. Mentzenowi i Bosakowi na tle Brauna dużo łatwiej wychodzić na „poważnych i rozsądnych”, a ponadto Braun może pokazywać się jako ten „naprawdę twardy i bezkompromisowy”, który np. nigdy nie spotkałby się z Andrzejem Dudą.

Po drugie ostateczne zwycięstwo Karola Nawrockiego nie powinno odwracać naszej uwagi od tego, że w I turze dostał on najsłabszy wynik w historii kandydatów PiS na prezydenta od powstania tej partii w 2001 r. Pod względem procentowym jego 29,54 proc. to najgorszy rezul-

Brauna skuteczniej pozyskują niektórych zwolenników PiS o bardziej „umiarkowanej” wrażliwości, a także część rozczarowanych sympatyków Trzeciej Drogi (niekiedy nawet PO), którzy nie zagłosowaliby na PiS ze względu na plemienną emocję i niechęć do Kaczyńskiego, a Brauna mogą odbierać jako „radykała”. Co więcej, zarówno Braun, jak i Mentzen mobilizują wyborców, którzy nie mieli dotąd silnej tożsamości partyjnej i niekoniecznie głosowali we wcześniejszych wyborach.

Tezy te potwierdzają badania exit poll, których oczywiście nie należy traktować jako nieomylnych, ale błędem byłoby też lekceważąco wyrzucać je do kosza – pokazują nam pewne spójne logiczne tendencje. Obaj kandydaci mieli ponadprzeciętnie wysokie wyniki wśród

Wywoływane każdorazowo przez Grzegorza Brauna oburzenie wszelkich liberalno-lewicowych autorytetów pozwala mu skupić na sobie uwagę i pozyskać sympatyków, dla których rytualne potępienia prezesa Korony są zachętą, by go popierać

tat ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego od czasu 27 proc. do Sejmu w 2005 r. Wątpliwe, by była to wina samego kandydata, który przecież w trakcie kampanii wyraźnie rozwinął skrzydła. Po prostu w Polsce postępuje proces „dehegemonizacji prawicy”, analogiczny do większych krajów europejskich, o którym pisałem już w poprzednich numerach „Do Rzeczy”. Badania opinii wskazują, że sam PiS także cieszy się podobnym poparciem między 27 a 32 proc. Wybory prezydenckie potwierdziły również znane trendy demograficzne. Nawrocki w I turze najwyższe wyniki uzyskiwał wśród najstarszych, a im młodsza grupa wiekowa, tym był słabszy. Do wyborów w 2027 r. prawo głosu uzyskają kolejne dwa roczniki, a wśród najmłodszych Mentzen był absolutnym dominatorem.

Wyda się zatem, że jednoczesny wzrost był możliwy, ponieważ wyrazisty przekaz Brauna pozyskał część dotychczasowych wyborców PiS o wrażliwości katolicko-konserwatywnej lub niechętnych środowiskom żydowskim i Ukraincom. Ponadto Mentzen i Bosak bez

niegłosujących w ostatnich wyborach do Sejmu (Mentzen – 30 proc. i wyraźnie pierwsze miejsce w tej grupie, Braun – 12 proc.) i deklarujących, że nie pamiętają, na kogo wtedy głosowali (Mentzen – 18 proc., Braun – 13 proc.). Mentzen rozbił bank wśród najmłodszych (zwycięstwo z 35 proc. w grupie 18–29 lat) i uzyskał jednoznaczną tendencję – im starsi, tym niższe poparcie. Dla odmiany Braun zdobył najwyższe wyniki w grupach wiekowych 30–39 i 40–49 lat. U Mentzena wyraźniejsza była różnica między płciami na korzyść mężczyzn. Wyborcy Konfederacji z 2023 r. stanowili 51 proc. głosujących na Mentzena, ale tylko 37 proc. głosujących na Brauna. Wśród wyborców Mentzena 15 proc. głosowało do Sejmu na PiS, a 13 proc. na jedno z trzech ugrupowań tworzących obecny rząd. U Brauna różnica jest dużo wyraźniejsza – to odpowiednio 22 proc. głosów oddanych na partię Kaczyńskiego i 9 proc. – na centrolew.

Ewidentne są różnice geograficzne, które pokazują nam twarde dane PKW. Poparcie dla Mentzena było znacznie

bardziej równomiernie rozłożone na mapie Polski. W województwie podkarpackim, gdzie miał najlepszy wynik, był on o 37 proc. wyższy od najsłabszego wyniku w zachodniopomorskim. Natomiast wszędzie zdobył przynajmniej 13 proc. Dla odmiany u Brauna różnica między „sufitem” na Podkarpaciu a „podłogą” w województwie pomorskim wynosiła 85 proc. Prezes Korony był szczególnie skuteczny na ścianie wschodniej – w tradycyjnych bastionach PiS. Prezes Nowej Nadziei także, ale widać, że jego intensywny objazd całego kraju przyniósł efekty w postaci pozyskania bardziej różnorodnego elektoratu.

Jarosław Kaczyński zadeklarował oczywiście na kongresie swojej partii, że nie satysfakcjonuje go 30 proc. poparcia, a PiS ma walczyć o 40 proc. i samodzielne rządy. Trudność jego położenia polega jednak na tym, że jego ugrupowanie „przecieka” obecnie nie na jednym froncie, a na dwóch różnych. Emocje narodowo-katolickie czy antyżydowskie na rzecz PiS mogły być dawniej obsługiwane np. przez Antoniego Macierewicza czy Radio Maryja, zwłaszcza wtedy, gdy ich przekaz był „ostrzejszy”. Dziś o to trudno, a Przemysław Czarnek postanowił w ostatnich tygodniach wejść w rolę obrońcy imigracji – masowe sprowadzanie obcych jest rzekomo dobre, o ile ma charakter legalny i ktoś w Polsce uważa, że na nim zarobi (np. jakaś firma lub uczelnia). Czarnek chce „przekonywać do tego przyjaciół z Konfederacji” i własnych wyborców. Powodzenia! Skądinąd imigracja to pole, na którym może dojść do swego rodzaju licytacji między Konfederacją a Koroną, bo nastroje społeczne umożliwiają wprowadzanie do debaty „radikalnych” rozwiązania.

Nadzieją dla PiS mogłyby być popularność i świeżość Karola Nawrockiego. Polityka doskonale zna jednak zjawisko prezydenta popularniejszego od partii, z której się wywodzi. Nawrocki nie ma zaś interesu w aktywnym wspieraniu PiS przeciwko Konfederacji, tylko w budowie wizerunku „prezydenta wszystkich patriotów” i wspieraniu w walce o mandaty poselskie konkretnych, bliższych sobie polityków PiS. W ten sposób maksymalizuje swoje szanse na reelekcję w 2030 r. i przeprowadzenie zmian w konstytucji. Skądinąd może się okazać, że na ewen-

Konfederacji nie opłaca się frontalny atak na Brauna, bo mógłby być przeciwnie skuteczny. Takiej postawy nie przyjął też podczas wyborów Mentzen

tualne wzmocnienie głowy państwa – bo wątpliwe, by Nawrocki chciał osłabiać własną władzę – prędzej będą do namówienia Konfederacja lub Korona niż Jarosław Kaczyński, tradycyjnie preferujący silny ośrodek rządowy (a więc możliwy do kontroli przez partię i jej prezesa).

KOGO URATUJE ORDYNACJA D'HONDTA?

Wejście Konfederacji do Sejmu jest dziś oczywiste, niespodzianką byłby też wynik inny niż dwucyfrowy. Wielu jej polityków nadal wątpi natomiast, czy Braun będzie w stanie zbudować listę zdolną do wejścia do Sejmu. Wybory prezydenckie są ogólnopolskie, podczas gdy do Sejmu charyzmatyczny reżyser będzie mógł wystawić samego siebie tylko w jednym na 41 okręgów. Część jego wyborców może np. wybrać znanego sobie miejscowego posła PiS należącego do konserwatywnego skrzydła partii zamiast anonimowej „jedyńki” Korony. Także Konfederacja wypracowała przez ostatnie kilka lat większą liczbę rozpoznawalnych liderów, a służyć temu mogą choćby liczne protesty antyimigracyjne.

Braun wybrał zatem kurs na „utwardzanie” sympatyków. Nie ma już większego tabu niż Holocaust i komory gazowe w Oświęcimiu. Część prawicowych wyborców może to odstraszyć – tak ze względów moralnych, jak estetycznych. Braun chce jednak stać się „teflonowy” – odporny na oburzenie i krytykę – oraz zbudować grupę zwolenników, którzy pójdą za nim w ogień. Doskonale wykształcony, wychowany w profesorskim domu badacz polskiej kultury prezes Korony z reżyserskim kunsztem obsadza sam siebie w roli najgorszego koszmara Adama Michnika. Wywoływane każdorazowo oburzenie wszelkich liberalno-lewicowych autorytetów pozwala skupić

na sobie uwagę i pozyskać sympatyków, dla których rytualne potępienia Brauna są zachętą, by go popierać.

Reżyser wie też, że jego zwolenników zwyczajnie cieszy bezradność „Gazety Wyborczej” i TVN, którym brakuje już epitetów na określenie Brauna. Okres między turami pokazał, że reżyser ewidentnie nie jest nawiedzonym szaleńcem, ale kalkuluje swoje ruchy. Jednego dnia atakował Nawrockiego za „zdjęcia z pornorabinem”, by drugiego poprzeć go ze stoickim spokojem odpowiedzialnego konserwatysty – typowa taktyka negocjacyjna. Także jeszcze w Konfederacji potrafił milczeć, gdy uznał to za opłacalne, i potrafił uderzyć.

Konfederacji nie opłaca się frontalny atak na Brauna, bo mógłby być przeciwnie skuteczny. Takiej postawy nie przyjął też w kampanii prezydenckiej Mentzen mimo osobistej niechęci. Bardziej prawdopodobne jest skupienie się na „robieńiu swojego” poprzez aktywne, systematyczne zaangażowanie w konkretne sprawy i miejscowościach. Braun buduje od lat poparcie w logice zrywów wokół jego kolejnych głośnych akcji – protestów przeciwko restrykcjom sanitarnym, ściąganiu flagi Ukrainy czy interwencji w szpitalu w Oleśnicy.

Czy da się to pogodzić z budową profesjonalnej partii zdolnej do tak wielkiego wysiłku organizacyjnego jak wybory do Sejmu? Podobno jednym z pomysłów Brauna jest proponowanie „jedynek” na listach znanym komentatorom, w tym internetowym. Jest w podobnej sytuacji, co Paweł Kukiz w 2015 r. i „wczesna” Konfederacja w 2019 r. – musi zbudować drużynę, zaczynając od zbioru indywidualności. Piosenkarzowi się nie udało, „Konfie” owszem – acz ta druga miała już jako podstawę dwie aktywne partie, a „indywidualiści” z czasem poodpadali. Warto też brać pod uwagę, że wynik Korony może mieć duże znaczenie dla układu sił w Sejmie. Jeśli rządząca centrolewica wystawiłaby jedną listę, to PiS by dalej słabł. Razem lub jakaś wykreowana w tym czasie „Nowoczesna 2.0” zrobiłaby przyzwoity wynik, a Korona nie przekroczyłaby progu, dzięki premii mającej największego ordynacji D'Hondta niewykluczone byłoby utrzymanie większości przez siły liberalno-lewicowe.

Trzęsienie ziemi w Instytucie Pileckiego



Radosław Wojtas

Krzysztof Ruchniewicz jako dyrektor Instytutu Pileckiego skompromitował się już dawno, w piątek wreszcie został odwołany. Stało się to po tym, gdy zdymisjonował Hannę Radziejowską, szefową berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego, i... zapytał Niemców, co sądzą o wyrzuceniu jej dyscyplinarnie z pracy, a zastępcę Radziejowskiej wyrzucił w skandaliczny sposób. W tle jest kwestia ochrony tych pracowników na mocy ustawy o sygnalistach i pytanie o odpowiedzialność minister kultury Marty Cienkowskiej



Krzysztof Ruchniewicz nie zapisze się w pamięci pracowników Instytutu Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego, jako tytan pracy, ale trzeba mu oddać, że akurat na swoją dymisję pracował sumiennie, wytrwale i ciężko od miesięcy. Uległość wobec Republiki Federalnej Niemiec, paraliż działalności instytutu, zwłaszcza jego zagranicznych oddziałów, kryzys w Centrum Lemkina, a do tego fatalna komunikacja, posty rzecznik prasowej IP w obronie Maksymiliana Sznepf'a i atakowanie dziennikarzy – można długo wymieniać „dokonania” dyrektora.

Wszystko to przez wiele miesięcy uchodziło jednak Ruchniewiczowi na sucho. Dopiero sprawa dymisji i próba zwolnienia dyscyplinarnego Hanny Radziejowskiej, dyrektor berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego, oraz dyscyplinarne wyrzucenie z pracy jej zastępcy okazały się dla Krzysztofa Ruchniewicza

jak – parafrazując klasyka – potrącenie po pijaku ciężarnej zakonniczki na pasach.

Dlaczego? Dlatego, że ta sprawa jest poważnym zagrożeniem dla minister kultury Marty Cienkowskiej. Zapewne sąd rozstrzygnie, czy rację mają poszkodowani pracownicy, którzy byli przekonani, że zostali przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego objęci ochroną w myśl przepisów o sygnalistach, czy Marta Cienkowska, która twierdzi, że takiej ochrony nie mieli. I która – za pośrednictwem pracownika MKiDN – przekazała do Instytutu Pileckiego poufny list Radziejowskiej krytykujący działania Ruchniewicza.

Minister kultury poinformowała w piątek, że Krzysztof Ruchniewicz zostaje odwołany, a nowym dyrektorem Instytutu Pileckiego będzie Karol Madaj (w latach 2020–2023 p.o. dyrektor Muzeum – Dom Rodziny Pileckich, były pracownik IPN oraz Instytutu Pileckiego). I choć zauważyła, że sprawa ostatnich decyzji perso-

nalnych „mogła skrzywdzić wiele osób”, to jednak nie to było powodem dymisji. – Hanna Radziejowska nie była sygnalistką – podkreśliła raz jeszcze minister.

– Głównym powodem mojej decyzji jest niedopełnienie obowiązków w zakresie statutowego funkcjonowania Instytutu Pileckiego poprzez wadliwe założenia programowe, wadliwą politykę komunikacyjną i wadliwe decyzje zarządcze – mówiła Marta Cienkowska, która sobie nie ma nic do zarzucenia. Czy słusznie? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba prześledzić sprawę dymisji i zwolnień w Instytucie Pileckiego.

FUNDAMENTALNE RÓŻNICE

Współpraca prof. Krzysztofa Ruchniewicza (historyka, niemcoznawcy, germanofila, którego na czele Instytutu Pileckiego postawiono w 2024 r.) z Hanną Radziejowską (historykiem, menedżerką kultury, która w 2019 r. została dyrekto-

Krzysztof Ruchniewicz na stanowisku szefa Instytutu Pileckiego krytykowany był od wielu miesięcy. Został zdymisjonowany dopiero w ubiegły piątek. FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS



na badaniach naukowych. Jeżeli chodzi o Niemcy, to jest wiele do zrobienia, bo społeczeństwo niemieckie jest kompletnie niezorientowane na poziomie oczywistej wiedzy dotyczącej drugiej wojny światowej i odpowiedzialności za zbrodnie. Pani Radziejowska miała dobry kontakt m.in. z historykami i z dyrektorami szkół. Jej działalność była bardzo pożyteczna. Uważaliśmy, że politykę historyczną powinni prowadzić ludzie o różnej wrażliwości, jeżeli jest między nami zgodność odnośnie do podejścia generalnego: postawy państwowej, broniącej polskiej racji stanu w polityce historycznej – mówi prof. Piotr Glišński w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Takiej zgodności odnośnie do podejścia generalnego nie było między Hanną Radziejowską a Krzysztofem Ruchniewiczem. Zresztą zgodności co do pryncypów nie było i nie ma między założeniami leżącymi u podstaw powołania i działalności Instytutu Pileckiego, a jego zdymisjonowanym w piątek szefem. Jedną z pierwszych decyzji Krzysztofa Ruchniewicza na stanowisku dyrektora Instytutu Pileckiego było odwołanie konferencji w Berlinie dotyczącej zrabowanych Polsce przez Niemcy dóbr kultury. Jeszcze większy szok i oburzenie wywołał pomysł zorganizowania seminarium dotyczącego zwrotu dóbr kultury przez Polskę na rzecz Niemiec, co pod koniec lipca ujawniła „Rzeczpospolita”.

ŚCIŚLE JAWNE

Hanna Radziejowska o działaniach Ruchniewicza stojących w sprzeczności z interesami Polski alarmowała najpierw minister kultury Hannę Wróblewską, a następnie jej następczynię Martę Cienkowską. Jeden z poufnych listów Radziejowskiej do minister Cienkowskiej wyciekł do mediów. Dyrektor berlińskiego oddziału IP alarmowała w nim, że Krzysztof Ruchniewicz „oczekiwał przygotowania cyklu seminariów i zaproponował m.in. organizację seminarium poświęconego zwrotom dóbr kultury przez Polskę na rzecz Niemiec, Ukrainy, Białorusi, Litwy oraz mienia prywatnego należącego do osób pochodzenia żydowskiego”. Seminarium w zamysłach Ruchniewicza miało być zorganizowane wspólnie z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a zatem miało mieć rangę wydarzenia rządowego. Radziejowska ostrzegała:

„Propozycja dyrektora Ruchniewicza, będącego jednocześnie pełnomocnikiem do spraw relacji polsko-niemieckich, jest sprzeczna z polityką państwa polskiego i budzi poważne obawy co do negatywnych konsekwencji zarówno dla MKiDN, jak i Instytutu Pileckiego”.

Cytowany tu we fragmentach e-mail Radziejowska wysłała pod koniec lipca br. w trybie – jak sądziła – ustawy o sygnalistach, po tym, gdy w kwietniu br. pracownik Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego poinformował ją, że została uznana za sygnalistkę. Na mocy ustawy tożsamość sygnalisty pozostaje niejawną, a pracownik jest chroniony przed działaniami odwetowymi ze strony przełożonego. Jednak 14 sierpnia Instytut Pileckiego poinformował o usunięciu Radziejowskiej ze stanowiska kierownika „z powodów obiektywnych”. „Ostatnie działania Hanny Radziejowskiej poważnie podważyły zaufanie u pracodawcy. Przedstawiane przez nią w mediach społecznościowych oraz mediach tradycyjnych nadinterpretacje i insynuacje, co do realizowanych przez Instytut projektów, stanowią przekroczenie norm i relacji pracownik-pracodawca” – napisano w oświadczeniu.

Kilka dni później ogłoszono, że dyrektorem berlińskiego oddziału IP została Joanna Kiliszek. Z pewnością jest to osoba, której spojrzenie na politykę historyczną Polski i na Niemcy jest bliższe Krzysztofowi Ruchniewiczowi, który – jak powiedział prof. Zdzisław Krasnodębski – „nawet w środowiskach historyków wyjątkowo empatycznych w stosunku do Niemiec uchodzi za osobę najbardziej spolegliwą czy najbardziej dyspozycyjną, jeśli chodzi o sygnały ze strony niemieckiej”. Joanna Kiliszek to radna podberlińskiej gminy wybrana z ramienia niemieckich Zielonych, która zasłynęła m.in. tymi słowami wypowiedzianymi na wiecu pod Bramą Brandenburską: „Moją ojczyzną jest człowieczeństwo, moją ojczyzną jest wolność. Gdy teraz w Polsce widzę, jak faszysta zasiadający w polskim Sejmie zrywa wykład prof. Jana Grabowskiego o polskim problemie z Holocaustem, jak odmawia się podstawowych praw kobietom, dzieciom, niepełnosprawnym, mniejszościom seksualnym, mniejszościom narodowym, jak okrada się następne pokolenia z bogactwa natury, jak

rem berlińskiej filii Instytutu Pileckiego, a wcześniej pracowała w Ośrodku Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego, z którego wyrósł IP) od początku nie układała się najlepiej. Prezentowali oni bowiem skrajnie odmienne spojrzenie na misję Instytutu Pileckiego i na politykę historyczną w ogóle.

Profesor Piotr Glišński, który piastował stanowisko ministra kultury w rządzie PiS w czasie, kiedy powstawały Instytut Pileckiego i jego zagraniczne filie, dobrze ocenia pracę Hanny Radziejowskiej. – Pani Hanna Radziejowska najprawdopodobniej ma poglądy polityczne nieco inne niż ja, a mimo tego pracowała w Instytucie Pileckiego i uważam, że była bardzo dobrą osobą na tym stanowisku. Była konsekwentna w swoich działaniach, jeżeli chodzi o edukację historyczną Niemców.

Cały Instytut Pileckiego w dużej mierze był nastawiony na to, żeby promować polską politykę historyczną, opierając się

■ dewastuje się prawo, instytucje państwa [...] oraz jak w Dniu Dziecka na granicy polsko-białoruskiej bezdusznie, brutalnie wypycha się matki z dziećmi, to wówczas wiem, że trzeba działać i krzyczeć”.

Zarówno Instytut Pileckiego, jak i MKiDN zaprzeczyły informacjom, jakoby Radziejowska została uznana za sygnalistkę. Minister Cienkowska na konferencji prasowej 21 sierpnia broniła Ruchniewicza, mówiąc, że „zmiany kadrowe są w gestii dyrektora Instytutu Pileckiego, to on podejmuje decyzje personalne, to on zarządza tym instytutem”. Tego samego dnia rzecznik prasowa Instytutu Pileckiego Luiza Jurgiel-Żyła kpiała na X z dziennikarzy: „Cieszę się, że mamy oficjalne potwierdzenie z Ministerstwa Kultury udzielone @tvn24, że weekendowe rewelacje @wirtualnapolska i @PatrikSłowik były nieprawdziwe. Pytanie tylko, dlaczego tak szanowane medium i dziennikarze opierają się na nierzetelnych źródłach i w jaki sposób dziennikarze zrehabilitują się za ten błąd w sztuce?”.

Niesłusznie pomawiani o błąd w sztuce dziennikarze WP Patrik Słowik i Paweł Figurski „zrehabilitowali się” następnego dnia tekstem, w którym ujawnili treść e-maila pracownika MKiDN Konrada Rodziejowicza do Hanny Radziejowskiej, w którym zapewniał adresatkę, że zostaje objęta ochroną zgodnie z ustawą o sygnalistach. Co na to Ministerstwo Kultury? Odpowiedziało, że status przyznał pracownik, który nie powinien tego robić, więc ochrona nie obowiązuje. Błąd urzędniczy – rozkłada ręce minister Cienkowska.

POLSKI INSTYTUT PYTA NIEMCÓW: MOŻEMY ZWOLNIĆ?

Pozbawienie Radziejowskiej kierowniczego stanowiska to nie koniec zemsty. Wspomniany już tutaj duet dziennikarzy WP ujawnił bowiem, że Krzysztof Ruchniewicz chciałby być już szefową berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego zwolnić z pracy dyscyplinarnie. I gdyby opierał się tylko na polskim prawie, to być może mniej by się trzymał jego litery i już dawno by to zrobił, ale że musi respektować jeszcze prawo niemieckie, bo rzecz dotyczy osoby zatrudnionej w RFN, to Instytut Pileckiego postanowił zapytać o opinię Niemców. Wystosował więc pismo do Urzędu Krajowego do spraw Zdrowia i Spraw Społecznych w Berlinie

– Berliński oddział Instytutu Pileckiego, który prowadził niezależną i dobrą politykę historyczną, był dla Niemców czymś nie do przyjęcia. I dlatego Instytut jest niszczonej z taką pieczołowitością – mówi „Do Rzeczy” prof. Piotr Glišński

(Landesamt für Gesundheit und Soziales), w którym prosi o opinię odnośnie do możliwości zwolnienia dyscyplinarnego Hanny Radziejowskiej. Taka spolegliwość chyba zaskoczyła samych Niemców. WP pisze: „Źródło Wirtualnej Polski zbliżone do niemieckich służb dyplomatycznych wskazuje, że Niemcy woleliby ani nie pomagać dyrektorowi Instytutu Pileckiego w dyscyplinarnym zwolnieniu pracownicy, ani nie uważają za zasadne w tym przeszkadzać. – To wewnętrzna sprawa Polski. A od oceny zasadności zwolnienia z pracy u nas są sądy, a nie politycy – usłyszeliśmy od Niemców”.

Przy okazji Krzysztof Ruchniewicz, szczerze jak na spowiedzi, wyjawiał przyjacielom znad Sprewy, że poufny list, który Radziejowska wysłała do ministerstwa, otrzymał z ministerstwa, a dokładniej, że przekazał mu go dyrektor Departamentu Dziedzictwa Kulturowego w MKiDN – Piotr Rypson.

Kiedy piszę te słowa, Hanna Radziejowska nie została jeszcze zwolniona dyscyplinarnie, ale taki los spotkał jej zastępcę, Mateusza Fałkowskiego. „Mateusz Fałkowski od 3 kwietnia 2025 roku był objęty ochroną sygnalistów przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego [...]. Wraz z Mateuszem będziemy dochodzić sprawiedliwości przed sądami polskimi i niemieckimi” – napisała na X Hanna Radziejowska.

Mateusz Fałkowski o zwolnieniu dowiedział się od... niemieckiego odpowiednika NFZ, który poinformował go, że nie jest już ubezpieczony, ale w każdej chwili może sobie ubezpieczenie zakupić.

Oburzenie na działania Krzysztofa Ruchniewicza nabrało takich rozmiarów,

że zauważyła je wreszcie jego bezpośrednia przełożona, Marta Cienkowska. Odwołała Krzysztofa Ruchniewicza, zapominając, że kluczowy w całej sprawie jest wyciek poufnego listu kierowanego do niej samej.

Co gorsza, krótka piątkowa konferencja pokazała, że pani minister nie ma żadnego pomysłu odnośnie do dalszego funkcjonowania instytutu. Na tak ważne pytania, jak te o zachowanie w mocy decyzji kadrowych dotyczących Radziejowskiej i Fałkowskiego oraz o dalsze funkcjonowanie berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego miała tylko jedną odpowiedź: poczekajmy na decyzje nowego dyrektora.

INSTYTUT DO ZNISZCZENIA

Czy odwołanie fatalnego dyrektora, który w niecały rok roztrwoniał cały kapitał prestiżu i społecznego zaufania Instytutu Pileckiego, który zaciągnął ręczny hamulec, zawieszając lub odwołując wiele ważnych działań IP, sprawi, że instytucja im. Witolda Pileckiego powróci na dawne tory? Nawet jeśli nowy dyrektor będzie miał taką wolę i możliwość, to naprawa wyrządzonych szkód potrwa. – Instytut Pileckiego był ważną dla Polski, bardzo mądrze zbudowaną instytucją, opartą na badaniach naukowych, trzech oddziałach zagranicznych, kilku muzeach. Instytucja, której bali się Niemcy. Jej berliński oddział, który prowadził niezależną i dobrą politykę historyczną, był dla Niemców czymś nie do przyjęcia. I dlatego Instytut Pileckiego jest niszczonej z taką pieczołowitością – mówi „Do Rzeczy” prof. Piotr Glišński.

I dodaje: – Można mówić, że to jest małostkowość, głupota, ale jednak za tym stoi pewien plan polityczny Donalda Tuska. Na sprawę Instytutu Pileckiego należy spojrzeć w kontekście systemowego niszczenia instytucji. Czeka nas długotrwała odbudowa. Wszyscy narzekali, że nie mamy narzędzi promocji polskiej kultury, polskiej polityki historycznej, i kiedy wreszcie je zbudowaliśmy w latach rządów prawicy, to do władzy wrócili troglodyci, którzy to wszystko zaczęli niszczyć. Przecież oni wyrzucili bezprawnie z różnych stanowisk kilkadziesiąt czy kilkaset osób, także tych, które realizowały polską politykę historyczną. Ci ludzie już wygrywają w sądach. Jestem przekonany, że pani Radziejowska też wygra, gdziekolwiek się odwoła.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KSIEGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY
DO KSIEGARNI
DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL



Łukasz Warzecha

Pojawiają się informacje o rosnącej liczbie wydawanych przez Krajową Administrację Skarbową indywidualnych interpretacji podatkowych niekorzystnych dla podatników. Wzmaga się działanie Inspekcji Karno-Skarbowej, polującej na nawet drobne, rzekome uchybienia przedsiębiorców

Ostrzegam państwa, pilnujcie swoich portfeli. Dzisiaj naprawdę poważna załoga zaczyna się zabierać za wasze portfele i za wasze złotówki” – mówił za pierwszych rządów PiS Donald Tusk. W porównaniu z gabinetami z lat 2015–2023 były one bardzo liberalne, a ministrem finansów, z mocną pozycją w nich, była śp. Zyta Gilowska. Po zmianie władzy w 2007 r. wyszło na to, że Tusk przestrzegał chyba głównie sam przed sobą. To bowiem jego rząd w 2011 r. rozpoczął drastyczne podwyżki podatków, podnosząc VAT do 23 proc. („tymczasowo”) oraz likwidując lub ograniczając ulgi podatkowe. W ten sposób Donald Tusk złamał złożoną kilka lat wcześniej obietnicę, że wyrzuci z rządu każdego, kto wspomni o podwyżce podatków.

Za czasów Mateusza Morawieckiego niektóre podatkowe rozwiązania były zamieniane na korzystniejsze dla obywateli, ale jednocześnie premier postępował zgodnie z zasadą z mema, który krążył na jego temat. Złośliwie uśmiechnięty oznajmiał w nim: „Lubicie niskie podatki? To dobrze, bo mam dla was dużo nowych, niskich podatków”. Owszem, doszło za PiS do podwyższenia kwoty wolnej (stało się to jednak dopiero w drugiej kadencji, choć Beata Szydło w exposé obiecywała ten ruch w ciągu pierwszych 100 dni) czy obniżki pierwszej stawki podatkowej PIT do 12 proc. Towarzyszyło temu jednak czterokrotne podtrzymanie ustalonej za Tuska stawki VAT 23 proc. oraz wprowadzenie – uwaga! – 22 nowych danin



Premier Donald Tusk i prezydent Karol Nawrocki podczas posiedzenia Rady Gabinetowej, 27 sierpnia 2025 r. FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

poukrywanych w różnych miejscach systemu. Zwieńczeniem był Polski Ład, w którego następstwie przedsiębiorców obciążono dziewięcioprocentową składką ZUS, niemożliwą do odliczenia.

Wrócił następnie Donald Tusk i znowu okazuje się, że mówiąc 19 lat temu o poważnej załodze, musiał mieć na myśli samego siebie. Reakcją na coraz bardziej rozpaczliwą sytuację finansową kraju staje się bowiem gorączkowe dobieranie się do kieszeni podatnika. Tyle że tym razem jako oponenta ma Tusk prezydenta Karola Nawrockiego, który nie ma oporów przed sięganiem po weto.

ODPOWIADAJĄ I PIS, I PO

Polska została objęta unijną procedurą nadmiernego deficytu w 2024 r. To specjalne uprawnienia Komisji Europejskiej wobec krajów, które złamały jedno z kryteriów Paktu Stabilności i Rozwoju (regulacja UE): zadłużyły się powyżej 60 proc. PKB lub mają deficyt przekraczający 3 proc. PKB. W przypadku Polski za-

działało drugie kryterium, ale dotyczyło to roku 2023, czyli deficytu zaplanowanego i wykonywanego jeszcze przez rząd premiera Morawieckiego. Procedura nadmiernego deficytu zobowiązuje państwo członkowskie do uzgadniania z KE działań istotnie wpływających na budżet kraju.

Odpowiedzialność za fatalną sytuację ponosi zatem również rząd PiS, co nie zmienia faktu, że obecnie stan finansów jest bezprecedensowo zły. Zaplanowany w tym roku deficyt jest w liczbach bezwzględnych wyjątkowo wysoki i wynosi blisko 290 mld zł. Bardziej nawet alarmujący jest jednak poziom długu publicznego. Obecnie to ponad 2,2 bln zł, z czego – jak podaje Licznik Długu Publicznego – aż 515 mld to dług poza kontrolą parlamentu, czyli poupychany po różnego rodzaju funduszach. Była to standardowa praktyka za PiS. Obecna władza zapowiadała jej zakończenie, co oczywiście nie nastąpiło. Ten czysto księgowy zabieg pozwala, po pierwsze, wydawać pieniądze poza kontrolą Sejmu i Senatu, a po drugie

– formalnie ominąć zapisany w polskiej konstytucji próg 60 proc. zadłużenia w relacji do PKB.

Dług liczony według metodologii unijnej, czyli bez tego triku, w tym roku może wynieść 58 proc., a w kolejnych latach ma sięgnąć granicznych 60 proc. To absolutny rekord. Nawet w 2020 r., roku pandemicznym, poziom zadłużenia osiągnął 57,1 proc., a więc wciąż mniej, a jeszcze w 2023 r. było to 49,5 proc. W liczbach bezwzględnych między rokiem 2023 a 2024 dług publiczny skoczył radykalnie o ponad 300 mld zł.

Wyjaśnia to, skąd paniczne ruchy władzy i plany podwyżek podatków. Nie jest to jednak takie proste. Pierwszy hamulec to konstytucyjny zapis art. 217: „Nakładanie podatków, innych danin publicznych, określanie podmiotów, przedmiotów opodatkowania i stawek podatkowych, a także zasad przyznawania ulg i umorzeń oraz kategorii podmiotów zwolnionych od podatków następuje w drodze ustawy”. Dlatego właśnie stawki akcyzy, VAT czy nawet podatku cukrowego – zwanego obłudnie „opłatą” – są zapisane bezpośrednio w ustawach (często w załącznikach do nich, ale jest to integralna część aktu prawnego). Oznacza to, że decyzji o podwyższeniu stawek akcyzy nie może podjąć sobie ot tak minister finansów rozporządzeniem. Podwyżka musi przejść cały cykl legislacyjny, z podpisaniem przez prezydenta włącznie.

Drugi hamulec jest polityczny. Gdyby władza próbowała podwyższyć podatki bezpośrednio – a więc PIT czy CIT – a także dotkliwie wysoki VAT, w jawny i kosztowny politycznie sposób złałaby własną obietnicę niepodwyższania danin, choć, jak pokazuje przykład z czasów pierwszych rządów PO, nie zawsze zniechęca to do podjęcia takiej decyzji. Tyle że dzisiejszy czas jest znacznie dla Tuska trudniejszy niż lata 2007–2014, a każdy fałszywy krok może ostatecznie zachwiać obozem władzy, którego notowania i tak szorują po dnie.

Dlatego właśnie minister finansów Andrzej Domański sięgnął po perfidne środki. Zaczął podwyższać lub zaplanował podwyżkę tych podatków, które można demagogicznie przedstawić jako sposób dbania o zdrowie obywateli. Taką rolę przypisuje się potocznie akcyzie, która teoretycznie ma dotyczyć używek. Tyle

że w Polsce ustawa o podatku akcyzowym odnosi się również do prądu czy samochodów osobowych. Czy prąd lub samochód to używki?

Producenci wyrobów tytoniowych i alkoholowych dogadali się w 2021 r. z rządem PiS co do planów podwyżek akcyzy na swoje wyroby do 2027 r. Akcyza na te pierwsze produkty miała rosnąć co roku o 10 proc., na te drugie zaś – o 5 proc. Długoterminowy plan był dla przedsiębiorców bardzo ważny, ponieważ umożliwiał im planowanie strategiczne, które w biznesie jest kluczowe i niezbędne. Stabilność ma ogromne znaczenie.

NARRACJA POPULISTYCZNA

Jednak w ubiegłym roku władza zerwała porozumienie z producentami wyrobów tytoniowych i doprowadziła do radykalnie większych podwyżek akcyzy. Prezydent Andrzej Duda podpisał tę zmianę w styczniu bez mrugnięcia okiem. W konsekwencji w tym roku stawka podatku na zwykłe papierosy została podwyższona aż o 25 proc., a w innych kategoriach wzrosty były jeszcze wyższe. Teraz rząd chciał podobnie zachować się względem producentów alkoholu, podpierając się populistyczną narracją o zapobieganiu rzekomo pleniącemu się w Polsce alkoholizmowi. W planie na przyszły rok był wzrost akcyzy trzykrotnie wyższy niż uzgodniony za PiS – aż o 15 proc. W 2027 r. miało to być 10 proc.

W podobnie populistyczny sposób uzasadniano wzrost podatku cukrowego. Ten podatek, wprowadzony przez PiS w 2021 r., był wtedy potępiany przez ówczesną opozycję. Katarzyna Lubnauer całkiem słusznie pisała wtedy na X, że nie chodzi o zdrowie Polaków, ale tylko o sięgnięcie do naszych kieszeni.

Kwestia rzekomo dobroczynnego wpływu czy to akcyzy na alkohol albo tytoń, czy opłaty cukrowej to osobny temat. Nie ma jednak żadnych przesłanek, żeby twierdzić, że wzrosty obciążeń w tych kategoriach jakkolwiek wpływają na zdrowie ludzi. Podatek cukrowy obniżył spożycie napojów nim objętych, ale nie obniżył sumarycznego spożycia cukru, a nawet – zdaniem części ekspertów – doszło do dużego wzrostu w tej kategorii. Nie ma w tym nic zaskakującego – dokładnie takie same skutki tej opłaty były w innych krajach, gdzie ją wpro-

wadzano: stabilizacja spożycia cukru na wysokim poziomie po chwilowym spadku lub nawet sumaryczny wzrost. Z kolei eksperymentowanie z akcyzą zawsze prowadziło do jednego stuprocentowo pewnego skutku: wzrostu czarnego rynku i w konsekwencji spadku, a nie wzrostu wpływów budżetowych. Jeśli ktoś uważa, że wzrost akcyzy na alkohol o 15 zamiast o 5 proc. wyleczy kogokolwiek z alkoholizmu, to równie dobrze może wierzyć, że po świetle chodzą wróżki i krasnoludki.

Prezydent zapowiedział już, że zgodnie ze swoimi obietnicami zamierza zawetować ustawy podwyższające daniny. Jest w tym jednak paradoks: z jednej strony to korzystne dla obywateli, ale z drugiej – może im zależeć za skórę. Rząd bowiem, panicznie szukając w naszych kieszeniach pieniędzy, zacznie sięgać tam, gdzie może to robić w pozostawionej drodze. Jedną z nich jest brutalne dociskanie podatników przez Krajową Administrację Skarbową. Pojawiają się informacje – trudne do uchwycenia w sposób statystyczny – o rosnącej liczbie wydawanych przez KAS indywidualnych interpretacji podatkowych niekorzystnych dla podatników. Wzmaga się działanie Inspekcji Karno-Skarbowej, polującej na nawet drobne, rzekome uchylenia przedsiębiorców. Wracając czasami, gdy wlepiano kary za niewystawienie paragonu za drobną usługę, jak w słynnej sprawie z 2017 r., kiedy to urzędniczkę skarbową z Bartoszcza uprosiły mechanika w zamkniętym już tego dnia warsztacie, aby wymienić im zepsutą żarówkę. Za usługę zapłaciły 10 zł, po czym wystawiły mandat za niewydanie paragonu fiskalnego, choć wiedziały wcześniej, że kasa jest zamknięta. Ostatecznie sąd stanął po stronie mechanika, który mandatu nie przyjął, a naczelniczka US w Bartoszczach straciła stanowisko.

Wobec działań prezydenta i jego zapowiedzi weta do ustaw podwyższających podatki niektórzy apelują o rezygnację z tej twardej linii i fiskalną odpowiedzialność. O tę jednak można przede wszystkim zaapelować do rządu, który zostaje w tej sytuacji zmuszony do szukania oszczędności w dziedzinach, których prezydent nie zawetuje. Na pierwszy ogień powinno pójść ograniczenie socjału dla niepracujących w Polsce Ukraińców, czyli to, co sam Karol Nawrocki proponował.

Edukacja zdrowotna jest potrzebna, ale powinna być dobrowolna, zdanie powinno zostać pozostawione rodzicom. Myślę, że tak będzie lepiej dla nas wszystkich” – ogłosił w styczniu 2025 r. Rafał Trzaskowski, który prowadził już nieformalnie kampanię prezydencką. Była to reakcja na deklarację innego polityka obozu władzy, wicepremiera z PSL. „Uspokoję wszystkich, którzy protestowali – przedmiot będzie nieobowiązkowy, będzie to decyzja rodziców; myślę, że będzie pozbawiony jakiegokolwiek ideologii – prawicowej czy lewicowej” – zapowiedział wcześniej Władysław Kosiniak-Kamysz.

Można zgadywać, że gdyby nie walka o prezydenturę i związany z nią wyrażny, prawicowy skręt Trzaskowskiego, obóz rządowy nie uległby nastrojom społecznym i budzący sprzeciw wielu rodziców nowy przedmiot byłby obowiązkowy. Na wypisanie dziecka z zajęć rodzice mają czas do 25 września. Jeżeli tego nie zrobią, to uczeń będzie musiał uczęszczać na zajęcia. Koalicja na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły przypomina rodzicom o ich prawie, a Instytut Ordo Iuris przygotował specjalną stronę internetową – wypisujmydzieci.pl – na której można znaleźć wzór wniosku wymaganego w szkole. Edukacja zdrowotna będzie nauczana od 1 września w szkołach podstawowych (klasy IV–VIII) i ponadpodstawowych (I–III).

„Bardzo się cieszę, że tak dobry, potrzebny przedmiot będzie w polskich szkołach. Edukacja zdrowotna to przedmiot wyjątkowo potrzebny młodzieży. Tu chodzi o ich zdrowie psychiczne, o wsparcie [...]. O danie im wiedzy, w jaki sposób dbać o swoje zdrowie, zbadać się, jak korzystać z osiągnięć współczesnej medycyny” – przekonywała minister Barbara Nowacka, która forsowała pomysł. MEN zapewnia, że przedmiot „promuje zdrowy styl życia. Rozwija umiejętności komunikacji, empatii i troski o siebie i otoczenie. Pozwala ustrzec się przed różnorodnymi zagrożeniami – od chorób zakaźnych, przez uzależnienia, po dezinformację”. Tymczasem według wielu środowisk chodzi o wprowadzenie do polskich szkół, tylnymi drzwiami, edukacji seksualnej. Ordo Iuris alarmuje, że z rozporządzenia dotyczącego nowego przedmiotu wynika, iż „dzieci mają być zapoznawane



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska

Rusza nowy rok szkolny. Kierownictwu Ministerstwa Edukacji Narodowej udało się przeforsować część zmian, przeciw którym protestują rodzice. Zostaną wprowadzone dwa nowe przedmioty – edukacja zdrowotna i edukacja obywatelska. Jednocześnie zmniejszona zostanie liczba lekcji religii

z treściami dotyczącymi m.in. »orientacji psychoseksualnej«, »tożsamości płciowej«, antykoncepcji, aborcji oraz »praw osób LGBT«, bez odniesienia do wartości moralnych czy duchowych, z pominięciem prawa rodziców do decydowania o kierunku wychowania własnych dzieci [...]. Uczniom szkoły podstawowej będzie się wpajać, że homoseksualizm, transseksualizm czy niebinarność to nie zaburzenia, lecz odmienne orientacje lub tożsamości płciowe”.

Wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer twierdzi, że krytyka przedmiotu wynika z niewiedzy. „Osoby krytykujące przedmiot edukacja zdrowotna często w ogóle nie znają jego podstawy programowej. To zajęcia, podczas których

z młodymi ludźmi rozmawia się całościowo i holistycznie o zdrowiu” – podkreślała. Jednak z grafik udostępnianych przez MEN w mediach społecznościowych jasno wynika, że EZ będzie zawierała przynajmniej elementy edukacji seksualnej, w tym informowanie o antykoncepcji. Jeden z elementów nowego przedmiotu opisano bowiem następująco: „Uczeń dowie się, jak zapobiegać chorobom przenoszonym drogą płciową”. „Podstawę programową tego nowego przedmiotu współtworzył zespół pod kierownictwem nie lekarza, ale seksuologa prof. Zbigniewa Izdebskiego – znanego zwolennika liberalizacji aborcji, który nie widzi nic złego w oglądaniu pornografii” – ostrzegają rodzice dzieci szkol-



FOT. ADOLBE STOCK

nasze zobowiązanie wyborcze, konkret, który obiecywaliśmy, ale też zdrowy rozsądek. Do tej pory młodzież miała więcej lekcji religii niż biologii, chemii, fizyki, WOS i edukacji dla bezpieczeństwa razem wziętych. Szkoła będzie uczyła i przygotowywała do przyszłego życia, również zawodowego, jak najlepiej” – ogłosiła minister edukacji. Rozporządzenie zaskarżyła do Trybunału Konstytucyjnego I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska, uzasadniając, że MEN pominęło stanowiska Kościołów i związków wyznaniowych, a także dopuściło się naruszenia konstytucyjnego prawa rodziców do określania wychowania moralnego i religijnego dzieci. TK uznał, że rozporządzenie jest niezgodne z konstytucją, co jednak nie wywołało reakcji Nowackiej. Resort ogłosił, że „to minister odpowiedzialny za oświatę kształtuje prawo oświatowe w Polsce” i że rozporządzenie minister Nowackiej obowiązuje pomimo wyroku TK, „bo chcą tego rodzice”. Dodatkowo powołano się na ocenę szefowej resortu, która uznaje takie rozwiązania za „dobre dla dziecka”. Co ciekawe, niektóre samorządy postanowiły z własnego budżetu sfinansować drugą godzinę religii – m.in. małopolskie Szerzyny i Ochotnica Dolna. To nie spodobało się małopolskiej kurator oświaty, która zapowiadała kontrole. Szefowa MEN nie ukrywa, że ograniczenie nauczania religii ma podłoże ideologiczne. Zapowiadając, że od 2026 r. do szkoły średniej i prawdopodobnie też do szkoły podstawowej będą wprowadzane elementy filozofii, religioznawstwa i etyki, wskazała: „Już nie chcę opowiadać o wartościach, jakie niestety przyświecają części Episkopatu, jak usłyszałam, że wycofują się z działań dotyczących rozliczenia pedofilii Kościele”. Tymczasem udało się zebrać 500 tys. podpisów pod obywatelską inicjatywą ustawodawczą „Tak dla religii i etyki w szkole”. Dariusz Kwiecień ze Stowarzyszenia Katechetów Świeckich wskazał, że to jeden z najlepszych wyników w historii podobnych działań w Polsce i „dowód na szerokie poparcie społeczne dla wychowania w duchu wartości”. „To pokazuje, że temat wychowania do wartości w szkołach ma ogromne poparcie społeczne. Naszym celem jest ustawowe umocowanie lekcji religii i etyki w systemie edukacji

**Ordo luris alarmuje:
„Uczniom szkoły
podstawowej będzie się
wpajać, że homoseksualizm,
transseksualizm
czy niebinarność
to nie zaburzenia,
lecz odmienne orientacje
lub tożsamości płciowe”**

– przedmiotów, które obecnie są marginalizowane przez Ministerstwo Edukacji. Uważamy, że nie można pozwolić, by tak ważne przedmioty zostały zepchnięte na margines szkoły przez wąskie środowiska ideologiczne” – ogłosił. Innym tematem, który wydaje się bagatelizować resort edukacji, są głosy katechetów, którzy wskazują, że ograniczając religię, MEN nie zainteresował się tym, iż część z nich straci pracę.

ZEMSTA ZA HIT

Bardziej jako rewanżyzm polityczny niż próbę dokonania rewolucji w systemie wartości można postrzegać przedmiot edukacja obywatelska, który od września zastępuje wprowadzoną przez ministra rządu PiS historię i teraźniejszość (HiT nie był nauczany „w nowych cyklach” szkolnych już od roku 2024). „Edukacja obywatelska będzie miała wymiar praktyczny, będzie kształtowała postawy obywatelskie i patriotyczne uczniów. Uczniowie poznają Polskę również w kontekście europejskim i globalnym, zdobędą wiedzę i kompetencje, ale też nabiorą sprawczości, że mają wpływ na losy kraju” – zapewniała, ogłaszając założenia nowego przedmiotu, wiceminister Lubnauer.

Edukacja obywatelska obejmie szkoły ponadpodstawowe – w liceum ogólnokształcącym będą to dwie godziny w klasie II i jedna godzina w klasie III; w technikum: dwie godziny w klasie II i jedna godzina w klasie III, a w branżowej szkole I stopnia w klasie II i III – po jednej godzinie. Lubnauer przekonywała, że to HiT był „upolityczniony”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

nych, podpisani pod apelem do minister Nowackiej. Nie wiadomo, czy edukacja zdrowotna pozostanie nieobowiązkowa, ponieważ szefowa MEN zapowiedziała, że „pierwszy rok traktujemy jako rok weryfikacji”. Edukacja zdrowotna zastąpi wychowanie do życia w rodzinie.

PRZECIW KOŚCIOŁOWI

To nie koniec zmian w polskiej szkole. Nowy rok szkolny to także ograniczenie nauczania religii. Religia lub etyka będą się odbywać w wymiarze jednej godziny tygodniowo (dotychczas były to dwie lekcje religii w tygodniu; w kwestii etyki decyzję podejmował dyrektor szkoły) – bezpośrednio przed obowiązkowymi zajęciami edukacyjnymi ucznia lub bezpośrednio po nich. Uczeń może chodzić na religię lub na etykę, na oba te przedmioty lub na żaden. Pierwsze zmiany dotyczące organizacji lekcji religii i etyki obowiązują od poprzedniego roku szkolnego. Wprowadzono zasadę, że lekcje te mogą odbywać się w grupach międzyoddziałowych (łączących dzieci w różnym wieku), a ocena z religii i etyki nie jest wliczana do średniej ocen na świadectwie szkolnym. „To nie tylko

Uleganie Rosji to żaden realizm



Piotr Semka

Nie mamy żadnego wpływu na to, jak ostatecznie ukształtuje się polityka Trumpa w kwestii procesu pokojowego w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, ale możemy akcentować wartość zachowania niepodległości Ukrainy. Ustępowanie Rosji to nie realizm

W stronę realizmu. Czy USA uzgadniają z Rosją warunki przegranej Ukrainy – taki tytuł zapowiadał na okładce poprzedniego wydania „Do Rzeczy” (nr 35/2025) analizy Łukasza Warzechy i Wojciecha Golonki podsumowujące szczyt Trump-Putin na Alasce. Wydarzenia ostatniego tygodnia nie okazały się zbyt łaskawe dla bardzo zdecydowanych tez obu autorów. Zarówno Warzecha, jak i Golonka uznali, że reset na linii Waszyngton – Moskwa jest już faktem dokonanym, a głównym problemem obu przywódców pozostaje jedynie zmuszenie Ukrainy do zaakceptowania „warunków przegranej”.

Wiele się od tego czasu zmieniło. Po pierwsze, doszło do wizyty Wołodymyra Zełenskiego w Białym Domu w towarzystwie przywódców europejskich. Donald Trump obiecał prezydentowi Ukrainy dalszą „dużą pomoc” (dostawy sprzętu i pieniędzy). Po drugie, Putin ustami swojego szefa dyplomacji Sergieja Ławrowa dał do zrozumienia, że do proponowanego przez prezydenta USA spotkania w trójkącie Trump-Putin-Zełenski w najbliższej przyszłości się nie zanoszą. Ławrow powrócił do tezy, że elementem procesu pokojowego musi być odsunięcie od władzy ekipy Zełenskigo. Po trzecie, władze ukraińskie poinformowały o posiadaniu sporej ilości własnych rakiet dalekiego zasięgu typu Flamingo i Długi Neptun, którymi Ukraina jest gotowa zaatakować wiele celów na

terenie całej Federacji Rosyjskiej. Jak podkreślił Zełenski, ich użycie będzie decyzją Kijowa i „nie ma planów konsultowania celów ataków z USA”. Jak oceniają eksperci, jeśli Ukraina istotnie ma sporo rakiet manewrujących obu typów, to jest zdolna do wyrządzenia strat na terenie Rosji, których wartość może przekroczyć 15 proc. PKB Rosji, co byłoby dla Putina niezwykle dotkliwą stratą.

Wszystkie te trzy elementy pokazują, że do porozumienia pokojowego jest niezwykle daleko i jego kształt jest na razie niejasny. Jakie wnioski można wyciągnąć z rozwoju wydarzeń?

RESET, ALE JAKI?

Wspólne wymuszenie przez Rosję i Amerykę projektu politycznego niekorzystnego dla Ukrainy nie będzie łatwe. Kijów nauczył się grać między europejską „koalicją chętnych” a Trumpem i daje sobie radę w tej grze całkiem nieźle. Co więcej, w Ameryce w poważnych kręgach politycznych i wojskowych narasta niepokój przed efektami przyzwyczajenia Moskwy, że agresja wojskowa i aneksja cudzych ziem może być skuteczną i bezkarną formą uprawiania polityki.

Zupełnie nieuprawnione jest twierdzenie wyrażane w tekście Łukasza Warzechy („Pograżanie Zachodu”, „Do Rzeczy” nr 35/2025), że klucze do zakończenia wojny leżą przede wszystkim w Moskwie.

Ameryka wciąż jeszcze nie udzieliła *carte blanche* Putinowi w kwestii ostatecznego kształtu kompromisu pokojowego. Owszem, Trump nie ukrywa, że Ukraina nie ma szans na wejście w skład NATO, ale ekipa Zełenskigo już dawno się do tego przyzwyczaiła. Tak samo można przypuszczać, że Kijów bierze całkiem serio faktyczne uznanie zaboru Donbasu i Krymu, ale już na pewno nie zgodzi się na rosyjskie żądania opuszczenia innych terenów.

Podstawową kwestią jest obecnie ustalenie, co oznacza pojęcie gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. W tej mierze jedynym realnym oparciem może być dalsza pomoc militarna i finansowa Ameryki dla państwa ukraińskiego. Czy Rosja więc w tej wojnie nadal rozdaje karty? Z jednej

strony tak, bo wciąż ma siłę do prowadzenia wojny i ma w tym dziele sojuszników, zarówno jawnych, takich jak Korea Północna, jak i mniej wyrazistych, jak Chiny czy Iran. Jednak z drugiej strony Rosja tej wojny nie wygrała i nie udaje się jej to już od trzech lat. A strona ukraińska nie tylko się broni, lecz także jest zdolna do zadawania Rosjanom bolesnych ciosów.

Owszem, mają rację ci, którzy wskazują, że prezydentowi Zełenskiemu coraz trudniej przychodzi uzyskiwanie nowego rekruta i że musi zmagać się z problemem dezercji. Jednocześnie przemysł zbrojeniowy Ukrainy produkuje obecnie jeden z najnowocześniejszych rodzajów sprzętu wojskowego, na czele z wysoko ocenianymi dronami bojowymi i wspomnianymi już nowymi rodzajami broni dalekosięgiwej, która jest w stanie atakować cele nawet na Syberii. Ukraińskie fabryki, prezentując rakiety Długi Neptun o zasięgu 1000 km oraz pocisk manewrujący Flamingo o zasięgu 3000 km, zademonstrowały jednocześnie militarną podmiotowość swego państwa.

Tacy krytycy Ukrainy jak Łukasz Warzecha wskazują, że jest to kraj upadły i niezdolny do samodzielnego funkcjonowania. Jako dowód tych twierdzeń wskazują na niedawny kryzys wewnętrzny na Ukrainie, wywołany próbami ograniczenia niezależności powołanych wcześniej organów antykorupcyjnych i przekazanie pełnej kontroli w tych sprawach prokuratorowi generalnemu. W rezultacie protestów społecznych Zełenski musiał się ugiąć i w parlamencie ukraińskim przeformowano ustawę odwracając większość proponowanych przez prezydenta zmian. Czy to jest dowód na upadłość Ukrainy? Raczej nie. Pokazuje to siłę obywatelskich protestów, które przypominały, że elity ukraińskie chcą państwa, które nie tylko nie będzie zdominowane przez Rosję, lecz także i zachowywać będzie zachodnie standardy praworządności.

LEKCJA POKORY DLA TRUMPA

Prezydent USA niezmiennie prezentuje pewność siebie i styl wypowiedzi, w których przechwałki zdarzają się bardzo często. Faktem jest jednak, że spotkanie na

Alasce musiało mocno naruszyć jego wiarę w to, że osobiste spotkanie twarzą w twarz z Putinem przynieść musi jakiś gwałtowny przełom. Już wcześniej Rosjanie pokazali, jak bardzo pyszałkowate były deklaracje Trumpa, że „jest w stanie zakończyć wojnę na Ukrainie w 24 godziny”. Teraz Putin zademonstrował swemu amerykańskiemu odpowiednikowi, że może trzy godziny rozmawiać z nim na Alasce, ale potem ustami ministra Ławrowa jest w stanie post factum na nowo bardzo usztywnić swoje stanowisko.

I wreszcie kolejny element. Sondaże nie potwierdzają ulubionej tezy rosyjskiej propagandy, że wyborcy Trumpa chcą zakończenia wojny ukraińsko-rosyjskiej za wszelką cenę. Niedawno opublikowany sondaż Chicago Council of Global Affairs wykazuje, że aż 62 proc. ankietowanych Amerykanów popiera dostarczanie broni Ukrainie. Wśród samych wyborców republikańskich ten procent jest niższy, bo wynosi tylko 51 proc., ale akurat w tej grupie wyborczej oznacza to wzrost poparcia o 21 p.p. dla zbrojenia Kijowa w porównaniu z poprzednim badaniem z marca bieżącego roku. Co równie istotne, aż 74 proc. wyborców republikanów i 77 proc. obywateli USA wspierających demokratów popiera dalsze utrzymywanie sankcji wobec Rosji. Aż 60 proc. wyraża uznanie dla prezydenta Zełenskigo, a tylko 10 proc. żywi podobne uczucia wobec Władimira Putina.

Oznacza to, że Trump nie staje wobec jakiegos wyrazistego poparcia Amerykanów dla odwrócenia się do Ukrainy plecami przy jednoczesnym gwałtownym recesie na rzecz przywrócenia kontaktów biznesowych z Moskwą na zasadach sprzed agresji z 2022 r. Istotne jest to, że już po szczycie na Alasce szef amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio ostrzegł Rosję, że w przypadku braku porozumienia pokojowego Rosja musi się liczyć „z dodatkowymi konsekwencjami”.

DAĆ ROSJI WSZYSTKO, CZEGO CHCE?

Mój redakcyjny kolega Łukasz Warzecha przyznaje w swoim tekście, że Rosja chce pokoju, który ma dać jej bezpieczeństwo, tak jak ona to rozumie. Czyli pokojowy deal oznaczający radykalne ograniczenie wpływu Zachodu na Ukrainę.

Warzecha zaznacza, że można się z tym punktem widzenia nie zgadzać, ale – jak zaznaczył – jest to fakt, który trzeba przyjąć do wiadomości. Co oznacza określenie „przyjąć do wiadomości”? Polska jako część kolektywnego Zachodu – jak to lubią pisać rosyjscy publicyści – nie ma wpływu na to, jaką ostateczną decyzję podejmie Trump, ale w jej interesie jest przestrzeganie Ameryki przed konsekwencjami akceptowania takiego dyktatu Moskwy. Dlaczego? Otóż zmniejszanie wpływu Zachodu na Ukrainę oznacza w konsekwencji skokowe zwiększenie wpływów Rosji na naszego wschodniego sąsiada. Dlatego dopóty, dopóki rosyjskie czołgi nie zdobędą Kijowa, polską racją stanu jest wspieranie niezależności Ukrainy od Rosji.

Nuży mnie już słuchanie narzekań na polską politykę jako grę „chłopców w krótkich spodenkach”. Wzorem, naszą pozycją jest znacząco osłabiana polityczną wojną polsko-polską, która podcina skuteczność naszej polityki wobec zagranicznych partnerów. To rzeczywiście jest frustrujące, bo nie widać żadnego wyrazistego kresu tej choroby, która toczy polskie życie polityczne. Mamy też problemy z Ukrainą, zresztą pojawienie się w Polsce dużej społeczności imigracyjnej także wywoływać musi różne problemy – jedne realne, inne bardzo

często wyolbrzymiane. To z tego powodu nasz wpływ na prowadzenie gry wokół przyszłości Ukrainy jest osłabiony. Ale też nie dziwny się, że prezydent Zełenski nie zadbał osobiście o to, by do Waszyngtonu zamiast prezydenta Finlandii pojechał czy to prezydent Karol Nawrocki, czy premier Donald Tusk, bo sami w tej grze wycofujemy się niekiedy na pozycję obserwatora. Jeśli podkreślamy, że na pewno żaden polski żołnierz nie zostanie wysłany na Ukrainę w razie ewentualnego rozmieszczenia sił rozjemczych między liniami ukraińskimi a rosyjskimi, to nie dziwny się, że Ukraina woli prezydenta Finlandii, a nie przybysza z Polski. Na dodatek nasz stosunek do Ukrainy jest funkcją wewnętrznego sporu na linii PO-PiS. To oczywiście temat na osobny tekst, który z przyjemnością w najbliższym czasie zaprezentuję czytelnikom „Do Rzeczy”.

Jednak w bardzo chłodnym i pozbawionym emocji spojrzeniu na ład bezpie-

czeństwa w naszej części świata – widać wyraźnie, że naturalnym czworokątem państw zainteresowanych blokowaniem agresji rosyjskiej winny być: państwa nordyckie na czele z Finlandią i Szwecją, kraje bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia, oraz Polska i Ukraina. Ten ostatni kraj jest obecnie największym na świecie ekspertem w prowadzeniu wojny z Rosją i staje się lokalnym liderem w dziedzinie technologii militarnych.

Dlatego odrzucam patrzenie przez Polskę na Ukrainę jako na czynnik zagrożenia. Owszem, jest to partner trudny, przypominający nieco styl zachowania Izraela, czyli państwa tak skupionego na obronie swojej egzystencji, że mającego skłonność do arogancji, brutalności i szokującego niekiedy wyrachowania. Ale dla środkowej Europy Ukraina może być też dawcą bezpieczeństwa przed Rosją, bo ma potężną, zaprawioną w wojnach armię, która doskonale poznała techniki działania armii rosyjskiej. W naszych stosunkach z Ukrainą większa asertywność Karola Nawrockiego być może pomoże, być może nie. Nie ma na to gwarancji, ale na pewno wiemy, że model prezentowany przez Andrzeja Dudę poniósł pod koniec swej kadencji porażkę. Myśląc o naszych relacjach z Kijowem, powinniśmy pamiętać o zmarnowanej szansie z lat 30., kiedy to zaszłości historyczne z sąsiednią Czechosłowacją uniemożliwiły połączenie potencjałów obu państw i wspólne przeciwstawienie się agresywnej polityce Hitlera. Wtedy też nie musieliśmy się z Czechami i Słowakami zgadzać we wszystkim lub zapominać o rachunku wzajemnych krzywd. Ale gdybyśmy w latach 1938 i 1939 połączyli siły, to być może nie doszłoby do drugiej wojny światowej. Ta lekcja historyczna powinna głęboko tkwić w świadomości dzisiejszych Polaków. A patrzenie z mściwą obojętnością na ewentualne zmuszenie Ukrainy, przy udziale Donalda Trumpa, by odciąć się od zachodnich wpływów, jest szaleństwem, a nie żadnym realizmem.

Powtarzam. Nie mamy żadnego wpływu na to, jak ostatecznie ukształtuje się polityka Trumpa w kwestii procesu pokojowego w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, ale możemy akcentować wartość zachowania niepodległości Ukrainy i wspierać w tej mierze inicjatywy czy to europejskie, czy samego Kijowa. Ustępowanie Rosji to żaden realizm.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Ukraińcy w czołówce przemytników



Michał Murgrabia

Wśród przedstawicieli państw zatrzymywanych za pomocnictwo prym wiodą Ukraińcy

Szmuglerzy, kurierzy, przemytnicy nielegalnych imigrantów to zdaje się leitmotiv naszej codzienności, odkąd drastycznie wzrosła fala nielegalistów na wschodniej granicy. Ci, którzy śledzą prawnicze media, wiedzą, że problem z kontrolą polskich granic nasilił się w ostatnich latach. Najpierw na wschodniej granicy, a teraz na granicy z Niemcami. Raczek każdy słyszał o obrzucaniu kamieniami i konarami drzew funkcjonariuszy Straży Granicznej strzegących granicy z Białorusią czy też o oślepianiu ich przy pomocy światła stroboskopowego i laserów. Do ataków dochodzi również w sytuacjach, gdy migranci zmuszeni są cofnąć się na terytorium Białorusi w wyniku skutecznych działań polskich patroli. Niekiedy strażnicy graniczni na skutek ataków wymagają hospitalizacji. Tym bardziej powinna być wszystkim znana sprawa zabitego Mateusza Sitka (pośmiertnie awansowanego ze stopnia szeregowego do stopnia sierżanta), który został pchnięty nożem przemocowa-

nym do kija przez nielegalnego imigranta, usiłującego wraz z grupą jemu podobnych wdrzeć się do Polski.

Nierzadko zdarza się, że wobec nielegalistów używany jest gaz pieprzowy, a nawet oddawane są strzały ostrzegawcze z broni palnej, choć nie ma na to przyzwolenia ze strony przełożonych i rządu, a same sytuacje należą do rzadkości. Nie powinno tak być. Polski żołnierz czy strażnik graniczny powinien czuć, że stoi za nim murem całe państwo. To nielegalni imigranci powinni się bać, a nie polscy funkcjonariusze. Prawo stoi jednak na głowie i chroni przestępców zamiast tych, którzy pilnują porządku i bezpieczeństwa naszych granic. Nielegalni imigranci powinni czuć respekt wobec strażników granicznych i obawę co do przekraczania granicy wbrew polskiemu prawu. Obecny stan rzeczy jest niejako wysłaniem sygnału, że jest częściowe przyzwolenie na łamanie prawa, a to rodzi poczucie bezkarności, zachęca i wzmacnia zuchwałość tych osób. Tak nie powinno być. Tolerancja ma i powinna mieć swoje granice, a te zostały już dawno przekroczone. Mało kto jednak, co jest w dużej mierze zrozumiałe, wnika w sedno sprawy, zadając sobie trud poznania szczegółów. Na czym zatem w praktyce polega nielegalne przekraczanie granicy?

NOWE ZJAWISKA

Otóż zgodnie z polskim prawem według Kodeksu karnego w przypad-

ku nielegalnego przekraczania granicy dochodzi do złamania wielu przepisów. Wystarczy przywołać kilka z nich, jak chociażby art. 264 § 2 i § 3, a także art. 27. Ten ostatni dotyczy kwestii tzw. pomocnictwa, które polega na tym, że „pomocnictwa dopuszcza się, kto do popełnienia przestępstwa udziela pomocy czynem lub słowem”. Z kolei art. 264 § 2 mówi o tym, że „kto wbrew przepisom przekracza granicę Rzeczypospolitej Polskiej, używając przemocy, groźby, podstępów lub we współdziałaniu z innymi osobami, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Jednak to przestępstwa z art. 264 § 3 k.k. stają się powoli zmorą polskich służb i te interesują nas najbardziej. Przepis ten brzmi następująco: „Kto organizuje innym osobom przekraczanie wbrew przepisom granicy Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8”. Ponadto łamane są często art. 270 § 1 (podrabianie lub używanie fałszywych dokumentów), art. 271 (fałszowanie dokumentów), art. 272 (nieuprawnione wyłudzenie dokumentu), art. 273 (posługiwanie się dokumentem zawierającym fałszywe informacje) czy art. 275 (posługiwanie się dokumentem tożsamości innej osoby). To jednak nie wszystkie z nich.

O ile w ubiegłych latach nielegalni imigranci przeważnie posługiwali się sfalszowanymi lub ukradzionymi doku-

mentami, o tyle teraz mamy do czynienia z nasileniem się zjawiska wcześniej praktycznie marginalnego, które to polega na celowym niszczeniu dokumentów. Jest to zjawisko praktycznie nowe. Pozbywanie się wszelkich dokumentów ma oczywiście na celu maksymalnie utrudnić ustalenie tożsamości tych osób. W ten sposób zacierane są ślady o przeszkłości nielegalnych imigrantów, a nie można wykluczyć, że ma to związek z ich wcześniejszą przestępczą działalnością. Takie przypadki bowiem się już zdarzały. Do nowych i niekorzystnych zjawisk dołączyło jeszcze jedno. Otóż nasiliły się przemoc i agresja wobec funkcjonariuszy Straży Granicznej, która to nie była obserwowana na tak dużą skalę w latach poprzedzających wzmożony ruch nielegalistów na wschodniej granicy.

Polskie służby udaremniły w tym roku setki, jeśli nie tysiące prób przerzutu nielegalnych imigrantów do Polski. Bardzo często słyszymy o zatrzymaniu tzw. kurierów, którzy przewozili od kilku do nawet kilkudziesięciu nielegalistów. Wystarczy przywołać przykład z zeszłego roku, kiedy opolscy inspektorzy z Inspekcji Transportu Drogowego udaremniili przerzut aż 43 osób, w tym pięciu nieletnich, które nie posiadały dokumentów zezwalających na pobyt na terytorium RP. Trzeba przyznać, że to dość szokujący wynik. Często okazuje się przy tym, że szmuglerzy sami przebywają w Polsce nielegalnie (wówczas podpadają pod art. 264 § 2 k.k., czyli sami popełniają dodatkowo przestępstwo nielegalnego przekroczenia granicy RP).

Jak można się domyśleć, zazwyczaj nie działają też na własną rękę. Organizatorem przerzutu osób są siatki przemytników specjalizujące się w handlu ludźmi, bo tak należałoby zakwalifikować ten proceder. Za szmuglowaniem nielegalnych imigrantów przez polską granicę bardzo często stoją zorganizowane grupy przestępcze. W skład takich grup wchodzi osoby kierujące grupą przestępczą, przewodnicy przeprowadzający nielegalnych imigrantów przez granicę, zwykle w gorzej strzeżonych miejscach, kurierzy, którzy przewożą nielegalistów samochodami, piloci, czyli zwiadowcy poprzedzający ruch przewodników i kurierów, a także łącznicy odpowiedzialni za kontakt pomiędzy osobami zaangażowanymi w przerzut nielegalnych

imigrantów po obydwu stronach. Szajki te nie tylko ułatwiają nielegalne przekroczenie granicy, np. przy użyciu środków transportu, lecz także zapewniają miejsce przechowywania imigrantom w tym czasie. Sporadycznie do tego dochodzi również przerzut towarów akcyzowanych, ponieważ imigrantów przymusza się do pomocy w przemyśle.

Nie zawsze jednak przerzut nielegalnych imigrantów przygotowują zorganizowane struktury. Równolegle obok nich, ale na zdecydowanie mniejszą skalę działają osoby indywidualne, które już w mniej wyspecjalizowany sposób organizują imigrantom możliwość przekroczenia granicy. Niekiedy też cudzoziemcy organizują się sami lub tylko po części organizują się samodzielnie, korzystając przy tym z „pomocy” szmuglowników.

LIBERALNE SĄDY

Nasuwa się tutaj pytanie o to, jakiej narodowości są najczęściej osoby popełniające przestępstwo udzielania „pomocy” w nielegalnym przedostawaniu się do Polski. Dane udostępnione przez Straż Graniczną są jednoznaczne. Wśród przedstawicieli państw zatrzymywanych za pomocnictwo prym wiodą Ukraińcy. Od 2021 r. do 22 kwietnia 2025 r. w związku z popełnieniem przestępstwa z art. 264 § 3 k.k. zostało zatrzymanych najwięcej obywateli tego państwa. Niestety, ale w ten proceder angażuje się również wielu Polaków. Wśród zatrzymanych był także spory odsetek Gruzinów, jest to najlicniejsza grupa zaraz po nich, choć w 2023 r. zatrzymano ich więcej niż Polaków. Wymieniono także obywateli Turkmenistanu, Syrii czy Afganistanu.

Zwykle głównym motywem osób dopuszczających się pomocnictwa w przerzucie nielegalnych imigrantów jest chęć osiągnięcia korzyści majątkowej (co podpada pod art. 264a § 1). W związku z tym na tych, którzy trudnią się nielegalnym przerzutem osób, sądy obok wyroków pozbawienia wolności, najczęściej z warunkowym zawieszeniem jej wykonania, przeważnie nakładają kary grzywny. Sąd chce ich tym samym pozbawić potencjalnych lub rzeczywistych korzyści materialnych płynących z dopuszczania się tego przestępstwa.

Z analizy prawnej akt spraw w związku z wyrokami, które zapadły w przy-

padku przestępstw z art. 264 § 2 i § 3 w latach 2014–2018, opracowanej przez Katarzynę Laskowską i Magdalенę Perkowską w tekście pt. „Przestępstwo nielegalnego przekroczenia polskiej granicy w ujęciu empirycznym”, wynika, że podejście polskich sądów do tego typu przestępstw jest niestety zbyt liberalne. „Za czyn z art. 264 § 2 k.k. [...] w przypadku 99 proc. sprawców [...] orzeczono wyroki w zawieszeniu, a więc uzasadnione jest stwierdzenie, że w rzeczywistości orzeczono kary wolnościowe”. Nieco inaczej przedstawia się sytuacja w przypadku skazanych na podstawie art. 264 § 3 k.k. (pomocnictwo w przerzucie nielegalnych imigrantów). Sądy orzekły w przypadku tego przestępstwa wobec aż „91 proc. sprawców [...] kary wolnościowe”, czyli wyroki w zawieszeniu. Jak widać, przynajmniej w tamtym czasie, polskie sądy dość pobłażliwie traktowały osoby zamieszane w przerzut nielegalnych imigrantów. W analizie podkreślono fakt, że proceder ten „negatywnie wpływa na porządek publiczny”, powoduje „znaczny stopień społecznej szkodliwości”, a do tego wywołuje „bardzo dotkliwe skutki dla bezpieczeństwa państwa”.

Nie jest to jedyny wniosek postawiony w analizie, który budzi uzasadniony niepokój. Co ważne bowiem, wobec sprawców takich czynów, którzy byli głównie cudzoziemcami, choć obligowano ich do „opuszczenia terytorium Rzeczypospolitej Polskiej”, nie stosowano jednocześnie „zakazu wjazdu na terytorium RP”. Trzeba przyznać rację, że trudno znaleźć uzasadnienie dla takiej pobłażliwości. Obawy budzi także inna kwestia. Choć za pomocnictwo w przerzucie nielegalnych imigrantów grozi „do 8 lat pozbawienia wolności”, to „analiza danych Ministerstwa Sprawiedliwości pozwala na stwierdzenie, że dokonane w 2004 r. podniesienie górnej granicy zagrożenia karą w praktyce okazało się fikcją, gdyż sądy nie orzekają kary wyższej niż 5 lat pozbawienia wolności”. Powyższe konstatacje nie budzą optymizmu, ponieważ okazuje się, że w praktyce tylko niewielki odsetek przestępców trudniących się pomocnictwem otrzymuje bezwzględne wyroki więzienia, a nawet gdy już do tego dochodzi, to są one zazwyczaj niskie. Oby ta sytuacja wkrótce uległa poprawie.



Piotr Gociek

W rocznicę hitlerowskiej napaści na Polskę przedstawiam subiektywny top 10 najlepszych filmów, seriali i dokumentów o walce z Niemcami

Jak gonili hitlerowca, to mu opadały spodnie” – kpił Jacek Kleyff w piosence „Telewizja” (1972) z tandetnych PRL-owskich produkcji wojennych, w których Niemiec zawsze był głupi i niezdarny. Trzy dekady później dramaty o niemieckiej okupacji wyszydzał Juliusz Machulski w „Superprodukcji” – wspomnijmy otwierającą całość scenę z fikcyjnego filmu, w którym niemiecki żołnierz bije szpicrutą Małgorzatę Kożuchowską, a Marek Kondrat jako jego tłumacz okrutnie kaleczy język polski twardym niemieckim akcentem. Oba uderzenia celne, ale nie da się uogólniać – nie każdy film czy serial o wojnie z Niemcami był albo propagandowym horrorem, albo przygodową rozrywką, graniczącą niekiedy z farsą.

Prawda natomiast jest taka, że po 1989 r. temat uznano za zaliczony i jeśli już ktoś brał się do kina historycznego, to zapewniał białe plamy, czyli kierował uwagę na zmagania z Sowietami. Do nielicznych wyjątków należały produkcje typu „Czas honoru”. Zmagania z Niemcami pojawiały się przede wszystkim w kontekście Holokaustu, a twórcom zdarzało się fałszować realia. Jak choćby w filmie Agnieszki Holland „W ciemności”, który przekonywał, że główny bohater pomaga Żydom wbrew swej katolicyzacji, tymczasem prawda była dokładnie odwrotna: robił to dlatego, że był chrześcijaninem.

Lata mijały, polski rewizjonizm szedł w parze z rewizjonizmem niemieckim – powstawały kolejne produkcje zacierające granice między rozumem a ofiarą, wszystkie te bzdury o rozterkach moralnych szlachetnych oficerów Wehrmachtu, o żydożerczej Armii Krajowej, rzekomej polskiej winie za Holokaust itd. Otóż dość; otóż stop. 1 września to doskonała okazja, by przypomnieć, dlaczego III Rzeszę trzeba było zetrzeć



Zwycięzca rankingu autora
– „Kompania braci”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

z mapy świata. Przegląd ma charakter subiektywny i nieco żartobliwy, ale sprawa jest jak najbardziej poważna.

10. „SISU” (2022), REŻ. JALMARI HELANDER

Fiński thriller wojenny o samotnym mścicielu, którego motyw są może nazbyt egoistyczne („Zostawcie moje złoto!”), ale swoją misję wypełnia wzorowo



Jorma Tommila jako fińska wersja Rambo

W „Sisu” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

(mamy rok 1944): eliminuje Niemców z SS. W zabijaniu ma wielkie doświadczenie, ponieważ jest weteranem wojny fińsko-sowieckiej, podczas której zdobył złowieszczy pseudonim Kościec. Eliminowanie Sowietów szło mu bowiem równie dobrze. Inspiracją dla reżysera były

filmy o Rambo, zdjęcia kręcono w Laponii. Słowo „sisu” oznacza w fińskim postawę stoicką, a zarazem hart ducha, dumę i upór w dążeniu do celu. Ponoć to fińska cecha narodowa. I dobrze – tylko tak można skutecznie walczyć ze złem. Ważne dopowiedzenie: jesienią czeka nas premiera filmu „Sisu 2”, w którym grany przez Jormę Tommilę bohater zajmuje się równie skutecznie Rosjanami okupującymi w 1946 r. Karelię.

9. „BĘKARTY WOJNY” (2009), REŻ. QUENTIN TARANTINO

„Zemsta, zemsta, zemsta na wroga, Z Bogiem i choćby mimo Boga!”. Kolejny pastisz w tym zestawieniu, ale jakże znaczący – to przecież film zemsty, w którym Żydzi eksterminują wierchuszkę nazistowskich oficerów z Adolfem Hitlerem na czele. Jeden z najlepszych filmów Tarantino ze świetnymi rolami Brada Pitta i Christopa Waltza. To wykorzy-



Jedną z głównych ról w „Bękartach wojny” zagrał Brad Pitt (po prawej) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

stanie alternatywnej historii do egzorcyzmowania prawdziwych traum było ważnym krokiem na drodze wiodącej do najlepszego dzieła Tarantino, czyli „Pewnego razu... w Hollywood”, opartego na podobnym chwycie, a przypominającego, że aby uczynić świat lepszym miejscem, wystarczy by choć jeden człowiek postanowił przeciwstawić się złu.

8. „BYĆ ALBO NIE BYĆ” (1983), REŻ. ALAN JOHNSON

Film Tarantino to komedia czarna, zapomniany film Johnsona to niemal farsa, mocno osadzona w tradycji wodewilowej komedii. Luźny remake filmu Lubitscha z 1942 r. to przede wszystkim okazja dla Mela Brooksa, który błyszczy w roli dyrektora warszawskiego teatru zamkniętego po wkroczeniu Niemców w 1939 r. Film dzieli absolutnie niepoprawny politycznie, z tekstami w rodzaju: „Bez Cyganów, Żydów i pedałów nie da się robić teatru” (to odpowiedź Brooksa, to znaczy dyrektora Bronskiego, na wytyczne nowej niemieckiej



„Być albo nie być”. Niepoprawna politycznie farsa osadzona w tradycji wodewilowej komedii. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

administracji). Tu też, jak u Tarantino, pojawia się Hitler, ale zamiast zostać ubity, jest po prostu wystryknięty na dudka – w ramach przedstawienia teatralnego na oczach dyktatora odbywa się śmiała ucieczka ukrywających się przed Niemcami ofiar prześladowań. Jeśli nie możesz ich pokonać, to ich ograj i wysydz – oto recepta Mela Brooksa. A propos cytatów, to równie pamiętna jest scena, w której dyrektor Bronski ubolewa nad losem Polski: wycieraczka Europy, wszyscy po nas chodzą z zachodu na wschód i z powrotem.

7. „NAJDŁUŻSZY DZIEŃ” (1962), AUTORZY RÓŻNI

Aż czterech reżyserów potrzebnych było, by powstał ten czarno-biały film



„Najdłuższy dzień”. Prawda historyczna i hollywoodzkie widowisko. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

odtworzący dzień inwazji aliantów na Normandię. Scenariusz powstał w oparciu o historyczny bestseller Corneliusa Ryana pod tym samym tytułem. Nie ma chyba w dziejach filmu wojennego produkcji, która zgromadziłaby na planie więcej gwiazd (ówczesnych i przyszłych). Byli to m.in. Henry Fonda, Robert Mitchum, John Wayne, Rod Steiger, Richard Burton, Sean Connery, André Bourvil, Curt Jürgens. Powstało unikatowe połączenie dramatu starającego się być jak najbliżej prawdy historycznej z obrazem wypełniającym standardy hollywoodzkiego widowiska (za to ostatnie odpowiadał przede wszystkim opiekujący się ostateczną wersją filmu legendarny producent Darryl F. Zanuck).

6. „SZEREGOWIEC RYAN” (1998), REŻ. STEVEN SPIELBERG

Najlepszy z filmów Spielberga nieocierających się o fantastykę i grozę. Kto oglądał „Szeregowca Ryana” w kinach, ten pamięta, jakie piorunujące wrażenie robiła na widzach długa sekwencja lądowania na plażach Normandii. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy na ekranie intensywności i horroru wojny pokazwanego w ten sposób. Ale tym, co czyni ów film naprawdę niezwykłym, jest jego przesłanie, które mogłoby być mottem zachodnich demokracji: „Każde życie jest ważne”. Straceńcza misja podjęta, by ocalić sierżanta Ryana, to działanie



Patriotyczna wymowa „Szeregowca Ryana” okazała się problemem dla polskiej prasy. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

całkowicie wbrew „polityce realnej” dyktatorów, dla których kolejne tysiące trupów to tylko kulki na liczydło. Tyleż zabawna, co smutna rzecz: pamiętam, jak część polskiej prasy krytykowała ostatnią sekwencję filmu, uważając ją za nazbyt patriotyczną: no bo flaga, bo hołd poległym. Takie mamy kulturalne elity – i nic się do dziś nie zmieniło.

5. „WOLNE MIASTO” (1958), REŻ. STANISŁAW RÓŻEWICZ

Stanisław Różewicz jest w XXI w. jednym z niesłusznie zapomnianych mistrzów polskiego kina. Chyba nawet wiem dlaczego – bo wobec dzisiejszych narracji proeuropejskich i proniemieckich jego najważniejsze dzieła okazują się głęboko niepoprawne politycznie. Jak bowiem można wytykać Niemcom, że rozpętali jakąś wojnę i w dodatku zabijali Polaków? Rozpętali i zabijali, a zaczęło się w Gdańsku od heroicznej obrony Poczty Gdańskiej. Paradoksalny film Różewicza „Wolne miasto” do dziś robi ogromne wrażenie. Podobnie jak inne jego dokonania: „Westerplatte” czy „Świadectwo urodzenia” (najlepszy chyba film o niemieckiej okupacji widzianej oczami dziecka). „Wolne miasto” trafiło



„Wolne miasto” pokazało determinację zwykłych ludzi – niezbędną do pokonania III Rzeszy. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

do mojego zestawienia nie dlatego, że pokazuje, jak Niemcy dostali za swoje – bo nie dostali – ale dlatego, że pokazuje rzecz kluczową dla ostatecznego zwycięstwa nad III Rzeszą. Determinację zwykłych ludzi, którzy w czasach pogardy dokonują czynów heroicznych, choć płacą za to życiem.

4. „OLIMPIADA 40” (1980), REŻ. ANDRZEJ KOTKOWSKI

Pokonać wroga: na polu bitwy, lepszym przygotowaniem, bronią, przewagą

■ w powietrzu i na morzu; zniszczyć go, uwalniając gospodarczy potencjał – tak, wszystko to wiemy z podręczników historii. Ale czy można pokonać wroga w skrajnie niesprzyjającej sytuacji, np. w obozie jenieckim? Reżyser filmu „Olimpiada 40”, Andrzej Kotkowski, opowiadał: „Inspiracją było dla mnie autentyczne wydarzenie. We wrześniu 1940 r. prości żołnierze: Polacy, Francuzi, Belgowie, Anglicy, Norwegowie – jeńcy hitlerowskiego stalagu XIII C w Langwasser – zorganizowali konspiracyjne igrzyska sportowe. Inicjatorami byli Polacy”. Ta inspiracja posłużyła do nakręcenia filmu o czymś więcej niż miłości do sportu i idei olimpijskiej. Tylko o „godności



„Olimpiada 40”. Triumf ducha jest równie ważny, jak triumf militarny

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ludzkiej, zdolnej manifestować się nawet w najtrudniejszych warunkach” – mówił reżyser. Jego film wyprzedził produkcję Johna Hustona „Zwycięski mecz” („Escape to Victory”, 1981) o alianckich żołnierzach, którzy uwięzieni w jenieckim obozie rozgrywają mecz przeciw niemieckim piłkarzom. Warto wrócić do „Olimpiady 40”. Triumf ducha jest równie ważny, jak triumf militarny.

3. „PATTON” (1970), REŻ. FRANKLIN J. SCHAFFNER

Jedna z najlepszych filmowych biografii w dziejach kina, a zarazem znakomity film wojenny i polityczny. Zasłużony Oscar dla George’a C. Scotta za rolę gen. George’a S. Pattona – Oscar, którego nie odebrał (nazwał ceremonię Akademii targiem mięsnym organizowanym jedynie dla zarobku). Patton był jednym z największych dowódców drugiej wojny światowej, ale rzadko otrzymywał zadania



„Patton”. George C. Scott w oscarowej kreacji tytułowego bohatera FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nia godne jego unikatowych talentów. Na przeszkodzie stawały zazdrość innych, mniej utalentowanych, oraz fakt, że był nadmiernie niezależny i że w sporach z przełożonymi zwykle po czasie okazywało się, że to on miał rację. Ale był wyjątkową postacią także z innego powodu: głębokiego rozumienia ludzkiej natury, natury demokracji i polityki. Opowieść o jego życiu to także opowieść o tym, dlaczego walczyliśmy, i dlaczego trzeba było to robić na jego sposób, sposób Pattona, który najlepiej wyciągnął lekcje z sukcesów gen. Williama Shermana podczas wojny secesyjnej.

2. „NAZIŚCI – OSTRZEŻENIE HISTORII” (1997), SERIAL DOKUMENTALNY

Sześcioczęściowa produkcja BBC, której autorem jest brytyjski historyk Laurence Rees, to chyba najlepszy dokument o tym, co działo się w niemieckiej duszy i niemieckiej polityce od czasów, które wyniosły Hitlera do władzy, aż do upadku III Rzeszy. Rees zebrał wypowiedzi nie tylko historyków, lecz także żyjących jeszcze świadków wydarzeń.



„Nazisci – ostrzeżenie historii”. Portret duszy niemieckiej FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Była to chyba pierwsza produkcja, która pokazała zachodniej publiczności skalę zbrodni niemieckich popełnianych na wschodzie – nie tylko na Żydach, lecz także na Polakach, Rosjanach i innych narodowościach. Wstrząsające są fragmenty, gdy donosiciele denuncjujący wrogów reżimu konfrontowani są z dokumentami świadczącymi o ich winie – wszyscy uważają, że padli ofiarą pomówień, a kwity są sfalszowane. Cóż, takie właśnie były Niemcy. Czy tylko były?

1. „KOMPANIA BRACI” (2001), SERIAL HBO

Nie byłoby tego serialu, gdyby nie film „Szeregowiec Ryan”. Steven Spielberg i Tom Hanks tak wciągnęli się w zgłębianie historii drugiej wojny światowej, że postanowili oddać hołd walczącym za wolność żołnierzom, kręcąc „Kompanię braci” – bezwzględnie najlepszy wojenny serial wszech czasów (choć powstały potem „Pacyfik” uważam za równie dobry). Wszystko tu zagrało – scenariusz, obsada, rozmach, dbałość o detale historyczne. I wszystko, co złożyło się w całość, okazało się warte więcej niż zwykła suma jej składowych. Powstał wspaniały hymn ku czci tych, którzy przeciwstawili się niemieckiemu barbarzyństwu. Ku czci wolnego świata przeciwstawiającego się niemieckiej tyranii. Niesamowite wrażenie robiły dołączone do odcinków wspomnienia prawdziwych żołnierzy Kompanii E, których udało się nagrać, nim odeszli na wieki. Jeden z nich wypowiada w finale znamienne słowa – gdy pytają go, czy był bohaterem, odpowiada: „Nie, ale walczyłem u boku bohaterów”.

Na koniec kilka słów wyjaśnienia: Skąd tytuł tego tekstu? W roku 1931 Bruno Jasieński, zapalony komunista, opublikował powieść „Pałę Paryż”, w której opisuje malowniczy upadek stolicy Francji (epidemia dżumy) i powstanie republiki rad. Była to gniewna odpowiedź ideowa na opowiadanie Paula Morada „Pałę Moskwę” oraz zatytułowaną tak samo powieść Edmunda Krügera, który ostro krytykował komunizm i jego zbrodnie. Pomyślałem, że skoro tekst poświęcam klasycznym filmom i serialom przypominającym o tym, że Niemcy sami na siebie ściągnęli zagładę, to i tytuł powinien do klasyki nawiązywać. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Swinarski biograficznie

FOT. Z MONT. JANUSZ KOSIŃSKI



Grzegorz Kondrasiuk

Koleje losu Konrada Swinarskiego, pomijając już jego spektakle (uznawane za genialne), wykraczają daleko poza opowieści i anegdoty z teatralnego światka

Dzięki biografistce oraz wydawanej masowo w ostatnich latach literaturze reporterskiej odślaniają się mniej rozpoznane momenty historii i kultury polskiej. Co jakiś czas pojawiają się książki znaczące, kolejne tomy z dziejów naszej komedii ludzkiej. Do takich z pewnością należy „Konrad Swinarski. Biografia ukryta” Beaty Guczalskiej. Ma ona potencjał na bestseller, w czym przeszkadza jedynie to, że teatr niewielu dziś obchodzi i się „nie sprzedaje”, a życie reżyserów pracujących po drugiej wojnie, choćby i nawet byli największymi gwiazdami – jeszcze mniej. Tymczasem kolej losu Konrada Swinarskiego, pomijając już jego spektakle (uznawane za genialne), wykraczają daleko poza opowieści i anegdoty z teatralnego światka.

Narracja Guczalskiej jest rzeczowa, dążąca do obiektywizmu. Biografistka stara się nie ujawniać stosunku do bo-

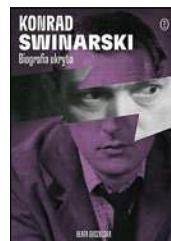
hatera, nie ulegać ani fascynacji, ani odrazie, choć przecież postać Swinarskiego, odsłonięta dzięki jej wnikliwości (i dostępowi do prywatnych archiwów), właściwie zmusza do opowiedzenia się za jedną z tych skrajności. Fakty wraz z dokumentami i świadectwami (w wielu przypadkach są one szerzej nieznane) składają się na dramatyczny i niespójny życiorys. Wyrażał w dwujęzycznej, śląskiej rodzinie, a jego matka, wdowa po polskim wojskowym, podpisała w czasie drugiej wojny światowej Volksliste. „Jest raczej pewne” – stwierdza autorka – że Konrad chodził do gimnazjum z najstarszym synem Hansa Franka, że „przynajmniej formalnie” należał do Hitlerjugend. W konsekwencji przez całe życie Swinarski milczał o swojej przeszłości, kluczył, kłamał i ukrywał tego rodzaju fakty. Od nastolatka był sierotą (matka umarła w powojennym obozie w My-

słowicach na tyfus, starszy brat zginął na froncie jako żołnierz Waffen-SS), marzył o wyjeździe do rodziny w Niemczech, aż w końcu trafił do Berlina Wschodniego, do teatru Bertolda Brechta. Stereotypowa, ale prawdziwa jest więc opinia, że składnikiem jego talentu (po sukcesie „Marata/Sade’a” Petera Weissa w Berlinie Zachodnim w 1964 r. okrzyknięto go najzdolniejszym młodym europejskim reżyserem) były dwujęzyczność i różnego rodzaju problemy z tożsamością. Osobny, bogaty wątek książki wyznacza tło obyczajowe i polityczne. Brakuje akt reżysera w IPN, co wskazuje na ingerencję służb (Guczalska wydobywa jego dziwną, bliską przyjaźń z pewnym funkcjonariuszem, dokładnie opisuje życiorys żony, Barbary Witek, również współpracującej z „organami”, z którą Swinarski był w otwartym związku).

Dzieje się więc tu aż nazbyt wiele w każdym z rozdziałów, gruby, 800-stronicowy tom czyta się błyskawicznie. Właściwie to gotowy materiał na serial dla którejś z filmowych platform. Jest tu wszystko, co lubi taki gatunek: wielka i mała historia, zwroty akcji, kontrasty i nieprzystające do siebie światy, Polska i świat, wątki obyczajowe i sensoryjne. Mogłby zaczynać się np. tak: Berlin Zachodni, Tempelhof, 1964 r. Przystojny, wysoki mężczyzna w płaszczu wysiada z samolotu, w obu rękach trzyma przenośne klatki. Wiezie koty dla znajomych, z rozrastającej się nadmiernie kolonii w jego wiejskim domu. Inne sceny: wielki europejski teatr, owacje podczas

premieri, reżyser w ataku paniki zamyka się w łazience. I krakowski szpital psychiatryczny, kierownik techniczny odwiedza Swinarskiego, by omówić sceny z powstających właśnie „Dziadów”, w tym tą z samobójczym skokiem Rolisona przez okno, wychodzące na plac Szczepański. Ten film mógłby kończyć się następująco: rok 1975, Swinarski siedzi na walizkach, w oczekiwaniu na wizę. Potem, w ostatniej chwili, po szaleńczej jeździe przez czerwone światła, wpada na Okęcie. Samolot czeka już tylko na niego... Napisy końcowe: katastrofa lotnicza pod Damaszkim, zdanie z wywiadu, „najlepiej czuję się w samolocie – kiedy jestem »nigdzie«”, i słowa wypowiedziane niecałe dwa miesiące wcześniej w dyskusji redakcyjnej: „Wylecieć w powietrze, żeby nic nie zostało”.

A jednak zostało. Zrozumienie Swinarskiego wiele wnosi do rozumienia współczesnego polskiego teatru, widzianego w perspektywie długiego trwania. Był prekursorem, jako ironista, brutalista, teatralny dekonstruktor romantycznej spuścizny, ale też reżyser jak nikt umiejący pracować z grupą zaufanych (i rozkochanych w nim) aktorów: „To, na co chciał otworzyć teatr Swinarski, zrealizowali 30 lat później [...] Grzegorz Jarzyna, Krzysztof Warlikowski, Małgorzata Szczesińska, Magdalena Cielecka, Jacek Pioniedziałek, Małgorzata Hajewska-Krzysztofik [...]. Podążali, niekoniecznie świadomie, drogą, którą zarysował Swinarski, wchodząc do uchylone przez niego drzwi”. ©©



BEATA GUZALSKA
„KONRAD SWINARSKI. BIOGRAFIA UKRYTA”
WYDAWNICTWO LITERACKIE, 2025

Ślązak z Saskiej Kępy



O Stanisławie Sojce inny świetny muzyk, Wojciech Karolak, mówił, że „jest nieprzewidywalny. Pisząc swoje w założeniu proste piosenki, potrafi w pewnym momencie zahaczyć o tak dziwną nutkę, że chciałoby się spytać: A ty, skąd ty się wzięłaś, kochanie?”

„Aż po maturę pławiłem się w starej muzyce – opowiadał Sojka – np. Wacław z Szamotuł, Mikołaj Gomółka, Orlando di Lasso, Giovanni Pierluigi de Palestrina, Jan Sebastian Bach, Georg F. Händel i wszyscy goście z epoki barokowej, ja przy baroku zostałem. Gdy chodziłem do Liceum Muzycznego w Katowicach, to prawie wyłącznie grałem barokowych kompozytorów. Kochałem się w tej mu-



Krzysztof Masłoń

Stanisław Sojka wszystkim, co śpiewał, nadawał własne, indywidualne piętno. Zachowując przy tym, jakże cenny, dystans do siebie i do tego, co robił. „Moja solidność wiąże się z przykładem, to znaczy, że gdyby mój ojciec nie był wiarygodny, czyli rzetelny, to nie byłby kimś, ponieważ ludzie na Śląsku bardzo szybko się orientują, gdy ktoś zawodzi”

zyce bardzo, aż do chwili, kiedy od Marka Walarowskiego, wówczas już studenta Akademii Muzycznej w Katowicach na Wydziale Jazzu i Muzyki Rozrywkowej, dostałem kasety z przegraną płytą. »Kind

of Blue«. Milesa Davisa. Miałem szesnaście lat. To był dla mnie szok. Wcześniej nigdy nie słyszałem muzyki jazzowej”.

Podobne wstrząsy przeżywali i jazzmani, także za sprawą nieco innej



stronga. I mówi: »jak on to, k..., robi?«. Satchmo właśnie grał to, czego zazdrościł mu Stańko. To był zupełnie inny świat, inne myślenie. Dziś jest ten artyzm przekreślony troszkę w inną stronę. Właśnie dlatego nie dziwił cię stary facet, który zapieprza freety, i nagle widzisz, że on siedzi i słucha Armstronga i mówi »jak on to... robi?«.

Cytowane tu wypowiedzi muzyków pochodzą z kolejnej, po „Jazzowych dziejach Polaków”, fantastycznej pracy znawcy i pasjonata tej muzyki, świetnego fotografa i dokumentalisty Andrzeja Wasylewskiego. Mottem „Jazzowych ballad na koniec wieku” są słowa nie kogo innego, a właśnie Stanisława Sojki: „Uważam, że prawdziwego jazzmana poznaje się w balladzie. Ballada demaskuje kłamczuchów”.

Pamiętają może państwo Wojciecha Młynarskiego, któremu marzyła się: „taka ballada, / co byle czego nie opowiada, / bo słów jej szkoda, bo krew nie woda, / bo nagli czas”, „... taka ballada, / która naszemu życiu wykrada / w nagłym porywie to, co wstydliwie / skrywamy w nas”. I, czego istotę uchwycił Sojka, obnaża artystyczne łgarstwo.

PRZESZEDŁ MNIE DRESZCZ

W środowisku muzycznym był Sojka postacią wyjątkową i traktowano go tak, jak na to zasługiwał – z najwyższym uznaniem. Za swojego guru uważali go najwybitniejsi artyści. Pamiętam, jak odnosił się do niego Grzegorz Ciechowski, z jakim respektem i nieomal czcią mówił o nim. A był to czas największych sukcesów Republiki. Przy czym, co warto zauważyć, przyszedł Obywatel G.C. był od Sojki prawie o dwa lata starszy.

„Muzyka Milesa Davisa – opowiadał twórca »Cudu niepamięci« – to był »pocałunek jazzu«, tak w jazzie zakochałem się po raz pierwszy. Drugi raz zawdzięczałem Rayowi Charlesowi, którego singiel wpadł mi w ręce. Trzeci raz zakochałem się w kontrabasie dzięki Zbyszkowi Węghauptowi, od którego bardzo wiele się nauczyłem w okresie współpracy z Extra Ballem. Czwarte to Wojciech Karolak [...]. Wreszcie piąte to Nina Simone”.

Następnie Sojka wspominał: „Rok przełomu dla mnie, szesnaście lat, dzięta klasa, u mojej starszej koleżanki z klasy usłyszałem »Enigmatic« Nieme-

na, od tamtej pory zacząłem wychylać się w stronę muzyki jazzowej. Powoli kolekcjonowałem repertuar do imponowania dziewczynom przy pianinie. Wszędzie covery, oczywiście Stevie Wonder, doszły piosenki amerykańskie z księgi »The

Great American Songbook« (American Standards). Standardy, które stały się pod koniec lat siedemdziesiątych moim pierwszym repertuarem. Moje doświadczenie nie obejmowało bluesa i tego, co z bluesa wynikało, przecież wychowałem się na ludowych melodiach śląskich, podhalańskich i sakralnej muzyce europejskiej. Bardzo udzielałem się w muzycznym życiu parafialnym, śpiewałem, grywałem na organach, byłem zastępcą organisty”.

»To człowiek, którego sama obecność jest błogosławieństwem«, tak Sojka mówił o Janie Pawle II, którego po raz pierwszy widział i słyszał w 1975 r. na pielgrzymce do Piekar Śląskich

To, czego nauczył się w katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Gliwicach, pozostało w nim na zawsze. Był to zresztą fragment większej całości. Niepodobna przejść obojętnym obok jego muzyki religijnej, znaczonej takimi płytami jak „Matko, która nas znasz” (zdaniami perkusisty Czesława „Małego” Bartkowskiego „jazzujący kościelny śpiew, robiliśmy to po swojemu”), „Polskie pieśni wielkopostne”, nagrany z Piaskiem albumem z poezją Jana Pawła II „W blasku światła” czy mającym wyjątkowe znaczenie papieskim „Tryptykiem rzymskim”. Ten ostatni wykonał 4 listopada 2003 r. w dniu imienin Ojca Świętego. Usłyszał od niego recenzję najkrótszą z możliwych: „Brawo”.

„To człowiek, którego sama obecność jest błogosławieństwem” – tak Sojka mówił o kimś, kogo po raz pierwszy widział i słyszał w 1975 r. na pielgrzymce do Piekar Śląskich. Cztery lata później wspominał, gdy wraz z tłumem wiernych

muzyki. Marian Pawlik, basista legendarnych Dżambli (tych od Andrzeja Zauchy), zapamiętał, jak do krakowskiego klubu Helikon wszedł „roztrzęsiony Tomek Stańko, pod pachą ma płytę, mówi: »Słuchajcie... stary, wiesz jaki numer? Było takie Bambino« – pamiętasz to? Wyjmuję płytę, puszcza ją, a to jest płyta Jimiego Hendrixa, ta pierwsza, najgenialniejsza. I widzisz, jakie podejście Tomka Stańki, wielkiego artysty, który szeroko patrzył na muzykę. Myślę, że ta muzyka Hendrixa w tym czasie zainspirowała go do napisania utworu dla Dżambli »Sami«, do tekstu Jana Polewki, który nagraliśmy w 1969 r.”.

Dalej Pawlik wspominał: „[...] kiedyś Stańko siedział na ziemi i słuchał Arm-

■ witał polskiego papieża w Krakowie: „Przeszedł mnie dreszcz, jaki do tej pory nigdy nie był moim udziałem”.

Swoją muzyką czcił i inne ważne dla siebie postaci. „Cudowny świat” poświę-

W środowisku muzycznym był Sojka postacią wyjątkową i traktowano go tak, jak na to zasługiwał – z najwyższym uznaniem. Za swojego guru uważali go najwybitniejsi artyści

cił pamięci Zbigniewa Religi, śpiewał wiersze Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta, sonety Williama Shakespeare’a i poezję Bolesława Leśmiana, a płytę z wykonywanymi utworami Czesława Niemena zatytułował „Stanisław Soyka w hołdzie Mistrzowi” (przy okazji: w różnym czasie koncertował i nagrywał jako Soyka czy Stanisław Soyka, ale był Stanisławem Sojką, gliwiczanie, choć urodzonym 26 kwietnia 1959 r. w Żorach).

PIĘKNA, CHOĆ ZMITOLOGIZOWANA

Dumny był zarówno ze swojej polskości, jak i śląskości. Często podkreślał, bardzo żywą w jego stronach, tradycję śpiewaczą. Tam „ludzie chętnie śpiewali. Najczęściej przy okazji uroczystości, w urodziny babci, po południu do kawy pojawiały się śpiewniki i było śpiewanie. Ta rodzina to są rolnicy na hektarach dobrze zagospodarowanych. Bo w tamtych stronach niegospodarny człowiek jest uważany za nieprawego. Niemożliwe jest trzymanie ziemi odłogiem, trzeba odnosić się do niej pracą i wysiłkiem, a ona przynosiła dobro. To jest jedna ze śląskich cech, rzetelność, szacunek dla pracy. Ja jestem pierwszym pokoleniem urodzonym w mieście”.

Wpisał się Sojka w tradycję polskiego jazzu, piękną, choć zmitologizowaną. Igor Pietraszewski, socjolog saksofonista, tak to postrzegał: „Pozycja i symbolika jazzu były w PRL bardzo wymowne. Znam relacje muzyków z Zachodu, dla których

dotknięcie tego szczególnego rodzaju szacunku publiczności, szczególnej symboliki – jazzu jako sztuki oporu – było bardzo istotne i niespotykane. Przecież w krajach wolnej Europy i w USA jazz był jednym z możliwych wyborów z szerokiego wachlarza gatunków muzyki, w pewnym stopniu muzyki rozrywkowej, który, żartobliwie mówiąc, zawsze stał okrakiem między kuchnią a saloniem. Miał służyć i rozrywce, i zabawie, i wzruszeniom, i poważnym przeżyciom artystycznym. W Polsce mit jazzu jako sztuki oporu trwał w najlepsze do lat osiemdziesiątych. Bywał źle postrzegany, potępiany, ale nie spotkałem się w trakcie swoich badań z dowodami na to, że ktoś z muzyków jazzowych był z powodu swojej działalności artystycznej dotknięty jakąś szczególną opresją lub sankcjami karnymi. Trochę to się myli w społecznym odbiorze. Były przypadki relegowania ze szkół za granie jazzu. Mnie też profesor chciał wyrzucić w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych ze szkoły, ale nie z powodów politycznych czy ideologicznych, tylko estetycznych.

»Synek, albo grasz Mozarta, albo to swoje nie wiadomo co«. Natomiast to, że jazz był źle widziany w drugiej połowie XX w., to fakt. Wystarczy przeczytać prasę, wypowiedzi działaczy politycznych i kulturalnych z okresu stalinizmu”.

Grał Sojka ze wszystkimi, bo wszyscy chcieli z nim grać, a marzyli o tym, by coś dla nich napisał. Ciekawe, że nie przebiło się jakoś do świadomości społecznej, że nie tylko komponował i – genialnie – aranżował jakże różną muzykę, ale i pisał teksty, także swoich najbardziej znaczących utworów, takich jak „Są na tym świecie rzeczy”, „Absolutnie nic”, „Cud niepamięci” czy „Tolerancja (Na miły Bóg...)”. Ba, wydał kiedyś nawet tom swoich wierszy („Fracha”).

Nie dzielił muzyki na dawną i nową, lepszą i gorszą. Dotyczyło to również jazzu, w którym podział na modernistów i tradycjonalistów przybierał często ostre formy. Sam pamiętam młodzieńcze czasy, gdy zasłuchany w skomplikowany, często ponad miarę, free jazz, lekceważyłem zespoły grające np. jazz nowoorleański. Przeszło mi, gdy po raz pierwszy wybrałem się na „Złotą Tarkę”... Wojciech Karolak rzecz stawiał bez ogródek: „Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdzie-

siątych, kiedy przyjeżdżałem do Warszawy jako saksofonista grający z modernistycznymi Believersami, uciekałem często do Stodoły, żeby nacieszyć się słuchaniem jazzu tradycyjnego. Uwielbiałem swing Janusza Zabieglńskiego, wspaniałych Modern Dixielandersów Krotoczwila ze Zbyszkiem Namysłowskim na puzonie czy New Orleans Stompersów z Heniem Majewskim. Te zespoły grały wtedy wspaniale, fenomenalny Eddie Condonowski jazz. Na poziomie światowym, bez żadnej taryfy ulgowej. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego polscy moderniści wypadali wtedy – moim zdaniem – tak błado i niedojrzale w porównaniu z nimi”.

Był jazz! Po Stanisławie Sojce, zmarłym 21 sierpnia, zostały płyty, takie jak „Blublula”, „Radioaktywny”, „Acoustic”, „Neopositive”, jak cała masa innych, świetnych albumów. Jest wśród nich mniej znana płyta zatytułowana „W piwnicy na Wójtowskiej”. I właśnie recital tego wyjątkowego śpiewaka – bo jakoś słowo „wokalista” nie chce mi przejść przez gardło – w tym miejscu, na warszawskim Starym Mieście, pamiętam może najbardziej, nie deprecjonując ważnych koncertów festiwalowych, włącznie z Jazz Jamboree, gdzie w 1988 r. dostąpił zaszczytu występu przed samym Milesem Davisem. Zresztą kojarzę go najbardziej z Warszawą właśnie, w którą wrósł, mieszkając latami na Saskiej Kępie, gdzie – bywało – trudno było przejść Francuską, by się na niego nie natknąć.

ROMANTYCZNY, WYCISZONY, LIRYCZNY

Śpiewał jak nikt. Janusz Szprot, pianista, krytyk i teoretyk jazzu, ładnie ujął zagadnienie improwizacji jazzowej jako swoistej próby uchwycenia ptaka w locie. „Ale to nie wszystko! – twierdził. – Nie wystarczy go uchwycić, trzeba z nim razem polecieć! Choćby przez chwilę... Kiedy słucham wielkich muzyków jazzowych, czasami mam to cudowne uczucie, że latam jako drugi pilot bądź nawigator z Johnem Coltrane’em, Keithem Jarrett’em, Billem Evansem, Milesem Davisem, Birdem (Charliem Parkerem) albo z Tomaszem Stańką, Ptaszynem Wróblewskim czy Andrzejem Jagodzińskim”. No dobrze, ale spróbujmy takiego pilotażu ze śpiewem Stanisława Sojki. Nie nadążymy.

Czytając „Jazzowe ballady na koniec wieku”, natrafiłem z kolei na taką opowieść Jerzego Armaty, dziennikarza i krytyka: „Janusz Majewski, autor filmu »Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy«, brawurowej opowieści o emigrancie wojennym, który w Ciechocinku wraz z miejscowymi »excentrykami« zakłada jazzowy big-band, opowiedział mi kiedyś pewną muzyczną przygodę, która na długo pozostała mu w pamięci: »Kiedyś znalazłem się w jakiejś bocznej ciemnej uliczce na Manhattanie. Nagle usłyszałem muzykę, dobry jazz. Wchodzę po schodkach do dość zatłoczonej piwnicy, siadam przy barze, zamawiam piwo, a na małej scenie pięciu czarnych dziadków – każdy po osiemdziesiątce – gra, ale jak! Jak aniołowie... Wtedy poczułem, że wróciłem do domu, że to jest właśnie mój dom ta muzyka, którą żyłem całe lata, że dotarłem do źródeł. Doznałem takiego wzruszenia, łzy niemal stanęły mi w oczach. Zrozumiałem, że to jest moja ojczyzna. Moja też...«”. Nie ma już wśród nas ani Janusza Majewskiego, ani Wojciecha Karolaka. Nie ma Staszka Sojki.

Andrzej Wasylewski spytał Tomasza Szachowskiego, czy dostrzega on jakiś szczególny ton wyróżniający polski jazz spośród innych szkół i tradycji.

„Nie odkryję tu Ameryki – odpowiedział ten znany dziennikarz radiowy, krytyk i muzykolog – że są to, najoğólniej biorąc, emocje – romantyczne, wyciszone, liryczne, choć gdy trzeba, szalone, gdzie pojawia się krzyk i bunt. Coś takiego, co słyszę w solówkach nieodżałowanego Tomasza Stańki, ale także w wielu innych kreacjach. Ogólnie biorąc, to szeroko rozumiany krąg ballady jazowej, gdzie w dorobku mamy rzeczywiście mistrzowskie wykonania, jak choćby Tomasza Szukalskiego, Janusza Muniaka, Henryka Miśkiewicza, Wojciecha Karolaka, a nawet tanecznego na ogół Zbigniewa Namysłowskiego czy bardzo amerykańskiego w swych wyborach estetycznych Michała Urbaniaka. A u podłoża tej nostalgii odnajdujemy bez wątpienia tradycję Krzysztofa Komedy, którego twórczość to mit założycielski polskiego jazzu. Nie przypadkiem ta najlepiej rozpoznawalna

w świecie ballada jego pióra to »Sleep Safe and Warm«, czyli kołysanka z filmu Romana Polańskiego »Rosemary’s Baby«. Każdy z polskich muzyków zna ten utwór i każdy potrafi go zagrać na swój własny, bardzo osobisty sposób”.

Sojka na wszystkim, co śpiewał, odciskał własne, indywidualne piętno. Zachowując przy tym, jakże cenny, dystans do siebie i do tego, co robił. „Moja solidność wiąże się z przykładem, to znaczy, że gdyby mój ojciec nie był wiarygodny, czyli rzetelny, to nie byłby kimś, ponieważ ludzie na Śląsku bardzo szybko się orientują, gdy ktoś zawodzi. Był ceniony i szanowany. Był mistrzem posadzkarskim. To jest więc mój interes, aby nie zawodzić. Ja jestem przede wszystkim fachowcem. Pojęcie »artysta« – to pojęcie XIX-wieczne. Najpierw trzeba dobrze zaśpiewać czy zagrać. Dopiero jak zagrasz 100, 200 razy i przyjdzie taki moment, gdy możesz odejść na pewną odległość, popatrzeć z boku na to, co robisz, jest szansa, że pojawi się wartość dodana, to, co nazywamy uniesieniem, sztuką”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Poznaj serię książek **BEZ FIKCJI...**
I zobacz, że życie jest mroczniejsze niż
cokolwiek, co możesz sobie wyobrazić.

WWW.RM.COM.PL



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

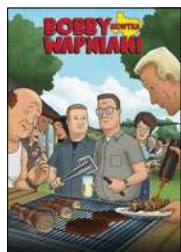
OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Normalna normalność



Hank nadal uwielbia steki, wielkie samochody i przemysł gazowy oraz picie piwa z kumplami, a jego zdrowy rozsądek sprawia, że jest szczęśliwszy i mądrzejszy od przedstawicieli tzw. sił postępu. A gdy czasem zdarza mu się nie najlepszy pomysł, to pion moralny przywraca mu dobrą radą żona – ta sama od dekad. Hillowie próbują nadążyć za nowoczesnością i trochę się zmieniają, np. lubią soccer, czyli europejski futbol, ale to zmiana na własnych warunkach. Ich trzeźwe podejście do życia jest okazją do demaskowania hipokryzji rozmaitych samozwańców poprawiających świat.

Żeby nie było zbyt słodko, ostrze satyry jest też skierowane ku rozmaitym szurom spod znaku spiskowej alt-prawicy, których w serialu symbolizuje Dale Gribble. Ten sąsiad Hanka wszystkich podejrzewa o szpiegowanie dla Chin, Korei Północnej lub Arabów, a gdy w czasie pandemii wygra wybory na burmistrza, natychmiast zrezygnuje przekonany, że ktoś taki jak on zwyciężyć mógł jedynie wskutek spisku. Tylko czyjego? ©©



★★★★★
SEZON 14
„BOBBY KONTRA WAPNIKI”
(„KING OF THE HILL”)
USA 2025,
ANIMOWANY

Zaden z powrotów nie sprawił mi w ostatnich latach tak wiele przyjemności jak nowy sezon animowanego serialu w wersji polskiej kosztownie nazwanego „Bobby kontra wapniaki”. W oryginale to „King of the Hill”, rzecz o rodzinie Hanka Hilla i jego sąsiadach z miasteczka Arlen w Teksasie. Są to jedni z ostatnich zwykłych Amerykanów w świecie hollywoodzkiej rozrywki. Serial Mike’a Judge’a nie bez powodu trafia do wszystkich zestawień najlepszych konserwatywnych seriali wszech czasów: celebrytuje normalność.

Praca, rodzina, kościół, silne więzi sąsiedzkie, zasady, patrio-

tyzm – nowy sezon „King of the Hill” jest jeszcze bardziej konserwatywny od poprzednich.

Po długim pobycie w Arabii Saudyjskiej (gdzie pracowali dla amerykańskiego giganta gazowego) Hank i jego żona Peggy wracają do domu. Każdy krok jest okazją do zdziwienia, bo świat oszalał. Od toalet „all-gender” do absurdalnych przepisów drogowych i obyczajów w świecie randek. Syn państwa Hill, Bobby, właśnie usłyszał od dziewczyny, którą kocha, że praktykuje ona etyczną niemonogamię, więc będzie sypiała, z kim chce, o ile partner się zgodzi. Ale z nim akurat nie będzie.

GRA TYGODNIA: „MAFIA: THE OLD COUNTRY”

Do bólu liniowa, lecz również dzięki temu w klimacie pierwszej i drugiej „Mafii”. Inne czasy: sam początek XX w., inne miejsce: Sycylia, jednak podobna historia: chłopak zniknął przypadkiem trafia w mafijne struktury i próbuje się

w nich odnaleźć. Fabuła prosta, ale angażująca, z dobrze wykreowanymi bohaterami. Kilkunastogodzinna gra odturka na wielkie produkcje z masą niepotrzebnych pozeraczy czasu. Dorzućmy do tego klimat oraz cieszące oko widoki Sycylii i mamy



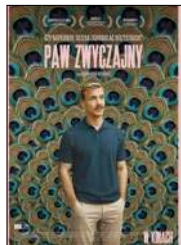
FOT. MATERIAŁ PRASOWY

★★★★★
kilka wieczorów z głowy. „Mafia 4”, będąca prequelem serii, warta jest polecenia. ©© **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** akcji, TPP
• **Platforma:** XSX, PS5, PC
• **Producent; wydawca PL:** **Hangar 13; Cenega**

Pawia krzyk

Na gwałt potrzebujesz ojca, małżonka, syna, przyjaciela, doradcy albo klakiera? Nie ma sprawy, firma specjalizująca się w krótkotrwałym wynajmie powyższych załatwi twój problem od ręki. Na razie działa tylko w Japonii, lecz Bernhard Wenger uznał, że odniosłaby sukces również w Wiedniu. Bohater jego filmu, Matthias, jest gwiazdorem tej branży. Trochę aktor, trochę psychoterapeuta, imponuje wszechstronnością. Nauczył stłamszoną frau asertywności, ociepli wizerunek antypatycznego przedsiębiorcy. Klienci rzadko wystawiają mu złe opinie, ale i z tym można przecież sobie poradzić. Matthias dobrze

zarabia, ma uporządkowane życie i apartament w stylu minimalistycznym. Prywatnie jest nijaki, ani mądry, ani głupi. Nie okazuje emocji, niczemu się nie dziwi i nie ma własnego zdania. Powtarza przeczytane lub zasłyszane opinie, podjęcie najprostszej decyzji to dla niego udręka. W realu trudno schować się za awatarem, dzielenie stołu i łoża z człowiekiem bez właściwości doprowadza dziewczynę Matthiasa do szału. Domyślamy się, że spokój wiedeń-



★★★★★
REŻ. BERNHARD WENGER
„PAW ZWYCZAJNY” („PFAU”)
AUSTRIA/NIEMCY 2024

wyst. Albrecht Schuch, Anton Noori, Julia Franz Richter

skiego kameleona jest pozorny, że po kolejnej porażce wypadnie z roli i zacznie rozrabiać jak Michael Douglas w „Upadku”. Nawet jedermann musi mieć jakąś tożsamość.

Fabula „Pawia zwyczajnego” ociera się o absurd, ale diagnozuje rzeczywistość w sposób jak najbardziej racjonalny. Znamy wszak pracoholików, którzy po fajrancie czują się jak ryby wyjęte z wody. Psychoterapeuci tudzież „duchowi przewodnicy” promujący dalekowschodnie metody walki ze stresem są od lat częścią europejskiego krajobrazu. Pogodziliśmy się z tym, że jesteśmy karłami stojącymi na barkach olbrzymów. Akceptujemy kłamstwa i martwe rytuały. Najgorsze, czyli odkrycie, że technologia ułatwia życie, lecz szczęścia nie

daje, wciąż przed nami. Czyżby cywilizacja Zachodu faktycznie doszła do kresu? Wenger oczywiście sam tego wszystkiego nie wymyślił. Krytycy widzą w nim epigona Östlunda i Lanthimos. Rzuca się też w oczy ideowe pokrewieństwo reżysera debiutanta z austrofobami takimi jak Elfriede Jelinek, Ulrich Seidl czy Thomas Bernhard. Nie oszukujmy się jednak: za wyciąganie szkieletów z szaf rodaków łatwiej dostać Nobla niż Oscara. ©©

Wiesław Chełmniak

KINO

WYKLUCZONY I NIEBEZPIECZNY

cda.pl

Pierwsze z ośmiu filmowych wcieleń „Upióra w operze” ujmując prostotą. Bez efektów specjalnych, feerii barw i muzyki Lloyd Webbera, wierne noweli Gastona Leroux z 1910 r. Nie jest opowieścią o cierpiącym, choć wykończonym geniuszu, nie woła o tolerancję wobec szpetoty. To regularny horror, jeden z tych, które zdefiniowały gatunek, korzeniami sięgający epoki romantycznej (kłania się Poe). Ukryty w podziemiach Eryk ma głos anioła, lubi się nad sobą użalać, ale jest sadystycznym mordercą. Wzbudza lęk i obrzydzenie. Arcydzieło kina niemego 100 lat po premierze jawi się jako hybryda, może nawet pierwsza jaskółka postmodernizmu. Psychopata z Paryża, w perfekcyjnej interpretacji Lona Chaneya, z przytupem wkroczył do panteonu kultury popularnej i sądząc z pogłosek, wcale nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. ©©



★★★★★
REŻ. ROBERT JULIAN, EDWARD SEDGWICK
„UPIÓR W OPERZE” („PHANTOM OF THE OPERA”)
USA 1925

DO ZOBACZENIA

Bez powrotu



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? Muzeum w Jarosławiu Kamienica Orsettich
KIEDY? do 31 października

Lwów, niegdyś jedno z najważniejszych miast w Polsce, ośrodek nauki, kultury i sztuki, stał się symbolem utraty Kresów – mówi Bożena Buszta-Korman, kurator wystawy „Dom, do którego nie wrócę... Lwów 1944–1946”. – Dla Polaków, którzy tam mieszkali, miasto było domem; miejscem, w którym rodziły się marzenia, rozwijały pasje i budowano społeczności.

Dom, który po drugiej wojnie światowej musieli opuścić. Zgromadzone na wystawie fotografie, dokumenty, przedmioty codziennego użytku i wspomnienia kilku-nastu rodzin ewakuowanych ze Lwowa lub związanych z miastem, które osiedliły się w Jarosławiu i okolicach, pokazują, jak mieszkano w przedwojennym Lwowie i jak życie obywateli Polski zmieniło się w okresie okupacji oraz za sprawą przymusowej relokacji.



FOT. MUZEUM W JAROSŁAWIU KAMIENICA ORSETTICH

Wystawa „Dom, do którego nie wrócę... Lwów 1944–1946” skupia się na konkretnych życiorysach, pokazuje przeżycia, lęki i wolę przetrwania konkretnych ludzi. Wpisuje się w obchody 80. rocznicy ekspatriacji ludności polskiej z Kresów Wschodnich. ©©

MOJA PÓŁKA

Dyskretny urok **autobiografizmu**KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Podobno William S. Burroughs swoim studentom żałącym się, że nie mają o czym pisać, radził, by sięgnęli po prozę Dentona Welcha i przekonali się, jak z pozornie nic nieznaczących wydarzeń można stworzyć fascynującą literaturę. Tu akurat ten ćpun i pedał (autor książek o takich właśnie tytułach), zabójca matki swojego syna, uwieczniony przez Beatlesów na okładce albumu „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band” miał stuprocentową rację. Przekonać się możemy o tym w trakcie lektury wydanej niedawno, w przekładzie Marcina Szustera, jednej z trzech jego powieści „Młodości, w tobie uciech siła”.

Welch, zmarły w 1948 r., w wieku zaledwie 33 lat, brytyjski pisarz i malarz, jest u nas ledwie rozpoznawalny, i to od niedawna. W przeciwieństwie do np. Carson McCullers, amerykańskiej autorki tak popularnych swego czasu powieści jak „Serce to samotny myśliwy” czy „W zwierciadle złotego oka”. Łączyło ich jedno. Swoje utwory pisali przykuci do łóżka, ona miała sparaliżowaną lewą stronę ciała, on, po zetknięciu się podczas jazdy rowerem z ciężarówką, złamał kręgosłup, stracił czucie w dolnej części ciała i, mimo częściowo udanej rehabilitacji, wymagał cewnikowania, miał kłopoty z erekcją i do pełni zdrowia nie powrócił już nigdy. Zmarł na komplikacje spowodowane zapaleniem nerek, co było też przyczyną śmierci ukochanej przez niego matki, która osierociła go, gdy miał 11 lat.

Bohater powieści „Młodości, w tobie uciech siła” jest o cztery lata starszy, nazywa się Orvil Pym, ale autobiografizm książki jest oczywisty. Denton Welch opowiada o swoim życiu, o ojcu, braciach i dostatku, w którym się wychował

(ojciec był zamożnym przedsiębiorcą w branży kauczukowej). Denton urodził się w Szanghaju, jeździł na wycieczki do Kanady i Korei, posiłki jadał w drogich hotelach i bezgranicznie kochał uwielbiającą go matkę. Idylla skończyła się wraz z jej odejściem, a chłopak wylądował w elitarniej wprawdzie, ale napawającej go wstrętem szkole z internatem w Repson.

„Pierwszy rok w prywatnym gimnazjum – czytamy – wprowadził go w taki popłoch i rozstrój, że nieustannie tęsknił za cichym pomieszczeniem, gdzie mógłby się porządnie wyspać”. O to jednak nie było łatwo. Nawet na sali chorych, gdzie znalazł się po zatruciu, któremu uległ, „chłopcy turlali po podłodze białe porcelanowe nocniki, rzucali mięsem, opowiadali sobie anegdoty i molestowali się nawzajem wśród nocej ciszy”.

Ten i inne wtręty, nienachalne, ale znaczące, związane z seksem i sygnalizujące przyszły homoseksualizm, a przynajmniej biseksualność, przypominają Stanisława Catta-Mackiewicza, który opowiadał, że w Anglii na wyjazdach szkolnych nauczyciele pilnują, by chłopcy nie kładli się spać jeden obok drugiego, bo wtedy dochodzi do ekscesów. Co innego, gdy przedzieli się ich dziewczynkami, wtedy jest spokój.

Żarcik jak żarcik, ale w „Młodości, w tobie uciech siła” nie ma śladu wulgarności, homoerotyzm jest tu wyciszony, delikatny, ledwie zauważalny. Czy to jeszcze jeden pozór; bohater stosuje przeciw mimikrę, zachowuje „ten swój pogodny, syty uśmiech, przytwardził go sobie do twarzy na stałe i pozwolił mu się po niej rozlać”?

Prawdziwy jest wtedy, gdy nie musi przed nikim niczego udawać, i wtedy wychodzą na jaw wszystkie jego dziwactwa, inności, fascynacja

brzydotą, fetysyzm. Na przykład w zakrystii pustego kościoła, korzystając z okazji, kosztuje (ponad miarę) mszalnego wina, co niespecjalnie dziwi, ale też interesują go wiszące sutanny, bo... „bardzo chciał poczuć obrzydzenie pod wpływem ich woni”. Z drugiej strony, pomimo całego swojego przywiązania do luksusu, chciałby „mieszkać w chacie nad rzeką, nie nosić żadnych ubrań, brązowieć na całym ciele, gotować na ognisku, pływać łódką, kąpać się, śpiewać”. No tak, jest to w końcu autoportret młodego człowieka, nadwrażliwego, ekscentrycznego, a także rozbrajająco naiwnego, wręcz dziecinnego.

Pewnie dlatego aż tak wielkie emocje wzbudza w nim szkoła, „nie-nawidzę jej ze wszystkich sił” – powiada – i nie potrafi uwolnić się od myśli „o żeliwnych łózkach, co były jak czarne, emaliowane szkielety, o lazaretowych derkach w kolorze czerwonego mięsa, o belfrach odzianych w togi przyprószone łupieżem, o nieco groteskowym pięknie wiktoriańskich witraży w auli głównej. Wszystko to wydawało się demonicznie nierealne, jak tekturowa atrapa, która ma budzić grozę”.

Tyle że to była realność, o czym dobitnie przekonują się i bohater Welcha (on sam), i czytelnik, którego ta trochę Wilde’owska, a trochę Proustowska proza wciąga i nie pozostawia obojętnym. „Określa się Welch – powiada w zakończeniu posłowie Marcina Szustera – mianem autora pomniejszego (a minos writer), co może brzmieć lekceważąco, ale nie musi. Jest w jego prozie coś tak rozbrajającego, że upomnienie się o jej miejsce w kanonie wydaje się gestem chybnym, próbą przydania jej niepotrzebnej wagi. Welch funkcjonuje w niszy, na marginesie, i w tym po części tkwi jego urok”. ©



★★★★★
DENTON WELCH
„MŁODOŚCI,
W TOBIE UCIECH
SIŁA”
PIW, WARSZAWA
2025



POCZYTANKI

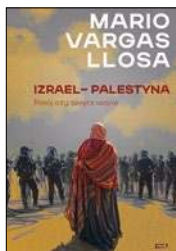
Wieczna wojna

W napisanej niemal ćwierć wieku temu książce Mario Vargas Llosa pozostaje rozdarty: z jednej strony nazywa siebie przyjacielem Izraela, nie kryje podziwu dla rozwoju kraju i jego osiągnięć oraz wskazuje, że to jedyna w miarę normalnie funkcjonująca demokracja w regionie. Z drugiej – bezlitośnie punktuje fatalną politykę Izraela w kwestii palestyńskiej, opisując wyrażenie zbrodnie i nieprawości, których dopuszcza się państwo żydowskie. Dla Palestyńczyków nie jest wcale miłszy. Owa książka złożona została z reportaży pisanych przez Llosę dla europejskiej prasy, a te były wynikiem dwutygodniowej – jak pisze późniejszy noblista „szalonej” – podróży po terytoriach kupowanych od 1967 r.

Z powodu swoich gorzkich przemyśleń był wyzywany w Izraelu od lewaków, socjalistów i wrogów państwa, na co odpowiadał, że w Ameryce Południowej wyzywa się go od konserwatystów. W kwestiach politycznych wykazywał, moim zdaniem, naiwność: wielkie nadzieje pokładał w pacyfistycznym ruchu (w Izraelu mówią na nich „anarchiści”) domagającym się wspólnego, demokratycznego państwa dwóch narodów. Nie sądzę, by po stronie palestyńskiej istniała dziś jakakolwiek siła

zainteresowana takim rozwiązaniem.

Izrael zbiera jednak to, co zasiał. Dużo jest w tym reportażu o podwójnej grze Izraela: z jednej strony przez pokolenia hoduje setki tysięcy własnych wrogów w tzw. obozach dla uchodźców, które porównuje Llosa do slumsów pod Limą. Z drugiej – polityczną grą próbuje przekonywać, że chce pokoju. Jedną z zagadek, którą próbował rozwiązać pisarz, była motywacja stojąca za decyzją premiera Ariela Szarona o likwidacji osiedli żydowskich w Strefie Gazy. Ostatecznie dochodzi do wniosku, że chodziło o dwie rzeczy: spektakl propagandowy oraz ucieczkę przed oskarżeniami o korupcję. Spektakl okazał się kosztowny: do Szarona przyłgnęła łątka zdrajcy, a jego kosztem na męża opatrnościowego wylansował się Benjamin Netanjahu, przesuwając cały dyskurs w kwestii palestyńskiej jeszcze bardziej na prawo. Być może rację miał



★★★★★
MARIO VARGAS LLOSA
„IZRAEL – PALESTYNA. POKÓJ CZY ŚWIĘTA WOJNA”
ZNAK 2025

cytowany przez Llosę Szlomo Ben Ami, mówiąc, że „Izrael stał się państwem, które nie umie już żyć w pokoju i dlatego nieustannie potrzebuje wojny”.

Ta książka ukazała się pierwszy raz po polsku w 2007 r. (szkoda, że we wznowieniu nie zaktualizowano przypisów), ale pozostaje aktualna. Oprócz jednego: wszystko zmieniło się na gorsze. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dwieście lat zmagania: zamachu dokonywanego przez tych, którzy chcą, by polskość została odseparowana od chrześcijaństwa. Od represji rosyjskich, pruskich i austriackich do nazizmu, stalinizmu i współczesnego wojującego ateizmu.



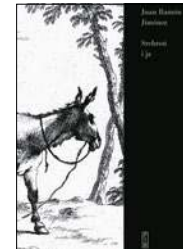
ANDRZEJ NOWAK
„CZAS WALKI Z BOGIEM”
BIAŁY KRUK

Korespondent polskich mediów w Rosji, a potem także dyplomata (konsul generalny w Petersburgu) opowiada o życiu codziennym imperium czasu agresji przeciw Ukrainie i próbuje dotknąć jądra ciemności, przyczyny zła.



GRZEGORZ ŚLUBOWSKI
„PETERSBURG. POKÓJ I WOJNA”
ZONA ZERO

Dzieło hiszpańskiego noblisty (1956) znane w Polsce dotąd jako „Srebrzynek i ja”. W miejsce przekładu Janusza Strasburgera nowe tłumaczenie Floriana Śmieji. Poemat prozą, elegia pełna grozy przebrana za dziełko dla dzieci.



JUAN RAMON JIMENEZ
„SREBROŃ I JA”
PIW

Mistrzynie psychologicznego thrillera i opowieści grozy tym razem przedstawia się czytelnikowi jak autorka krótkich form. Osiem opowiadań autorki „Rebeki” i „Ptaków”, wciąż jednej z najpoczytniejszych pisarek brytyjskich.

recenzuje Piotr Gociek



DAPHNE DU MAURIER
„NIEBIESKIE SOCZEWKI”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: KULA I OPIUM

Komiks przygodowy, którego akcja rozgrywa się na tle wydarzeń tzw. drugiej wojny opiumowej: był czas, gdy Francuzi i Anglicy robili w Chinach, co chcieli, a za motywami politycznymi kryła się po prostu żądza łatwych zysków. Scenarzystą tej opowieści jest belgijski pisarz Alcante (wł. Didier Swysen),



ALCANTE, LF BOLLÉE
„LAOWAI”
LOST IN TIME 2025

znany w Polsce m.in. z komiksu „Bomba” o dziejach Projektu Manhattan.

Piotr Gociek

Rozgrywka o hegemonię w świecie



Adam Wielomski

Donald Trump nie jest żadnym amerykańskim „antysystemowcem”. Reprezentuje część establishmentu, która przyjęła do wiadomości, że Ameryka nie ma już sił na samodzielną hegemonię. Trzeba się posunąć i podzielić wpływami. Lepiej się podzielić z własnej woli i dogadać, niż zostać do tego zmuszonym

Największym mankamentem polskich debat o polityce światowej jest redukcja wszystkiego do etyki, do podziału graczy na „dobre” i „złe”. Zjawisko to wynika z naszego braku myślenia o polityce w kategorii racji stanu. Kategorię tę wykształciły w epoce nowożytnej monarchie absolutne i przy braku takiej tradycji w Polsce nie wykształciło się również myślenie w kategorii interesu państwa jako wartości prymarnej. Ten mankament ujawnił się przy okazji ukraińsko-rosyjskiego konfliktu zbrojnego, który oglądano i oceniano z perspektywy etycznej, przyjmując,

że napadający musi być „zły”, a napadnięty „dobry”. O interesy Polski nie wolno było pytać, rywalizacji międzynarodowej komentować, pod groźbą „onułowatości”. Tymczasem gdy konflikt ten wybuchł, ani Władimir Putin, ani Joe Biden, Emmanuel Macron czy Ursula von der Leyen najprawdopodobniej nawet nie postawili sobie pytania o to, kto jest „dobry”, a kto „zły”, oceniając świat w kategorii interesów i przemian globalnego układu potęg.

KONIEC FUKUYAMY

Po 1989 r. wmówiono nam, używając języka Francisa Fukuyamy, że „historia

się skończyła” i doszło do ostatecznego triumfu demokracji, liberalizmu oraz praw człowieka. To była narracja polityczna wyrażająca interesy ówczesnego hegemonu. Zimną wojnę wygrały Stany Zjednoczone i za pomocą pióra Fukuyamy ogłosiły kończący dzieje triumf własnego światopoglądu. Hegemon narzucał całemu światu swoje wartości jako ogólnoludzkie. Każde z państw, które ich nie przestrzegało, było marginalizowane albo obracane w perzynę przez bombowce. Gospodarka całego świata była na usługach gospodarki amerykańskiej, a wyrazem tego była doktryna o globalnym wolnym rynku.



FOT. ADRIAN STOK

6 proc. PKB Rosji rósł przeciętnie tyle, co w Stanach Zjednoczonych, lecz pamiętać trzeba, że ten okres zaczął się od dramatycznego spadku po rozpadzie ZSRS.

Generalnie pomimo rosnącej gospodarki amerykańskiej jej stopień dominacji nad światem powoli się kurczył. Na czoło pościgu wysunęły się Chiny, które przekształciły ideologię komunistyczną w nacjonalistyczną i dołożyły do niej liberalne reformy ekonomiczne. Zmierzch potęgi amerykańskiej wiąże się także z postępującą stagnacją pozostającą z nim w sojuszu Europy Zachodniej, będącej junior partnerem tego układu. Unia Europejska stała się strefą stagnacji, wysokich deficytów i biurokracji.

Wielu specjalistów uważa PKB za zły miernik potęgi i trudno im odmówić słuszności. Nie chodzi tylko o liczby, lecz także o wynikające z nich realne możliwości. Jakkolwiek gospodarka USA ma największe PKB, to jednak ocenia się, że jeśli chodzi o produkcję realnych rzeczy, to Chiny produkują ok. dwóch razy więcej. Amerykańską ekonomię napędzają usługi, korporacje cyfrowe i przelewanie z pustego w próżne w postaci spekulacji giełdowych. Około jednej trzeciej jej wzrostu wynika z tego, że dolar jest walutą światową i można go drukować w sposób nieograniczony, nie powodując u siebie inflacji. Profity z dolara, giełdy i e-usług nie tworzą trwałych podstaw potęgi.

Sprzymierzona z USA Europa niby jest bogata, ale jej wydatki stałe, głównie na państwo socjalne, przejadają całe budżety. Dlatego większości państw unijnych nie stać na wydawanie na obronę 3 proc. PKB. Stąd plan przestawienia Unii Europejskiej na tory zbrojeniowe, wart 800 mld euro, Ursula von der Leyen planuje pokryć za pomocą kredytów. Europa niby jest bogata, ale nie ma wolnych środków.

O potęgę mocarstw nie decyduje kwota PKB, lecz moc swobodna, czyli realna ilość wolnych środków, które można rzucić tam, gdzie tego wymaga racja stanu. Środki takie posiadają Chiny, co pozwoliło im ogłosić wielki program zbrojeniowy. Paradoksalnie takie środki posiada uboższa Rosja, a pochodzą one z eksportu surowców, które przeznaczane są na armię. Kwoty, którymi dysponuje Moskwa, nominalnie nie są wielkie, lecz żołd rosyjskiego żołnierza zawodo-

wego to 50 proc. jego amerykańskiego odpowiednika, a rosyjski sprzęt jest nawet kilkakrotnie tańszy niż amerykański. Miliard dolarów wydanych na armię w Rosji ma wartość nabywczą dwóch czy trzech miliardów wydanych w USA. Gdy w 2024 r. Stany Zjednoczone wydały na wojsko 968 mld dol., a Rosja 146, to po przeliczeniu tej drugiej kwoty przez siłę nabywczą oblicza się ją na 461 mld dol. Chiny wydały w 2024 r. na obronność 231 mld dol., lecz po analogicznym przeliczeniu to odpowiednik 477 mld dol. Jeśli zsumujemy zbrojeniowe wydatki rosyjskie i chińskie, to mamy 938 do 968 amerykańskich. Nie, nie mamy już hegemonia, mamy równowagę sił.

NAJWIĘKSZA KATASTROFA GEOPOLITYCZNA XXI W.

Często przytaczana jest wypowiedź Władimira Putina z 2025 r., że „rozpad Związku Sowieckiego był największą katastrofą geopolityczną XX w.". Jakkolwiek dopiero dochodzimy do pierwszej ćwiartki wieku XXI, to mam już faworyta na największą katastrofę geopolityczną naszego stulecia. Doszło do niej za prezydentury Joe Bidena, którego administracja równocześnie zmagala się z Chinami i Rosją. Otoczenie Bidena uważało, że z powodu rozmaitych sprzeczności Chiny i Rosja nigdy nie zawrą antyamerykańskiego sojuszu. Założenie było błędne. Po pakcie Ribbentrop-Mołotow żaden odpowiedzialny specjalista od stosunków międzynarodowych już nie powie, że istnieją sojusze z góry niemożliwe! Każdy sojusz jest możliwy, o ile jego strony dojdą do wniosku, że największym wrogiem jest ten trzeci.

Kilka tygodni przed atakiem na Ukrainę Putin gościł w Pekinie u Xi Jinpinga, podpisując liczący kilkanaście stron dokument o strategicznej współpracy. Najprawdopodobniej zawarto w nim tajne konwencje. Części jawnej przyświeca idea nowego układu geopolitycznego świata, gdzie miejsce hegemonii USA zajmie – jak to nazywano kiedyś w europejskiej dyplomacji – tzw. koncert mocarstw. Światem mają się podzielić Chińczycy, Rosjanie i Amerykanie. Zaraz po podpisaniu traktatu armie rosyjskie ruszyły na Ukrainę.

Putin i Xi wiedzieli, że podstawy amerykańskiej hegemonii kurczą się, co w Waszyngtonie ignorowano. Głoszona

Od lat 90. ubiegłego stulecia układ światowych potęg zmienił się w stopniu dość radykalnym, a zmiana ta polega na stopniowym słabnięciu świata transatlantyckiego opartego na liberalnej cywilizacji zachodniej.

Co się stało? Jakkolwiek USA rozwijały się całkiem przyzwoicie, to w tym samym czasie konkurenci rozwijali się szybciej. W stosunkach międzynarodowych nie istnieje stabilna, dana raz na zawsze hegemonia! Gdy USA w latach 1989–2024 rozwijały się średnio w tempie 2,5 proc. PKB rocznie, w Chinach ten wzrost wyniósł 9,2 proc., w Indiach

■ przez Bidena ideologia globalizmu zakładała, że zachodnie banki i korporacje opanują cały świat, a zachodnie wartości staną się ogólnoswiatowe. Miało temu towarzyszyć zwalczanie opornych, na czele z Rosją i Chinami. Pekin chciał przyłączyć Tajwan do macierzy i wyjść na Pacyfik, co blokowali Amerykanie.

Rosja czuła się oszukana. Wszystko wskazuje na to, że przy okazji zjednoczenia Niemiec George Bush zawarł z Michałem Gorbaczowem dżentelmeńską umowę o nierozszerzaniu NATO na wschód o byłe państwa Układu Warszawskiego. Rosjanie formułę tę ujęli w postaci tzw. doktryny Primakowa, wedle której państwa między Niemcami a Rosją mają pozostać neutralne, czyli poza blokami wojskowymi. Potem jednak, wykorzystując wielką smutę w epoce prezydentury niedołęznego Borysa Jelcyna, do NATO wprowadzono nie tylko państwa Europy Wschodniej, lecz także Litwę, Łotwę i Estonię. Rosjanie przełknęli rozszerzenie NATO, ale nie aż tak daleko. Tak zwana doktryna Miedwiediewa za „bliską zagranicę” ujęła państwa byłego ZSRS ze znaczącą mniejszością rosyjską. Punktem spornym stały się zatem Łotwa oraz Estonia, może i Litwa. Następnie mieliśmy nieudane próby zorganizowania „kolorowej rewolucji” na Białorusi, a próbę udaną na Ukrainie w 2014 r. Wtedy Putin pierwszy raz zareagował bezpośrednio, anektując Krym i wspomagając rosyjskich separatystów na Donbasie. Gdy na początku 2022 r. na konferencji w Monachium Wołodymyr Zełenski ogłosił chęć wstąpienia Ukrainy do NATO, aby z pomocą paktu odzyskać Donbas i Krym, Putin uznał to za casus belli.

Dlaczego Putin zaatakował dopiero w roku 2022? Powodów było kilka: po pierwsze – w 2014 r. gospodarka rosyjska była mocno zintegrowana z Zachodem i Moskwa mogłaby nie wytrzymać sankcji, a więc należało znaleźć w Azji alternatywne rynki; po drugie – stosunki Rosji z Chinami były złe i nie należało się z Pekinem spodziewać wsparcia; po trzecie – hegemonia USA nad światem była jeszcze zbyt silna, aby wprost się jej przeciwstawić.

W latach 2014–2022 rosyjscy politycy znaleźli alternatywne rynki zbytu w Azji, doprowadzili do sojuszu z Chinami (dzięki błędowi Bidena); po czwarte – przewaga amerykańska co roku powoli topniała.

Słowem, gdy potęga amerykańska traciła swoje podstawy, jej ekspansja się nie zatrzymywała. To zaś oznaczać mogło wojnę. To częsty w dziejach wypadek, gdy mapy polityczne przestają odzwierciedlać realne możliwości potęg.

PLAN TRUMPA

Donald Trump nie jest żadnym amerykańskim „antysystemowcem”. Reprezentuje część establishmentu, która przyjęła do wiadomości, że podstawy amerykańskiej hegemonii się wyczerpały. Trumpiści złożyli do grobu myśl Fukuyamy i wyciągnęli książki Samuela Huntingtona, który prorokował nie świat zjednoczony i zglobalizowany, lecz podzielony na kilka cywilizacji. Ameryka nie ma już sił na samodzielną hegemonię. Trzeba się posunąć i podzielić wpływy. Lepiej podzielić się z własnej woli i dogadać się, niż zostać do tego zmuszonym.

Trumpiści wyciągnęli książki Samuela Huntingtona, który prorokował nie świat zjednoczony i zglobalizowany, lecz podzielony na kilka cywilizacji

Po objęciu przez Trumpa drugiego raz prezydentury sekretarz stanu Marco Rubio powiedział, że w świecie XXI stulecia będą tylko trzy potęgi: USA, Chiny i Rosja. Wbrew ułudom von der Leyen Amerykanie nie widzą Unii Europejskiej jako „ośrodka geopolitycznego”, jako czwartej potęgi. Nie z tymi deficytami, rozdymnymi wydatkami socjalnymi, biurokracją i ogólną deprawacją.

Świat trzech potęg to niekoniecznie świat trzech równych potęg. Waszyngton chce być tą największą. To zaś jest niemożliwe przy podupadającym europejskim sojuszniku i przy jednoczesnym sojuszu Moskwy i Pekinu, który skutecznie równoważy Waszyngton.

Oś Moskwa-Pekin, przez Bidena uważana za „niemożliwą”, okazała się korzystna dla obydwu stron. Ma ona charakter komplementarny, czyli taki, gdzie każda ze stron wnosi to, czego drugiej brakuje.

Rosji brakuje nowoczesnej elektroniki i ma jej źródło w Chinach. Potrzebuje mieć miejsce, gdzie będzie mogła eksportować swoje węglowodory, i Chiny je kupują (Indie również). Pekin miał dwie słabości. Pierwszą są surowce, gdyż Chiny mają tylko węgiel i metale ziem rzadkich. Ropę naftową sprowadzały z Bliskiego Wschodu (głównie z Iranu), lecz na morzach dominują na razie Amerykanie i w każdej chwili mogą odciąć te dostawy. Rurociągów lądowych z Rosji nie odetną. Druga słabość: z nieznanymi mi powodów przez lata Pekin miał problem z rozwojem broni jądrowej, posiadając tylko 280 głowic. Jak na supermocarstwo to była liczba śmieszna. Putin zgodził się na rosyjskie wsparcie dla chińskiego programu atomowego i jego rozbudowy do 1,5 tys. sztuk. Dziś Pekin ma już takich głowic ok. 600.

Dochodzimy do paradoksu, który tłumaczy nam całą politykę Trumpa wobec Rosji. Wie, że Biden doprowadził do geopolitycznej katastrofy, kreując sojusz Moskwa-Pekin. We wspomnianej wypowiedzi Marco Rubio o trzech potęgach sekretarz stanu zająknął się i stwierdził, że może będą nie tyle trzy, ile dwie i pół: dwie pełnowartościowe (USA i Chiny) i jedna mniejsza (Rosja). Lecz ta mniejsza jest kluczowa. Przypomina to sytuację Europy po klęsce wyprawy na Rosję Napoleona. W efekcie Francja i Rosja ze swoimi aliantami znalazły się w sytuacji równowagi sił. Zwycięstwo zależało od poparcia najsłabszego z mocarstw: Austrii. Za cenę włączenia się Austrii po stronie koalicji Klemens von Metternich, szef dyplomacji austriackiej, uzyskał dla niej status równoprawnego mocarstwa, a konferencję pokojową zorganizował i wyreżyserował w Wiedniu.

Teraz mamy podobną sytuację: chwilowo między Chinami a USA mamy względną równowagę, a militarnie Amerykanie jeszcze dominują. Wszystko zależy od Rosji. Sojusz rosyjsko-chiński równoważy USA, a w Azji i Europie Wschodniej ma przewagę. Gdyby Trump ten sojusz rozluźnił, to Waszyngton uzyskałby przewagę nad Pekinem. To po to, żeby USA uzyskały dla siebie korzyści z podziału udziałów w tym nowym koncercie mocarstw, był rozłożony czerwony dywan na Alasce. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem idei, politologiem, profesorem nauk społecznych, wykładowcą na Wydziale Prawa i Administracji UKSW.

W bębnie rewolweru jest 6 kul. W programie jest 6 gwiazd telewizji Republika, które w 6 rundach komentują najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia w polskiej polityce. To jest „Rewolwer” – nowy format rozmów w Republice!



REWOLWER

SOBOTA
9:10

w Republice

 www.radiotvrepublika.pl

 Telewizja Republika

 @RepublikaTV

 RepublikaTV

 @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multiplexie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multiplex dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multiplexach z Orontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.



SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA

Polska na krawędzi samozagłady



Paweł Chmielewski

Skala depopulacji Polski jest zatrważająca. Prognozy mówią, że nasze wnuki będą żyć w kraju o liczbie ludności takiej jak 400 lat temu w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tymczasem Donald Tusk ma do zaproponowania tylko jedno: zabijać nienarodzonych



FOT. ANDRZEJ STOK

Polska wyszła cało z wielu opresji. Ostatni raz wymazać nasz naród próbowali Niemcy. Nie udało się. Ale cel, który pragnęła osiągnąć III Rzesza, nie jest wcale daleki od realizacji. Polacy sami skazują się na wyginiecie. Co się dzieje? W 2024 r. urodziło się w Polsce 252 tys. dzieci. To najmniej od czasów drugiej wojny światowej. Wskaźnik dzietności wyniósł 1,099, co oznacza, że przeciętna Polka w wieku rozrodczym urodziła niewiele ponad jedno dziecko. Dla zastępowalności pokoleń potrzeba wskaźnika 2,1, czyli dokładnie jednego dziecka na kobietę więcej. Ekspertki wskazują, że w tym roku dzietność jeszcze spadnie. Wkrótce osiągnie poziom 0,9, co zbliży nas do Korei Południowej, od dawna opisywanej jako demograficzny ewenement w skali świata. Z jakichś przyczyn na całej kuli ziemskiej prawie nie ma wspólnot tak niechętnych wielodzietności jak nasza. Prawdopodobnie staniemy się wkrótce

znani z zaskakującego kontrastu: katolicki naród św. Jana Pawła II, a jednak na krawędzi samozagłady demograficznej.

PROGNOZY ZBYT „OPTYMISTYCZNE”

Prognozy na kolejne dziesięciolecia są jednoznaczne, choć i tak zbyt optymistyczne. Z wyliczeń ONZ wynika, że w roku 2100 na naszych ziemiach będzie mieszkać 14 mln ludzi. W rzeczywistości będzie o wiele gorzej, bo ONZ przyjęła wskaźnik dzietności 1,3, czyli zdecydowanie wyższy niż faktyczny. Dodatkowo prognoza zakłada wysoką migrację każdego roku – w „docelowej” grupie Polacy będą stanowić zatem tylko pewną część. Podobnie źle, choć znowu wciąż nierealistycznie „dobrze” sprawy widzi GUS. W wydanym w 2023 r. raporcie przewidywano, że w 2060 r. będzie nad Wisłą mieszkać 32,9 mln ludzi. Problem w tym, że od chwili publikacji raportu urodziło się już 80–100 tys. dzieci mniej,

niż GUS zakładał. W sumie można zatem realistycznie przyjąć, że przy utrzymaniu obecnych trendów demograficznych w roku 2100 będzie w Polsce mieszkać ok. 10 mln ludzi, z czego etniczni Polacy stanowić będą kilka milionów.

Jak to możliwe, że doszliśmy do tak fatalnej dzietności? Standardowe odpowiedzi koncentrują się na problemach ekonomicznych oraz infrastrukturalnych. Pensje są za niskie, mieszkania za drogie i brakuje żłobków. Co to jednak znaczy: „za niskie” albo „za drogie”? Ostatecznie chodzi o rozjazd między oczekiwaniami a rzeczywistością. Problem jest zatem głównie w oczekiwaniach. Polacy chcą żyć w sposób, który jest niekompatybilny z wielodzietnością. Z dzieci w efekcie rezygnują, bo nie chcą rezygnować z wygody. Faktu, że kwestia jest związana z preferowanym stylem życia, a nie z obiektywną rzeczywistością, dowodzi banalne porównanie: niemal każdy inny naród na świecie ma więcej dzieci niż my,

nieważne – biedny czy bogaty. Rodziny są większe w tak ubogich krajach jak Nigeria i Etiopia, w bliskich nam Czechach albo na Węgrzech i wreszcie w znacznie bogatszych – jak Niemcy, Szwajcaria, Finlandia czy USA. Tu nie chodzi o uwarunkowania ekonomiczne, ale o ludzkie decyzje. My, Polacy, mówimy po prostu dzieciom „nie”, bo tak jak Koreańczycy z południa mamy inne priorytety. Spośród kobiet urodzonych w 1958 r. tylko 9 proc. nie miało nigdy dzieci. Dziś dzieci nie ma już co czwarta 40-latką. W większości rodzin jest tylko jedno dziecko – to ponad 40 proc. przypadków. Pozostałe to niemal wyłącznie rodziny z dwojgiem dzieci. Wielodzietne stanowią zaledwie 8,6 proc. wszystkich, przy czym co najmniej czworo dzieci ma zaledwie 2,9 proc. rodzin. Model życia, w którym dorośli ludzie koncentrują się na dzieciach, został w Polsce odrzucony. Jak wynika z przytoczonych wcześniej danych, nieuchronnie doprowadzi to do zaniknięcia narodu.

Problemem dziś jednak nikt się nie zajmuje. Nie toczy się na ten temat żadna debata, a rząd nie przygotowuje żadnych rozwiązań ani kampanii wspierających wielodzietność, choć biologiczne przetrwanie narodu powinno być najważniejszą troską polityków. Co ciekawe, w innych krajach zajmują się tym nawet komuniści. W czerwcu tego roku do pracy wzięty się władze czerwonego Wietnamu. Od lat funkcjonowała tam kultura wroga dzieciom – antykoncepcja była normą, a „nadmiarowe” dzieci zabijano w aborcjach. Dodatkowo rząd prowadził tzw. politykę dwojga dzieci, karząc tych, którzy mieli ich więcej. W efekcie dzietność w Wietnamie spadła do poziomu 1,9. Utrzymuje się na tym poziomie od ok. 20 lat i Komunistyczna Partia Wietnamu uznała, że dalej tak być nie może, bo w dłuższej perspektywie spowoduje to zbyt duże problemy. Postanowiono odejść od dotychczasowej polityki i zachęcać Wietnamczyków do posiadania większej liczby dzieci. Czy to się uda czy nie, pozostaje kwestią otwartą. Kontrast jest jednak dobitny: komunistyczny Wietnam uważa za problem wskaźnik dzietności 1,9, podczas gdy na (post)katolickiej Polsce żadnego wrażenia nie wywołuje

wskaźnik 1,099. Najwyraźniej przywódcy Wietnamu naprawdę chcą, by ich kraj istniał dalej. Polscy nie mają już takich aspiracji.

WIZJA WŁADZ

Rząd Donalda Tuska coś jednak przecież robi. Promuje masową eksterminację dzieci nienarodzonych (aborcja), deprawację młodzieży (LGBT) oraz poczucie wstydu z bycia Polakiem (polityka historyczna). Jedyny pseudodemograficzny program to in vitro, czyli rodzenie dzieci kosztem zamrażania ludzkich zarodków... Dlaczego tak jest? Wydaje się, że chodzi o wizję kulturową obecnej władzy. Od 2023 r. polskość jawi się jako ciężar, którego najlepiej byłoby się po prostu raz na zawsze pozbyć. Kołtuństwo szlachty XVIII w., głupota i zacofanie chłopstwa wieku XIX, antysemityzm robotników oraz części narodowej inteligencji wieku XX... Tyle win, żadnych zalet. Czy nie byłoby lepiej dla świata, gdyby Polaków w ogóle nie było? Ostatecznie i tak chcemy być jak inni – sugeruje obecna władza: jak Niemcy, Amerykanie, Francuzi. To przesłanie oczywiście było obecne w naszym życiu społecznym już o wiele wcześniej, głównie za sprawą największych mediów. Dziś urasta jednak do rangi paradygmatu państwowej polityki. Gdyby było inaczej, ten rząd przynajmniej próbowałby podejść do problemu demograficznej katastrofy. Nie robi jednak nic.

Prawo i Sprawiedliwość, owszem, próbowało, choć prawie niczego nie zdziało. W 2015 r. wprowadzono program „500+”, później „800+”. Dodatkowo pojawił się też program „Ulga dla rodzin 4+”, który pozwalała na wysokie odliczenia podatku dochodowego dla rodzin z co najmniej czworgiem dzieci. Niestety, te pronatalistyczne wysiłki nie zostały w pełni wykorzystane. „Ulga dla rodzin 4+” jest mało znanym programem, a poza tym może zachęcać do urodzenia kolejnych dzieci tylko te rodziny, w których jest już co najmniej troje – to niewielki odsetek, dlatego ten program ma raczej wymiar socjalny. To potrzebne, ale nie realizuje celu prodemograficznego. Podobnie jest przy obecnym kształcie „800+”. Pieniądze są wypłacane na każde dziecko w tej samej wysokości, a od roku 2019 – również na pierwsze dziecko. Rzecz mogłaby mieć większy sens, gdyby

pieniądze trafiały do rodzin dopiero od drugiego dziecka. Rodziny mające jedno dziecko – a takich jest szczególnie dużo – miałyby perspektywę otrzymania 1,6 tys. zł, kiedy zdecydują się na drugie, a to już bardziej konkretna kwota.

Ponadto można byłoby zastosować progresję. Przy każdym kolejnym dziecku wysokość świadczenia mogłaby rosnąć, np. o połowę – tak by zachęcić mających dwoje dzieci do zdecydowania się na trzecie. Nie wiem, czy przyniosłoby to rzeczywistą poprawę, ale trzeba próbować walczyć o demografię, wykorzystując wszystkie narzędzia, które posiadamy.

Najważniejsza jest jednak kultura. Posiadanie dzieci powinno być powodem do społecznej dumy. Kiedyś staropanieństwo i starokawalerstwo uchodziły za dyskredytujące. Z dobrych powodów – człowiek, który nie zawierał małżeństwa i nie wchodził też w stan duchowny, działał na szkodę całego narodu. Dziś bezdzietność stała się modna, co wynika przede wszystkim z całkowitego odrzucenia myślenia w kategoriach wspólnotowych. Tu otwiera się gigantyczne pole dla państwa, które powinno organizować duże kampanie prorodzinne. Priorytety młodych ludzi są dziś fatalnie rozłożone: to głównie własna przyjemność, luz, swoboda życiowa. Należy takie postawy nacechować negatywnie, premiując posiadanie dzieci. Ludzie muszą wiedzieć, że mając dzieci, są dobrymi obywatelami.

Na koniec jeszcze słowo o Kościele katolickim. Potrzebne są pilne działania ze strony duchowieństwa. Dziś na temat wielodzietności nie mówi się w parafiach dosłownie nic. Wyjątkiem są relatywnie niewielkie wspólnoty jak Droga Neokatechumenalna, Kościół Domowy albo środowisko tradycjonalistyczne. W skali kraju to margines. Większość biskupów i księży zdaje się uważać, że „jakoś to będzie” – Bóg kolejny raz uratuje Polaków. Z Bogiem trzeba jednak współpracować, a teraz współpracy nie ma. Kościół w Polsce, choć to konstatacja gorzka, ponosi współodpowiedzialność za utrwalenie kultury bezdzietności. Stąd konieczność apelu do wszystkich kapłanów: jesteście wezwani, by być wsparciem dla rodzin i głosem otrzeźwienia narodowego. Tego nie wolno zaniedbać. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Getto warszawskie (ok. 1941 r.)

FOT. AKG-IMAGES/AGF IMAGES/FORUM

Z Bogdanem Musiałem, historykiem, autorem książki „Walizka Mengelego”, której polski przekład ukazał się w roku 2025 rozmawia Błażej Torański

Prawdziwych ofiar nie interesują gratyfikacje finansowe

BŁAŻEJ TORAŃSKI: Czym jest dla pana prawda? Rzecz jasna, chodzi o prawdę historyczną.

BOGDAN MUSIAŁ: To wydarzenie historyczne, które zostało dogłębnie zbadane, zrekonstruowane i opisane. Bez ideologii, uprzedzeń. Z dystansem. Zachowaniem zimnego spojrzenia. Bez ustalonej z góry tezy. Dowodzenie tezy nie ma niczego wspólnego z prawdą historyczną. W analizie jestem otwarty na każde rozwiązanie. Pochyliam się nad argumentami wszystkich stron. Sprawców i ofiar. Rekonstruuję bieg wydarzeń.

To dokładnie tak samo jak w dziennikarstwie, gdzie naturalne jest połączenie entuzjazmu ze sceptycyzmem. Trzydzieści lat temu, kiedy pracowałem w „Rzeczpospolitej”, minister do spraw kombatan-
tów powiedział mi, że z roku na rok wzrasta w Pol-

sce liczba powstańców śląskich, nie wspominając o warszawskich. Z czego to się bierze? Z uprawnień dla kombatan-
tów? Ulgi na przejazd tramwajem?

Niestety tak. Kombatan-
ci i ofiary repre-
sji mają różne uprawnienia. W zakresie opieki socjalnej, leczenia czy ryczałtu energetycznego. Ale skandalem było, że przez dziesiątki lat Niemcy nie płacili odszkodowań polskim ofiarom obozów koncentracyjnych, poza jednym wyjąt-
kiem: jeśli byli ofiarami eksperymentów medycznych. Wielokrotnie czytałem zeznania bohaterów moich książek. Tuż po wojnie nie wspominali o takich doświad-
czeniach, a z czasem, kiedy można było za to otrzymać niemieckie marki, powoływa-
li się na eksperymenty, których faktycznie nie doświadczali. Musieli oszukiwać, aby wykorzystać tę prawną furtkę, i wzajem-

nie w tych opowieściach się wspierali. To było dosyć częste. Rozpowszechnione w dokumentach. Pomijałem te zezna-
nia, ale nie stawiałem im zarzutów. Nie uważam, aby to było nieetyczne, gdyż należały im się odszkodowania za traumy w obozach koncentracyjnych. Finansowe motywacje są zatem silne.

**Nie ograniczałbym tego wyłącznie do motywacji finansowych. Jest jeszcze rodzaj dumy z przynależ-
ności do środowiska ofiar Holocaustu.**

Owszem, dochodzi do tego potrze-
ba uznania, powszechnego szacunku, zaszczytu zapraszania na spotkania kombatan-
tów, na konferencje naukowe, na rocznice. Udział w swego rodzaju te-
atrum, a nawet misterium. Bycie celebrytą w światłach reflektorów. Są to dla nich

ogromne wartości emocjonalne, żywiące własne ego.

Spotkał pan ofiary Holokaustu, dla których było to ważniejsze od motywacji materialnych?

Dla rzeczywistych ofiar zawsze najważniejsze było przekazanie prawdy o zagładzie. O Holokauście. Złożenie świadectwa. Jak w przypadku Ewy Mozes Kor, ofiary eksperymentów medycznych dr. Josefa Mengelego w Auschwitz, z którą przeprowadziłem kilka wywiadów. Nie interesowały jej gratyfikacje finansowe. W pierwszych relacjach, wspomnieniach czy biografii byłych więźniów prawda o piekle brzmiała niewiarygodnie. Wielu z nich zadawało pytanie: Kto nam uwierzy w to, co przeżyliśmy? I rzeczywiście, trudno było to, co mówili, uwierzyć, zwłaszcza ludziom na Zachodzie, którzy myśleli, że to propaganda okrucieństw. Ale więźniowie konsekwentnie ujawniali prawdę i na tym nie zarabiali. Nie mogli się zatem wzbogacić.

Z czasem opowieści o Holokauście zaczęły przynosić korzyści materialne. Do rzeczywistych więźniów zaczęli dołączać hochsztaplerzy. Prowadzą oni nadal misterną grę prawdy i kłamstwa, aby stanąć w świetle reflektorów? Zainteresować swoją osobą opinię publiczną? Z tego czerpią radość, satysfakcję?

Robią to dla pieniędzy! Równocześnie hochsztaplerzy nie uważają się za zwykłych oszustów, ale za artystów w świecie kłamstwa. Ich misterne opowieści nie są łatwe do zaprezentowania. Wymagają świetnego aktorstwa, pamięci, zimnego, skalkulowanego działania, niewpadania w panikę. Hochsztaplerzy posługują się wykreowanymi przez siebie sztucznymi postaciami, aby zdobyć to, czego – według ich przekonania – im brakuje: podziwu, uznania, powagi, sympatii, miłości, pieniędzy czy sławy. Jak w przypadku Binjamina Wilkomirskiego, który w latach 90. XX w. najpierw przekonywał Szwajcarię i Niemcy, a potem cały świat, że jako dziecko był więźniem dwóch obozów koncentracyjnych. Rozpowszechniał nieprawdopodobne okropieństwa na swój temat. Jeździł po świecie z wykładami. Nagrała go ekipa filmowa podczas pojednania ze swoim „prawdziwym” ojcem ocalałym z Holokaustu. Ten myślał, że rozpoznaje w nim zaginionego syna. Jego relacjom uwierzyli wydawca, agentka literacka, media

i światowa opinia publiczna. Jego historia była wstrząsająca, łzawa, zbyt dobra, aby ją kwestionować. Wszyscy chcieli mu uwierzyć. Wielu, wraz z samym Wilkomirskim, na tym zarabiało. Rozwinęli potężny biznes. Aż wyszło na jaw, że wszystko wysłał z palca.

Natrafił pan na podobną historię. Jak to się stało, że w pierwszym odruchu uwierzył pan w „walizkę Mengelego”, wypełnioną unikatowymi dokumentami więźnia Auschwitz i zdeponowaną w sejfie szwajcarskiego banku?

W walizce miały być dokumenty związane z eksperymentami medycznymi Josefa Mengelego i lekarzami, więźniami Auschwitz. Historię tę usłyszałem od dwóch pań. Jedną z nich była Barbara Riepl, zamożna dziedziczka fortuny i monachijska biznesmenka o rozległych kontaktach w wyższych sferach finansowych, arystokratycznych, polityki, biznesu i kultury. Druga bohaterka mojej opowieści to „profesor Magdalena Nicoletta Kaiser-Szentagothay”, rzekoma wnuczka jednego z tych lekarzy więźniów. W skrócie nazywam ją „hrabiną”. W pierwszym odruchu pomyślałem: brzmi to ciekawie. Barbara Riepl, która przekazała mi materiały, nie miała potrzeby kogokolwiek oszukiwać. Powiedziała, że jest właścicielką tej spuścizny, poprosiła mnie, abym zbadał materiały jako historyk, i zaproponowała wynagrodzenie za moją pracę badawczą. Popełniłem błąd: zaufałem jej.

Miał pan prawo, bo każdy historyk marzy o odkryciach na miarę Heinricha Schliemanna, który odkrył ruiny Troi, czy Jeana-François Champolliona, który odczytał egipskie hieroglify. Miał pan chwilę radości, jakby odkrył skarb Priama?

Dojrzałem taką szansę. Ale pamiętałem też skandal związany z wystawą „Verbrechen der Wehrmacht” („Wojna na wyniszczenie”), zorganizowaną w latach 90. XX w. przez Hamburski Instytut Badań Społecznych. Za wspaniałą uznała ją wielu profesorów historii z Niemiec i innych krajów, a szacuje się, że wystawę tę obejrzało milion osób w 23 niemieckich miastach. Towarzystwo jej imprezy kulturalne i naukowe. Obejrzałem tę wystawę, przeprowadziłem dogłębną kwerendę i udowodniłem, że część zdjęć pokazywała nie zbrodnie niemieckie, a sowieckie z czerwca 1941 r. Obrazy polskich ofiar NKWD z więzień we Lwowie i w Bory-

sowie. Wystawę zamknęto, ale wtedy nabrałem do tych tematów dystansu. Dlatego sceptyczny byłem też wobec „walizki Mengelego”. Zrozumiałem, jak niebezpieczne są bezkrytyczne zaufanie i próba dowodzenia na siłę hipotezy. Podjąłem się jednak tej pracy, bo pomyślałem, że jeśli w tych dokumentach nie ma nic wartościowego, to przynajmniej udokumentuję pracę lekarzy, więźniów Auschwitz. Miałem jednak nadzieję, że z naukowego punktu widzenia okaże się to bombą!

Bohaterka pańskiej książki utkała intrygę wokół „swego dziadka” Salamona Grosz Chorina. Jakie – według tej narracji – miał on mieć związki z Josefem Mengelem, „aniołem śmierci z Auschwitz”?

Według niej dziadek był węgierskim Żydem, wysoko wykwalifikowanym lekarzem, profesorem uniwersytetu, rzekomo deportowanym do Auschwitz i zmuszonym do współpracy z Josefem Mengelem przy różnych eksperymentach medycznych, w tym na bliźniętach. Postać Mengelego nadal elektryzuje cały świat. Wiadomo, że dokumentacja się nie zachowała, że „anioł śmierci” z nią uciekł. Że była ona w walizce, co potwierdzali byli więźniowie i jego koledzy lekarze. Tej dokumentacji od 80 lat szukają naukowcy, pisarze i dziennikarze. Gdyby ona się rzeczywiście odnalazła, byłaby to sensacja na skalę światową. Z tego zdawałem sobie sprawę. Zanim dostałem spreparowane dokumenty, zacząłem badać tło. „Hrabina Kaiser-Szentagothay” sprytnie tkała intrygę, ale zorientowała się, że jestem wyjątkowo sceptyczny.

Aby się uwiarygodnić, uchodziła za szanowaną wirusolog. Przez dziesięciolecia osobistą lekárkę kolejnych papieżów w Watykanie. Także Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Taki budowała sobie wizerunek. Kiedy po raz pierwszy zapaliła się panu czerwona lampka ostrzegawcza? Jaki był pierwszy sygnał dowodzący, że wpadł pan na ślad hochsztaplerki?

Nie ona sama mi się tak przedstawiła, ale tak była prezentowana przez swoich przyjaciół. To jest różnica. Z bezpośrednich rozmów z nią wynikało, że rzeczywiście ma sporą wiedzę o papieżach. Zwłaszcza Janie Pawle II. Zwiększało to jej wiarygodność, ale mnie zdecydowanie bardziej interesowały zawartość i autentyczność dokumentów, które dostałem od multilionerki Barbary Riepl. Dopiero później zainteresowałem się samą „hrabiną”.

Co rusz musiały się panu zapalać lampki ostrzegawcze. W archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu nie było wzmianki o tym, aby Grosz Chorin był więźniem Auschwitz. Jego śladów – bez rezultatu – szukał pan w klinice ginekologicznej w Zurychu, gdzie rzekomo miał pracować. Także w archiwum Uniwersytetu w Heidelbergu. W „swoim” wspomnieniu pisał o wizycie w Auschwitz Adolfa Hitlera w białym mundurze. Takiej wizyty nie było. Hitler nie chodził też w białym mundurze. Czy nie był to przełomowy moment w pańskim śledztwie?

Wręcz przeciwnie. Żaden hochsztapler, oszust nie zapisałby czegoś, co było tak łatwe do zweryfikowania. Musiałby być głupi, nie mieć żadnej wiedzy. Hochsztaplerzy są szczególnie skuteczni, jeśli są w stanie poprzeć swoje imaginacje sfabrykowanymi dokumentami. Można ich zdemaskować jedynie poprzez ujawnienie fałszerstw, jeśli oczywiście ich wartość dowodowa jest niezaprzeczalna. „Hrabina” była niezwykle inteligentna i przebiegła. Zastanawiałem się, skąd we „wspomnieniach” Grosz Chorina wzięła się wizyta Hitlera w białym mundurze. I pochyliłem się nad jego „zwierzeniem”, że brał luminal i miał zwidy... Luminal rzeczywiście zaburza postrzeganie. W jednym z katalogów znalazłem zdjęcie z wizyty w Auschwitz w maju 1944 r. gen. Luftwaffe Ericha Quadego. Był w białym mundurze... Przyglądałem mu się i myślę, jasna cholera, ma wąsik, jest podobny do Hitlera! Chorinowi najwyraźniej się to przywidziało po luminalu. Uważam, że z punktu widzenia „hrabiny” było to genialne. Zrozumiałem wtedy, że każdą nieścisłość, sprzeczność można racjonalnie wyjaśnić.

Co jeszcze było dla pana godne podziwu w zafałszowanej opowieści?

Przewertowała niesamowitą liczbę publikacji! Miała ogromną wiedzę. Splagiatowała setki źródeł. W rzekomych pamiętnikach dziadka opisała wiele rzeczywistych eksperymentów medycznych w Auschwitz. Pisała po węgiersku. Sądziła, że posłużyć się wyłączeniem tłumaczeniem na niemiecki, język dobrze mi znany, w którym publikuję, i nie wyłapie plagiatów.

Nie przewidziała, że rozszyfruje pan nawet średniowieczne pismo węgierskie używane w Transylwanii przez grupę etniczną Szeklerów.

Rzeczywiście, używała także tego pisma. To było genialne z jej strony. Chciała

mnie wprowadzić w pułapkę. Nie potrafiłem tego rozszyfrować. Nie przewidziała, że będę współpracować z ambitnym historykiem, który to pismo odczyta. Nie przystałem na to, aby to ona, „wnuczka Grosz Chorina”, dokumenty tłumaczyła. To tak, jak sędzia chciałby sądzić sprawę własnej matki. Byłby to konflikt etyczny.

Wykonał pan benedyktyńską, pracochłonną i wyjątkowo kosztowną kwerendę. Nie miał pan chwili zwątpienia, aby odpuścić ten temat?

Nie miałem. Zwłaszcza kiedy uzyskałem niezależne finansowanie tego naukowego projektu.

Co pana trzymało w przekonaniu, że warto dokończyć śledztwo?

Chciałem wykonać pracę badawczą historyka na najwyższym światowym poziomie, aby rozpracować wzorcowo te wspomnienia. W gruncie rzeczy ambicja naukowca uratowała mnie przed utratą niezależności, niezbędnej w świecie nauki.

Co bezwzględnie przekonało pana o mistyfikacji?

„Wspomnienia Grosz Chorina”, które miały być zapisane na początku lat 60., dostałem w kilku pakietach. Napisane były po węgiersku ołówkiem na papierze sprzed dziesiętek lat. Nie można było ich negatywnie zweryfikować metodami kryminalistycznymi, co oczywiście zrobiłem. Na jednej z kart zanotowany był – tym samym charakterem pisma – dziewięciocyfrowy numer telefonu, zaczynający się od cyfr 00 48... Urodziłem się w Polsce i wiedziałem, że ani w latach 60., ani w 70. nie było takich numerów telefonu. A Grosz Chorin zmarł rzekomo w roku 1977. Zrozumiałem, że to jest fałszywka. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

Fałszywa „profesor Magdalena Nicoletta Kaiser-Szentagothay” się pomylili?

Zrobiła coś gorszego. Splagiatowała ten numer z innej węgierskiej publikacji, autorstwa Gyuli Motorczego, który napisał, że nie miał pomysłu na tytuł książki. Wymyślił sobie „Zadzwoń do Mengelego” i podał numer telefonu Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau (sic!). Swoje odkrycia trzymałem w tajemnicy.



BOGDAN MUSIAŁ
„WALIZKA
MENGELEGO”
FUNDACJA HISTORIA
I KULTURA
2025

Zdemaskował pan hochsztaplerkę i oszustkę. Odkrył prawdziwą tożsamość Magdolny Beretki, urodzonej w serbskim mieście Becej. Nie miała żadnych powiązań ani z judaizmem, ani z ocalałym z Holocaustu. Kim w istocie była?

Jest Węgierką, córką podrzednego biuralisty państwowego w byłej Jugosławii, żoną urzędnika podatkowego z Saary. Marzyła o błyskotliwej karierze akademickiej, członkostwie w arystokratycznych kręgach, adoracji, bogactwie i władzy.

Temu miała służyć jej mistyfikacja? Był to jej sposób na życie?

Jako hochsztaplerka funkcjonowała przez ponad 30 lat. Fałszowała swoje dyplomy akademickie, pracowała jako lekarz medycyny w firmie farmaceutycznej. Podawała się za profesorkę. Wyłudzała miliony. Na same darowizny na pomoc uchodźcom i głodującym szpitalom w Afryce i na pomoc klasztorom na Węgrzech wyłudziła miliony euro. Nie gardziła też prezentami: biżuterią, zegarkami. Była znana i podziwiana w sferach polityki, biznesu i kultury, zapraszana na Węgry, do Afryki i Tajlandii, ale faknęła sławy światowej. Marzyła o hollywoodzkim filmie na swój temat. „Pamiętnik Grosz Chorina” był gotowym scenariuszem, a Mengele miał być w tej historii jedynie rekwizytem. Chciała mnie w tym celu wykorzystać.

W maju 2018 r. sąd w Monachium skazał Magdolinę Beretkę na cztery lata i sześć miesięcy więzienia. Jeszcze żyje?

Żyje. Wyszła z więzienia. Sześć lat temu opublikowałem w Niemczech książkę „Mengeles Koffer”. Dla mnie ta sprawa jest zamknięta.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Bogdan Musiał – historyk, doktor habilitowany nauk humanistycznych, w latach 2010–2015 profesor na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, w latach 2021–2022 dyrektor Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karłowicza.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Czerwone kombatańce

Wraz z nastaniem nowej władzy przysły nadzieje na jakąkolwiek normalizację w zakresie kultywowania bohaterów i dokonywania normalnych upamiętnień. Aleja Armii Ludowej w Warszawie ma się bardzo dobrze. Honorowanie GL-AL, formacji w istocie sowieckiej, jest całkowicie jawne. Koalicja polityczna, w której skład wchodzi formacje postpezetpeerowskie, kosztuje – również wizerunkowo. Dlatego trzeba stale przypominać „zasługi” konspiracji komunistycznej z lat 1942–1945. Dlaczego od 1942 r.? Bo wcześniej komuniści byli w ścisłym sojuszu z niemieckimi nazistami, o czym zapominamy.

Co wiemy i skąd wiemy o komunistach w podziemiu? Przede wszystkim z ich dokumentów własnych, które po sobie zostawili. Myśląc, że władzę w 1945 r. zdobyli „na wsiedła” (na zawsze), nie mieli potrzeby ich selekcji i niszczenia, nawet tych najbardziej kompromitujących. Główna ich część została opracowana i wydana drukiem w obszer-nych wyborach już w latach 90. ubiegłego wieku. W środowisku sprzyjających komunie historyków i propagandystów są one całkowicie pomijane milczeniem. Dla nich prawdziwa przeszłość po prostu nie istnieje.

Jest jeszcze jedno źródło wiedzy o nich, rzadko dziś wykorzystywane. To są relacje, pamiętniki i wspomnienia

uczestników spisane w latach powojennych, do 1989 r. W olbrzymiej większości nie były wydawane drukiem w PRL. Dlaczego? Aby nie kompromitować swoich „bohaterów”. Sięgnijmy zatem do nich. Oto typowe wspomnienia „Gwardzisty ludowego”, Stanisława Łyski, który przełał na papier swe buńczuczne opowieści. Wchodził on w skład bandy pospolitego rzezimieszka, Bolesława Drabika ps. Bolek Bimberek.

Historia o tysiącach rze-żomko wysadzonych mostów „niemieckich” w jego opowieści wygląda następująco: zaatakowany został strategiczny most, czyli... drewniana kładka, przez którą chłopci przepędzali bydło. Chłopi wprawdzie bronili ważnej dla nich przeprawy, ale ideologiczni bandyci byli uzbrojeni i starcie z nimi wygrali. Bardzo ważną dywersją było wysadzanie torów kolejowych – dokonywał tego „Bimberek” za pomocą... bomb lotniczych. Potrafił wysadzać „pociągi wojskowe” wielokrotnie w tym samym czasie i w tym samym miejscu! Ale to nic – miało to miejsce tam, gdzie do dziś nie ma torów kolejowych, bo to tereny bagienne.

Liczne były pospolite morderstwa na tle rabunkowym. Mleczarza „utopiliśmy w kadzi mleka, co z przyjemnością uczyniliśmy”. Po tzw. wyzwoleniu „Bimberek” zmienił nazwisko (na Klonowiecki) i kontynuował karierę jako oficer śledczy Informacji Wojskowej w Gdyni. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Maćka Borkowica

Zjednoczone państwo Władysława Łokietka powstało z trzech różnych dzielnic, a w każdej z nich obowiązywały inne przepisy prawne oraz odmienne obyczaje. Przed Kazimierzem Wielkim, który objął tron po ojcu, stało zadanie scalenia kraju, tak by połączyć państwo w jeden organizm. Stopniowo ograniczono uprawnienia dawnych urzędów dzielnicowych, przekształcając je w tytuły honorowe. Pozostałości tego procesu były widoczne jeszcze po wiekach i dlatego w czasach Polski szlacheckiej było tylu podkomorzych, cześników czy stolników. Tytuły pochodziły z czasów rozbicia dzielnicowego i za panowania Kazimierza Wielkiego powoli wychodziły z użycia, chociaż jeszcze przez długie stulecia stanowiły przedmiot pożądania szlachty.

Król kategorycznie przestrzegał egzekwowania podatków i innych opłat na rzecz Skarbu Państwa. Władca i jego doradcy doskonale wiedzieli, że dla sprawnych rządów potrzebne są ogromne pieniądze, i zrobili wszystko, by ten cel osiągnąć. W tym czasie Kazimierz znacznie rozwinął górnictwo soli w Wieliczce i Bochni, które dostarczało koronie jedną czwartą dochodów.

Kazimierz wyjątkowo pilnował swoich kopalń. Pojawienie się tam nieupoważnionej osoby było zakazane pod karą śmierci! Ale skoro od tego zależała

przyszłość państwa, to można zrozumieć surowe przepisy.

To właśnie w tych latach powstał sprawny system podatkowy. Czasami nawet zmniejszano obciążenia, ale w zamian nakazywano dokonywania opłat w pieniądzu, co było korzystniejsze dla kraju. Było to jednak zbyt mało i Kazimierz wielokrotnie ogłaszał wprowadzanie specjalnych opłat na określone cele.

Nie wszystkim odpo-wiadały dodatkowe podatki, a do tego jeszcze przekazywanie władzy w ręce zaufanych ludzi króla. 2 września 1352 r. w Wielkopolsce zawiązano konfederację rycerstwa, której członkowie protestowali przeciwko nowym porządkom. Na czele sprzysiężenia stanęli najwyżsi dostojnicy dzielnic z wojewodą Maćkiem Borkowicem. Kazimierz jednak nie zamierzał tolerować żadnej opozycji. Większość członków sprzysiężenia musiała poddać się królowi i zachować swoje stanowiska. Natomiast Borkowicz zdecydował się na otwarty bunt i rozpoczął walkę z władcą. W 1360 r. został schwytany i skazany na karę śmierci, a egzekucja odbyła się na zamku w Olsztynie koło Częstochowy. Władca wybrał dla możnowładcy śmierć głodową, co miało stać się odstraszcającym przykładem. Cel osiągnął, dalszych chętnych do buntu już nie było... ©©



Dwoje Żydów przechodzi przez zasieki z drutów kolczastych w getcie warszawskim FOT. NAC

Maski oprawców na twarzach ofiar

W 1980 r. w USA ukazał się komiks Arta Spiegelmana „Maus: A Survivor's Tale” („Mysz. Opowieść ocalałego”). To opis losów ojca autora, Władysława Spiegelmana, który przeżył Holokaust w okupowanej Polsce. Postacie w komiksie mają maski: Niemcy to koty, Żydzi to myszy, a Polakom przyklejono maski świń. Ten zabieg dotyczy także tych, którzy ratowali Spiegelmana. Komiks stał się światowym bestsellerem, a w 1992 r.



Piotr Gontarczyk

Można napisać solidną rozprawę naukową na temat metod, jakimi „nowa polska szkoła badań Holokaustu” próbuje minimalizować i dezawuować pomoc udzielaną przez Polaków mordowanym przez Niemców Żydom. Działania te są tylko częścią większego zjawiska: próby przesunięcia Polaków z kategorii ofiar drugiej wojny światowej do grona współuczestników Holokaustu

dostał Nagrodę Pulitzera mimo głosów, że fałszuje historię Holokaustu i powiela antypolskie stereotypy.

Można powiedzieć, że śladami Spiegelmana podąża dziś „nowa polska szkoła badań Holokaustu” z Polskiej Akademii Nauk z Barbarą Engelking na czele, która wyraźnie jest mniej zainteresowana historią, a bardziej właśnie przyklejaniem masek. Stąd chyba przypadki rozstrzygania wszelkich wątpliwości dotyczących postaw Polaków na ich niekorzyść, a także

przykłady, kiedy ratujący Żydów są opisani jako chciwcy, a nawet denuncjatorzy. Podając garść przykładów historykom, wskazuję odsyłacze do źródeł. Wszystko można zweryfikować.

POMAGALI CZY DONOSILI?

Halina Raps-Aszkenaze wyskoczyła z dwoma koleżankami z transportu do Trebłinki. Kobiety usiadły na brzegu lasu i nie wiedziały, co robić. Barbara Engelking napisała, że jakiś chłop, który rozpoznał w nich wyczerpane żydowskie uciekinierki, „przyniósł im chleb i dwie butelki kawy w zamian za ostatni sweterek, jaki miała na sobie” („Zarys krajoznawstwa”, s. 280–281). Scena jasna: Polak nie tyle pomógł Żydówkom, ile skorzystał z okazji, żeby się wzbogacić: za chleb i kawę jedną z uciekinierek odarł z ostatniego odzienia. Ale sama Raps-Aszkenaze te wydarzenia opisała inaczej: „Chłop zbliżył się do nas. Poznał nas [tzn. rozpoznał jako Żydówki – przyp. P.G.]. Usiadł koło nas, pytając o nasze przeżycia. Widocznie wzruszył się bardzo naszym opowiadaniem, gdyż zaproponował pomoc. Czynił on bardzo dobre i porządne wrażenie. Instynkt mówił nam, że nas nie oszuka. Pierwsza nasza prośba było, by nam przyniósł coś do jedzenia, gdyż od kilku dni nie miałyśmy niczego w ustach. Zaproponowałyśmy mu zapłatę. Gdy odszedł, czekałyśmy w niepewności i trwodze. Ale wkrótce powrócił, przynosząc ze sobą dwie butle kawy i bochenek świeżutkiego chleba. Gdy posiliłyśmy się, zdjęłam z siebie sweterek, jedyny, jaki mi pozostał, ofiarując go dla jego żony, gdyż pieniędzy nie chciał on przyjąć” (Archiwum Yad Vashem, O.3/442).

Chłop pomógł chyba bezinteresownie, nie chciał pieniędzy. To uciekinierka dała mu

sweter, chcąc się odwdziżyć. Ale Barbara Engelking, powołując się na relację wdzięcznej za pomoc uciekinierki, opisała chłopca jako okradającego ją z ubrania, tuczącego się na żydowskim nieszczęściu polskiego złodzieja.

BIZNES NA ŻYDOWSKIM NIESZCZĘŚCIU

Szczególna rola w preparationie „spiegelmanowego” obrazu Polaków przypada Dariuszowi Libionce. To wybitny źródłoznawca, autor cennych książek naukowych. Ale przystał do tej „szkoły” i artykułem w książce „Dalej jest noc” widowiskowo rozprawił się ze swoimi wcześniejszymi dokonaniami. Był on np. w redakcji „Księgi Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Ratujący Żydów podczas Holokaustu”, w której pozytywnie ze szczególnymi opisami jest rodzina

ludzkie życie jest święte i ich obowiązkiem jest nas uratować” (AYV, M.31/3965). Borys Ickowicz mocniej podkreślił bezinteresowność i heroizm ratujących: „Zagrożenie dla niego [Macieja Koniecznego – przyp. P.G.] i jego rodziny było realne. Gdyby nas znaleziono, zostaliby zabici i trafili z nami do tego samego dołu”.

W książce W „Dalej jest noc” o rodzinie Koniecznych w artykule Libionki można tylko przeczytać: „Bunkier był niewielki – 2,5 x 1,5 m – i duszny. [Żydzi – przyp. P.G.] siedzieli w siedem osób, a jedzenie otrzymywali raz dziennie. Borys Ickowicz, który też tam się ukrywał, wspomina o zapłacie w pieniądzech i wartościowych rzeczach. Konieczny miał spore gospodarstwo i był samowystarczalny. Gdy pieniądze się skończyły, uzgodniono, że zwrot koszt-

„Nowa polska szkoła badań Holokaustu” z Polskiej Akademii Nauk z Barbarą Engelking na czele jest wyraźnie mniej zainteresowana historią, a bardziej przyklejaniem masek

Koniecznych ze wsi Dzierżanica, która ratowała kilku Żydów. W archiwum Yad Vashem są relacje na ten temat, bo Koniecznym nadano medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Symcha Olmer napisał: „Kiedy nasze pieniądze się skończyły, Pan Konieczny zaakceptował moją obietnicę zwrotu kosztów wyżywienia po zakończeniu wojny. On nigdy nie akceptował żadnych pieniędzy z wyjątkiem kosztów i wiedziałem, że nas nie ratuje z powodów finansowych. Pan i Pani Konieczna byli religijni i liberalni i ratowali nas z powodów humanitarnych [...]”. Państwo Konieczni wyjaśnili swoim dzieciom, że

tów nastąpi po wojnie” (t. II, s. 129). Zniknęła informacja, że chodziło tylko o zwrot kosztów jedzenia, nie ma nic o szlachetności, ofiarności i ryzyku, które ponosili Konieczni. Nie ma tak naprawdę nic ważnego z tego, co o Koniecznych napisali uratowani przez nich Żydzi. Zostały tylko złe warunki, jeden posiłek dziennie, pieniądze i obietnica pieniędzy po wojnie. Ot, tacy mali chciwi ludzie, którzy tuczyli się na żydowskim nieszczęściu, domagając się pieniędzy w czasie wojny i jeszcze po wojnie.

W podobny sposób w artykule Libionki wypaczono historię pomocy udzielonej kilku

Żydom przez Jana Makolę ze wsi Sudółek koło Raławki czy działania rodziny Stanisława Matuszczyka, przechowującej braci Federmanów. Kiedy takie zniekształcenia obrazu szlachetnych i zasłużonych ludzi wytknął Libionce w naukowej recenzji Tomasz Domański, krytykowany odpowiedział wywodami nie na temat i kpinami.

NIWINNI TEŻ SĄ WINNI

Opis innego fragmentu tekstu Dariusza Libionki warto zacząć od cytatu: „Przypadek denuncjacji zdarzył się wiosną 1943 r. w Woli Więclawskiej. Doniesienie na schowanego w stodole Joachima Dydka złożył ukrywający go Andrzej Krawczyk, który chciał się pozbyć swego przedwojennego znajomego po zagarnięciu jego własności. Po alarmie wszczętym przez sołtysa stało się siedmiu członków nocnej straży dowodzonej przez Stanisława Głaza, którzy szybko doprowadzili ofiarę do sołtysa (t. II, s. 159 tu oddało źródło: „AN Kr 2043/K 245/50, Akta w sprawie karnej Andrzeja Krawczyka, t. 1–2”). Takie przypisy (brak nazw dokumentów, numerów i kart, gdzie się one znajdują) to raczej typowy zabieg tej „szkoły” utrudniający wykrycie nadużyć: nikt nie będzie przecież wertował tysięcy stron akt sądowych, żeby weryfikować tak konstruowane, kilkudzaniowe informacje.

Po lekturze wskazanych akt można stwierdzić, że Dariusz Libionka skorzystał z pierwszego wyroku w tej sprawie. Sąd uznał wtedy Krawczyka za winnego doniesienia i skazał go na karę śmierci. Ale całość akt pokazuje, że ta historia wyglądała nieco inaczej. Krawczyk wracał nocą do domu i zauważył, że ktoś w stodole pali światło, więc wezwał

sołtysa i straż, myśląc, że to złodzieje. Był zaskoczony, gdy znaleziono Joachima Dydka, gdyż ten nie pojawiał się w gospodarstwie Krawczyka od jakiegoś czasu, a wcześniej był w nocy przechowywany w domu. Niestety, strażnicy zabrali nieszczęśnika z jego obejścia, wkrótce został on okrutnie zamordowany. Ale Krawczyk ostatecznie został uwolniony od zarzutów przez sąd ponownie rozpatrujący sprawę: „Oskarżony, udając [się] do sołtysa, a następnie do wartowników, wyraźnie oświadczył im, że w jego stodole jest »ktoś«, i żaden ze świadków ani ze współoskarżonych nie stwierdził tego, by oskarżony Andrzej Krawczyk powiedział, że w jego stodole jest żyd, ani też w tym kierunku nie nasunęło mu się przypuszczenie, a tak sołtys, jak również wartownicy obawiali się iść do zabudowań Krawczyka, gdyż byli przekonani, że w stodole są bandyci, a wynika to z faktu, że sołtys zarządził alarm we wsi i gdy dopiero zgromadziło się około 30 chłopów, udali się do zabudowań Krawczyka. I tu tak oskarżony Krawczyk, jak też i inni obawiali się otwierać drzwi od stodoły, a uczynił to dopiero sołtys, w następstwie czego dopiero przekonano się, że to Dydek, i ujęto go” (AN Kraków, 29/439/1525). Dowody wskazują, że Krawczyk ratował wcześniej Dydka, ale wezwał straż nocną i sołtysa wskutek fatalnego nieporozumienia. Dariusz Libionka przeczytał te akta i napisał zacytowane na początku: „Krawczyk [...] chciał się pozbyć swego przedwojennego znajomego po zagarnięciu jego własności”. Dydek żadnej „własności do zagarnięcia” nie miał.

To trochę tak – toutes proportions gardées – jak by sprawę słynnego procesu

Alfreda Dreyfussa z XIX w. oprzeć wyłącznie na wyroku sądu pierwszej instancji i udać, że ta sprawa nie miała dalszego ciągu. A gdzie pytania i wątpliwości? To był Dreyfus agentem zdrajcą czy nie? Takie są publikacje tej szkoły. Treść wykorzystywanych akt nie ma znaczenia. Grunt, żeby dało się przykleić świńską maskę.

RATUJĄCA CZY DENUNCJANTKA?

Przed wojną w Nowym Wiśniczu mieszkała rodzina Fragnerów. Senior rodu, Izajasz, był członkiem miejscowej elity i honorowym obywatelem miasta. Jego syn, Zygmunt, w 1939 r. (tak jak jego brat) poszedł na wojnę jako polski oficer i przeżył wojnę w oflagu. Kiedy zaczęło się morderstwo Żydów, dziewczyna Zygmunta, nauczycielka i chrześcijanka Olga Kupiec, zabrała niedoświeżonych teściów i ich kuzynkę Marię Wieselman do kryjówki przygotowanej na wsi. Ale niedługo wszędzie pojawiły się niemieckie plakaty grożące śmiercią za pomoc Żydom, więc chłop ich wyrzucił. Kiedy próbowali wrócić do Wiśnicza, zostali zamordowani po drodze, prawdopodobnie przez niemieckich żandarmerów.

W 1948 r. Kupiec została oskarżona o zadenuncjowanie Fragnerów i przejęcie ich majątku. Śledztwo jednoznacznie podważyło zarzuty. Typowe jest tu zeznanie Władysława Mikulskiego, którego Kupiec poprosiła o wywiezienie bliskich do zorganizowanej kryjówki: „Wprost nieprawdopodobne zdaje mi się, by podejrzana Olga Kupiec zdradziła niemieckiej policji miejsce ukrycia się Fragnerów, gdyż z tego, co zauważyłem, była ona jak najserdeczniej

Przerabianie Polaków ratujących Żydów na chciwców, denuncjatorów lub wręcz zbrodniarzy jest w „nowej polskiej szkole Holocaustu” szablonem, do którego różni autorzy wnoszą indywidualne pomysły

ustosunkowana do Fragnerów. Dowodem tego jest to, że gdy wywoziłem Fragnerów z Wiśnicza, Kupiec z płaczem wyprowadziła ich za Wiśnicz” (AIPN Kr, 502/3569).

Taka historia: niedosłże mieszane małżeństwo, dwóch synów – oficerów WP, lojalność w strasznych czasach, ratowanie, łyż pożegnania. Przeciwno Kupiec świadczył tylko fałszywy donos jednej kobiety, która mściła się z oczywistych względów: zazdrość o mężczyznę.

Te same akta przeczytała Dagmara Swałtek-Niewińska z „nowej polskiej szkoły badań Holocaustu” i zrelacjonowała je w książce „Dalej jest noc” tak: „Nie wiadomo, kto doniósł żandarmerii o ukrywających się Fragnerach [nikt – przyp. P.G.]. Po wojnie Prokuratura Sądu Okręgowego rozpoczęła dochodzenie w tej sprawie, a główną podejrzaną była Olga Kupiec, niedosłża synowa zabitego Izajasz [Fragnera], która po wysiedleniu Żydów zajęła mieszkanie i resztki dobytku Fragnerów. Sprawa została jednak umorzona, gdyż zebrane zeznania nie wykazały winy podejrzanej” (t. II, s. 572). Ani słowa o ratowaniu i tak naprawdę nic o prawdziwej treści sprawy Olgi Kupiec. Osobę, która ratowała bliskich, przedstawiono jako potencjalną donosicielkę, która „zajęła mieszkanie i resztki dobytku Fragnerów”. Ale prokuraturze nie udało się niestety „wykazać winy podejrzanej”. A to

przecież były ciekawe akta do opisu stosunków polsko-żydowskich przed wojną i w czasie Holocaustu. Ich rzetelne zrelacjonowanie znowu przegrało z chęcią przyklepienia tej Polce świńskiej maski.

„KTO LEPIEJ ZAPŁACI”

Przerabianie Polaków ratujących Żydów na chciwców, denuncjatorów lub wręcz zbrodniarzy jest w „nowej polskiej szkole Holocaustu” szablonem, do którego różni autorzy wnoszą indywidualne pomysły. Do nich należy Tomasz Frydel, który w książce „Dalej jest noc” o Polakach napisał: „Ekonomię ratowania kształtował również konkurencyjny system nagród pieniężnych i materialnych, jakie oferowali Niemcy w zamian za denuncjację lub schwytanie Żydów” (t. II, s. 432). Czyli to, czy Polacy ratowali Żydów czy ich denuncjowali i mordowali z grubsza, zależało od tego, kto lepiej płaci. A dowody? „Chaja Rosenblatt z mężem, spędzając noc w domu ubogiej kobiety, która wpuściła ich w zamian za sówitą opłatę, zastanawiała się nad kontrofertą Niemców: [dalej cytaty z bohaterki] »Wieśniaczka mogła nas wydać Niemcom, denuncjacja była płatna 500 zł za każdego Żyda«” (t. 2, s. 432).

Chaja Rosenblatt miała takie obawy. Ale zaraz dodała w relacji, że były bezzasadne: „Rano wieśniaczka weszła do stajni i zaczęła nam opowiadać, że ona dobrze zna moją matkę [...], ukryła nas w rupieciarni. Ona wyraziła swoje politowa-

nie, żałując, że źle wyglądam” (A ŻIH, 302/318). A więc to, co zacytowano w tekście Frydla, dotyczyło obaw Rosenblatt i w ogóle w tym wypadku nie dotyczy postawy spotkanych przez nią Polaków.

Na potwierdzenie swoich tez o istnieniu systemu „kto da więcej” Frydel podaje inny przykład dotyczący Stefani Job: „Berl Sturm, zbiegły z córką z getta dębickiego, napotkał 17-letnią Stęfanię Job w Łękach Dolnych i obiecał jej »rekompensatę« za ich ukrycie. »Przez parę miesięcy płaciłem jej pieniądze« – napisał po wojnie Sturm. »Gdy zabrakło gotówki, Stefania Job wcale nie zrezygnowała z dalszej opieki« – dodał [...]. Częściej jednak gdy kończyły się pieniądze, umowę opartą wyłącznie na płatnej pomocy »rozwiązywano«. Gospodarz wyrzucał wówczas Żydów, zawiadamiał policję bądź – rzadziej – sam ich mordował” (t. 2, s. 432). Ten zawiły wykład mówi tak: Polacy ratowali Żydów dla pieniędzy, ale potem denuncjowali lub mordowali ich, kiedy skończyły się pieniądze. Ot, taki dowód naukowy: potwierdzanie istnienia zjawiska wydawania lub mordowania Żydów po tym, kiedy skończyły się im pieniądze, na podstawie przykładu, który (postawa rodziny Job) miał dokładnie odwrotny przebieg. Co więcej, przywołany Berl Sturm opisał swoje losy inaczej: „Na drodze prowadzącej do Tarnowa spotkałem 17-letnią dziewczynę, Stęfanię Job pochodzącą z Łęki Dolnej. Nie znałem jej wcale ani ona nas nie знаła. Widząc nasze tragiczne położenie (córka ze zmęczenia kulą na nogę), zlitowała się nad nami i po wysłuchaniu naszej historii obiecała nam pomoc. Wraz z nią wyruszyliśmy w kierunku jej domu, gdzie miała nas

ukryć. Po drodze obiecałem jej rekompensatę za to, co dla nas uczyni. Wieczorem o siódmej byliśmy u celu w Łęce Dolnej. Stefania Job ukryła nas na strychu oddalonym od ich zabudowań o jakieś 50 metrów” (AŻIH, 301/4596).

To inna kolejność kluczowych faktów: Polska najpierw zaoferowała pomoc, potem usłyszała ofertę zapłaty. Jak w ogóle ten przypadek można kojarzyć z teoriami, że o zachowaniu Polaków miało decydować „kto da więcej” czy mordujący Żydów Niemcy czy Żydzi? Historia nie ma tu znaczenia, liczy się tylko okazja do machinacji, której celem jest jedno: przyklejona maska.

PRAWDA BEZ ZNACZENIA

Można napisać solidną rozprawę naukową na temat metod, jakimi „nowa polska szkoła badań Holocaustu” próbuje minimalizować i dezawuować pomoc udzielaną przez Polaków mordowanym przez Niemców Żydom. Wykład rozpocząłby opis katalogu różnych zabiegów werbalnych, a kończyłby pewnie opis przypadków bezceremonialnego fabrykowania źródeł za pomocą „nożyczek”. Zresztą działania te są tylko częścią większego zjawiska: próby przesunięcia Polaków z kategorii ofiar drugiej wojny światowej do grona współuczestników Holocaustu. Tu mniej ważni są nawet ci, którzy dostali medal Yad Vashem za ratowanie Żydów, jak Konieczni czy rodzina Job. A także dziesiątki innych, których w publikacjach tej „szkoły” w najlepszym wypadku wycinano, ale czasem dezawuowano lub próbowano ośmieszyć. No dobrze. Ale czy akurat ratujący Żydów na takie kłamstwa i manipulacje zasłużyli? © Wszelkie prawa zastrzeżone

Historie, które zmieniły świat



Odkryj je na nowo!

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje nam się



Z Declanem Ganleyem, irlandzkim przedsiębiorcą, prezesem firmy technologicznej Rivada Networks i konserwatywnym aktywistą politycznym
rozmawia Jacek Przybylski

Musimy powstrzymać samobójstwo Europy



FOT. RIVADA NETWORKS

JACEK PRZYBYLSKI: Pańskie działania przed kilkunastu laty doprowadziły do odrzucenia traktatu lizbońskiego. W sierpniu był pan ważnym gościem warszawskiej edycji konferencji MEGA. Czy to znaczy, że wciąż pan wierzy, że można uczynić Europę znowu wielką?

DECLAN GANLEY: Po pierwsze, nie postrzegam siebie jako ważnego członka społeczności MEGA. Całe moje dorosłe życie byłem jednak wierny europejskim wartościom. Pamiętam, jak ogłoszono wiadomość o wyborze na papieża Jana Pawła II, a także dobrze znam jego słowa. Pamiętam też, jak mój ojciec, ciężko pracujący, prosty irlandzki robotnik, mówił: zacznę słuchać tego, co mają do powiedzenia Sowietci, jak zburzą mur berliński. Gdy wraz z mamą odmawialiśmy Różaniec, jedną dziesiątkę poświęcaliśmy zawsze nawróceniu Rosji, bo właśnie o to prosiła przecież Matka Boża w Fatimie. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie sprawa morderstwa ks. Jerzego Popiełuszki, a także informacje o strajkach Solidarności. Gdy zaś w styczniu 1988 r. pojechałem do Moskwy, aby na własne oczy zobaczyć, jak naprawdę wygląda Rosja, o której nawrócenie tak zażarcie modliłem się całe dzieciństwo, to błyskawicznie odniosłem wrażenie, że cały ten kraj to jedna wielka wioska potiomkinowska.

Gdy więc pierwszy raz poszedłem na Kreml, poprosiłem jakiegoś starszego przechodnia o to, aby zrobił mi zdjęcie z powiewającą jeszcze wówczas na maszcie flagą z wizerunkiem sierpa i młota. Gdy zapytał mnie: „A po co ci to?”, odpowiedziałem krótko: „Bo niedługo tej flagi już tu nie będzie”. – Młody człowieku, ta flaga będzie tu wisieć jeszcze długo po twojej śmierci – usłyszałem wówczas. A kilka miesięcy później doszło do upadku Związku Sowieckiego. Oczywiście w dużej mierze ta mentalność wciąż jest w Rosji obecna, ale przynajmniej nie ma już Związku Sowieckiego, a komuniści w takich krajach jak Polska, Litwa, Łotwa, Estonia zostali ostatecznie pokonani.

Jeśli więc mnie pan pyta o Europę, o której marzę, to jest to taka Europa, o którą walczyli ludzie pokroju Jana Pawła II. Gdy przeczyta się książki autorstwa takich postaci jak papież Jan Paweł II, Benedykt XVI, włoski senator i filozof Marcello Pera czy Oriana Fallaci, a następnie wróci się do prac Schumana, de Gasperiego czy Adenauera, to wyłania

się z nich obraz Europy, który przemawia zarówno do mojego serca, jak i do rozumu.

Ma pan jednak opinię aktywisty „antyeuropejskiego”...

Nie jestem wcale antyeuropejski. Absolutnie nie chcę też upadku Unii Europejskiej. Przeciwnie: bardzo chciałbym, aby odniosła ona wielki sukces. Długo byłem wielkim entuzjastą europejskiego projektu, wierzyłem w jego misję i widziałem w nim jasny cel. Jednak gdy czytałem szczegóły traktatu lizbońskiego, wiedziałem, że muszę ostro zaprotestować, bo to krok w złym kierunku. Wielu Polaków już wówczas to rozumiało. Gdy zaś w sierpniu tego roku brałem udział w inauguracji prezydenta Karola Nawrockiego, jeden z polityków PiS przyznał mi się, że kilkanaście lat temu uważał, że zbyt krytycznie oceniam Unię Europejską, a teraz powiedział mi wprost: „Okazałeś się prorokiem”. Prawda jest zaś taka, że potrafiłem po prostu krytycznie spojrzeć na coś, na czym mi bardzo zależy. To właśnie z tego powodu już kilkanaście lat temu ostrzegałem, że bez właściwych reform czeka nas wywołana lewicową polityką zapaść gospodarczą, wiele różnego rodzaju problemów społecznych, a w konsekwencji, że zacznie nam grozić wojna. Na długo przed brexitem ostrzegałem też, że poszczególne kraje zaczną opuszczać Unię Europejską...

Nazwał pan nawet traktat lizboński „prawniczą wersją potwora Frankenstein’a”. Nie sądzi pan, że Unia Europejska stała się jeszcze gorsza, niż pan przewidywał?

Nie. Bo przewidziałem, że będzie dokładnie taka, choć naprawdę wolałbym się mylić. Nie mogę patrzeć, jak bardzo Europa jest już wycieńczona, słaba i żałosna. Nadal nie jestem jednak antyeuropejski. Oczywiście jasno mówię, że Unia Europejska zboczyła z właściwego kursu, ale nadal wierzę, że Unię da się jeszcze skierować na właściwe tory. Będzie to znacznie trudniejsze i bardziej bolesne niż w roku 2009, ale jest to nadal do zrobienia. Potrzebujemy triazu, dzięki któremu zoptymalizujemy nasze działania i nie tylko uratujemy Unię, lecz także uczynimy Europę znowu wielką. Jednocześnie zgadzam się z włoską premier Giorgią Meloni, że stolicą Unii Europejskiej powinien być Rzym, a nie Bruksela.

W trakcie międzynarodowej konferencji „The Tocqueville Conversations 2025” przekonywał pan, że przy odpowiednich rozwiązaniach w Europie związanych z pozbyciem się nadmiaru regulacji moglibyśmy sprawnie stworzyć europejskiego TikToka, Facebooka czy Google. Czy to naprawdę realne w czasach, gdy nabiera tempa globalna rywalizacja między USA, Chinami, Rosją i krajami Południa?

Tak, absolutnie. Jednak żeby to osiągnąć, przy okazji każdej nowej unijnej regulacji musimy zlikwidować trzy stare. Mówię to od dawna, a teraz taką strategię przyjął prezydent Donald Trump.

To, co musimy zrobić – i w tym przypadku zgadzam się z Mariem Draghim – to wyeliminować chroniczną awersję do ryzyka. Musimy sprawić, aby Europejczycy nie bali się ryzykować i nie bali się eksperymentować i ponosić porażek, aż osiągną wielki sukces. Tylko wówczas Europa odzyska dawną pozycję w świecie.

Wziął pan udział w inauguracji prezydenta Karola Nawrockiego. To oznacza, że planuje pan jakieś inwestycje w Polsce czy też zamierza pan podjąć kolejną próbę współpracy z polskimi politykami?

Polska może stanowić przykład dla innych krajów Europy. Wasze podejście do tego, jak należy radzić sobie z kwestiami narodowego bezpieczeństwa, zabezpieczenia granic, jest wyjątkowe. Inauguracyjne orędzie prezydenta Karola Nawrockiego, a zwłaszcza ta jego część, w której przedstawił swój plan działania, było doskonałe. Słuchając tych postulatów, pomyślałem: to jest dokładnie to, co należy zrobić. Oczywiście chciałbym współpracować z polskimi władzami i z dowódcami polskich wojsk, aby Polska mogła korzystać z możliwości systemu Outernet, czyli całkowicie niezależnej sieci satelitarnej, mającej zapewnić szerokopasmowy dostęp do sieci poprzez satelity krążące wokół Ziemi. W swojej firmie zatrudniam też polskich inżynierów, którzy są znakomitymi specjalistami.

Kosmiczne technologie dobrze brzmią, ale Polska musi teraz wydawać pieniądze na unowocześnianie armii i przygotowanie sił zbrojnych do konfliktu nowego typu. Akurat Outernet chyba nie jest więc priorytetem...

Przeciwnie. Posiadanie dostępu do systemu komunikacji, który będzie działał w sytuacji, gdy padnie Internet, jest

kluczowe. Jedną z głównych słabości współczesnej Europy jest to, jak łatwo jest odciąć Stary Kontynent od Internetu. Wiemy zaś dobrze, że przecięcie kluczowych kabli telekomunikacyjnych nie jest wcale tak trudne i niewyobrażalne, jak mogłoby się niektórym wydawać. Wdzieliśmy już podobne rzeczy nie tylko na Morzu Bałtyckim, lecz także w pobliżu Tajwanu i na dnie Morza Czerwonego.

W pewnym momencie może się więc okazać, że jakieś państwo lub nawet niekoniecznie państwo zdecyduje się przeciąć kable łączące Europę z innymi kontynentami, przede wszystkim z Ameryką przez Atlantyk, a także z Azją i Afryką przez inne morskie szlaki. To nie jest wcale ani wyjątkowo trudne, ani kosztowne.

Kto mógłby coś takiego zrobić?

Hipotetycznie mogłoby do tego dojść np. w wyniku skoordynowanej akcji wojskowej związanej z inwazją Chin na Tajwan. W Chinach mieści się duża część globalnego przemysłu, Chińczycy produkują ponad połowę światowej stali, mają dostęp do metali rzadkich i wszystkich innych zasobów, które mogą pozwolić im na wzniecenie długotrwałego konfliktu zbrojnego. Jednocześnie Chiny w najmniejszym stopniu ucierpiałyby na utracie dostępu do Internetu. Ewentualne uszkodzenie kluczowych podwodnych kabli telekomunikacyjnych dałoby więc Pekinowi strategiczną i taktyczną przewagę. Sami mogliby bowiem działać niemal bez zakłóceń, a jednocześnie sprawiliby, że wszyscy inni działaliby jak we mgle.

Biorąc pod uwagę to, jak bardzo zachodnie społeczeństwa są zależne od Internetu – nie mówię tylko o komunikacji, lecz także o bankowości, opiece zdrowotnej, bezpieczeństwie – uszkodzenie podwodnych kabli można by porównać jedynie z uszkodzeniem aorty. Bez Internetu nie działałoby praktycznie nic. Nigdy w historii nie byliśmy aż tak podatni na ewentualny atak. Oczywiście inżynierowie natychmiast zaczęły prace nad awaryjnymi połączeniami radiowymi etc. Na efekt ich działań będzie trzeba jednak czekać co najmniej wiele dni, jeśli nie tygodni.

I właśnie dlatego pracujemy nad Outer-netem, czyli technologią, która może stanowić kluczową alternatywę dla globalnej łączności odpornej na ataki wrogich graczy.

Bez niezbędnych reform UE upadnie, tak jak Związek Sowiecki (choć Rosjanom też wydawało się to niemożliwe)

Nasza sieć orbitalna do przesyłania danych używać będzie sygnałów satelitarnych, oferując nie tylko wyjątkową szybkość przesyłu danych, lecz także niezrównane bezpieczeństwo i niskie opóźnienia.

Outer-net nie będzie jednak chyba w stanie całkowicie zastąpić Internetu?

Rzeczywiście nie. Będzie to jednak system, który może pozwolić na utrzymanie kluczowej komunikacji nie tylko w warunkach wojny nowej generacji, lecz także w razie katastrof naturalnych czy różnego rodzaju awarii w cyberprzestrzeni. W razie wojny taki system będzie wręcz niezbędny.

Polska jest zainteresowana udziałem w tym projekcie?

Na razie nie prowadziliśmy w tej kwestii żadnych dyskusji z polskim rządem. Mamy już jednak pierwszego inżyniera zatrudnionego w Warszawie.

Pytałem o współpracę z polskimi politykami, ponieważ 15 lat temu próbował pan promować w Polsce polityków sceptycznych wobec niektórych praktyk Brukseli. Wtedy się to kompletnie nie udało. Czy teraz widzi pan większe szanse na przekonanie Polaków do tego, że Unia Europejska pilnie potrzebuje reform?

Rozumiem dlaczego, nasz przekaz, który próbowaliśmy promować w roku 2009, nie trafił wówczas do polskiej opinii publicznej. Niestety, to, przed czym wtedy ostrzegaliśmy, teraz stało się rzeczywistością. Czy teraz nasze argumenty trafią na podatny grunt w Polsce? To się jeszcze okaże. Pewne jest jednak, że musimy ocalić naszą cywilizację, musimy ocalić Zachód. Nie da się zaś ocalić Zachodu, jeśli nie powstrzymamy Europy przed upadkiem. Sama Ameryka sobie nie poradzi. Będzie potrzebowała Europy, która jest przecież kolebką zachodniej cywilizacji. I to właśnie nasze pokolenie musi zacząć działać. Podczas sierpniowej wizyty w Warszawie spotkałem ludzi, którzy to rozumieją i którzy mają świadomość zagrożeń i działań, które

trzeba podjąć. Ten przekaz należy jednak rozpropagować po całej Europie.

Przekaz o Unii Europejskiej będącej w tarapatkach nie jest szczególnie nowy. Blisko 400-stronowy raport Maria Draghiego już rok temu jasno pokazał, że UE pozostaje w tyle za globalnymi konkurentami, i wskazał kroki mające uratować Europę przed nowym kryzysem. Mimo to wydaje się, że eurosceptycy nadal nie mają wystarczającej siły przebiccia wśród europejskiej opinii publicznej, aby dokonać niezbędnych reform.

Mario Draghi przygotował raport, z którego przekazem jak najbardziej się zgadzam. Czy zgadzam się z poszczególnymi receptami? Nie. Część z nich mogłaby wywołać efekt przeciwny do oczekiwanego.

Sam nie lubię być nazywany ani eurosceptykiem, ani nawet eurorealistą. Eurorealistami są bowiem osoby, które realnie oceniają obecną sytuację i mówią wprost: Europa umiera, a Unia Europejska funkcjonuje już niczym zombie. Nawet w takim gronie jest jednak wielu, którzy choć krytycznie oceniają rzeczywistość, to nie mają recepty na to, jak naprawdę można naprawić Unię.

Dlatego wolę być nazywany „europejskim reformatorem”. Od lat przygotowywałem bowiem konkretne pomysły na niezbędne reformy. I teraz mam dopracowany w najdrobniejszych szczegółach pakiet gruntownie przemyślanych bolesnych reform. Ich wdrożenie może jednak nie tylko uratować Europę przed upadkiem, lecz także sprawić, że Stary Kontynent będzie odnosił sukcesy i stanie się potężniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Te reformy trzeba jednak wprowadzać szybko. Najważniejsze pytanie brzmi bowiem, czy zdążymy na czas i czy uda nam się jeszcze zatrzymać ten krwotok. Właśnie dlatego musimy pilnie przeprowadzić tryaż.

Na razie Europejczycy są podzieleni na suwerenistów i zwolenników działań eurokratów w Brukseli. Dalsza zwłoka we wprowadzaniu reform w UE oznacza ryzyko upadku Unii, jaką znamy?

Nie tyle ryzyko, ile praktycznie gwarancję realizacji takiego scenariusza. Bez niezbędnych reform Unia Europejska upadnie, dokładnie tak samo, jak przed trzema dekadami upadł Związek Sowiecki, choć przecież Rosjanom jeszcze w latach 90. taki scenariusz wydawało się zupełnie niewyobrażalny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



SMOCZKI DLA DOROSŁYCH

Stres i bezsenna noc to zmyły współczesnej cywilizacji. Przekonują się o tym Chińczycy. I dlatego wielu z nich postanowiło sobie ze swoimi problemami radzić, ssąc smoczki. Są one większe od tych dla dzieci i cieszą się w Państwie Środka dużą popularnością. Lekarze jednak ostrzegają, że przedmioty te stanowią zagrożenie dla zdrowia. Ich ssanie może na dłuższą metę doprowadzić do uszkodzenia jamy ustnej.

FOT. MULTIMEDIACZNE/FACEBOOK

ZŁODZIEJ Z BALKONIKIEM

Na lotnisku w Palma de Mallorca policja zatrzymała mężczyznę w wieku prawdopodobnie 70 lat, któremu zarzucono, że ukradł czyjeś rzeczy osobiste o równowartości ponad 2 tys. euro. Na uwagę zasługuje to, gdzie je schował. Okazuje się, że poruszał się on przy pomocy balkonika. Trudno więc było przypuszczać, że ktoś taki jest złodziejem. Tymczasem skradzione przedmioty mężczyzna włożył do siedziska balkonika.

HIPERTERMIA W JACUZZI

Cztery starsze kobiety wybrały się do odosobnionej chatki w Red River Gorge w stanie Kentucky. Dwie z nich postanowiły się zrelaksować w jacuzzi. Kiedy jednak chciały z niego wyjść, nie były w stanie. Okazało się, że nastąpiła u nich hipertermia. Trzeba było wezwać pogotowie ratunkowe, które udzieliło obu kobietom pomocy. Ratownicy stwierdzili, że osoby starsze nie powinny przebywać w jacuzzi dłużej niż pół godziny.

NIEDŹWIEDŹ W LODZIARNI

Lodziarnię w South Lake Tahoe w stanie Kalifornia odwiedził wielki niedźwiedź. Miejscowa ludność nadała mu przydomek Fuzzy. Zwierzę zasiadło za ladą i zaczęło zjadać się lodami, głównie truskawkowymi. W tej sytuacji zostali pilnie wezwani funkcjonariusze biura szeryfa hrabstwa El Dorado, którzy po przybyciu wyprowadzili intruza. Skądinąd niedźwiedź nie wyrządził wielkich szkód.

KARA ZA BRAWURĘ

Na festiwalu muzyki tanecznej Creamfields w Daresbury (Anglia) uczestnik zabawy wspiął się na konstrukcję sceny. W rezultacie znalazł się wysoko nad tłumem, stwarzając zagrożenie nie tylko dla siebie, lecz także dla publiczności. Incydent nagrano, a wideo wrzucono do Internetu. Stało się ono wiralem (zdobyło 1,8 mln wyświetleń). Po zejściu z konstrukcji mężczyzna został usunięty z imprezy, a następnie aresztowany przez policję pod zarzutem zakłócania porządku publicznego. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Dobrze już było?

Stopa bezrobocia w Polsce znów wzrosła. Według najnowszych danych GUS w lipcu 2025 r. wyniosła 5,4 proc., co oznacza wzrost przez miesiąc o 0,2 p.p., a przez rok o 0,4 p.p. Skokowy wzrost, i to mimo sezonu wakacyjnego, to szczególnie zła wiadomość.

Wraz z ochłodzeniem na rynku pracy wydłużył się czas poszukiwań pracy przez osoby bezrobotne (w II kwartale wynosił on średnio 7,8 miesiąca, a w I kwartale było to przeciętnie 7,5 miesiąca). Sytuacja może się jeszcze pogorszyć. Coraz większy kryzys można bowiem

zaobserwować m.in. w branży automotive, co prędzej czy później zapewne doprowadzi do fali zwolnień w tym sektorze.

W ciągu roku znacząco pogorszyły się już zawodowe perspektywy tzw. zetek. Pracodawcy kuszeni zaletami cyfryzacji i automatyzacji nie garną się do zatrudniania młodych bez doświadczenia, ale za to często z nierealnymi oczekiwaniami dotyczącymi zarówno płacy, jak i czasu pracy. Według Eurostatu wskaźnik bezrobocia w grupie wiekowej do 25 lat rok do roku wzrósł więc w Polsce do 13,5 proc., czyli o niemal 30 proc.

Najwyższy wzrost bezrobocia wśród młodych w całej Unii Europejskiej to niejedyny problem. Statystyki GUS pokazują, że wolniej rosną wynagrodzenia, mniej oddawanych jest też mieszkań do użytku. Do tego Ministerstwo Finansów, szukając sposobu na poradzenie sobie z ogromnym deficytem budżetowym, chce podwyższyć podatek od banków. To zaś stawia pod znakiem zapytania dalszą hossę na warszawskiej giełdzie. Ewentualne spadki mogą zaś ostatecznie zniechęcić wielu drobnych ciułaczy do pomysłu inwestowania w polskie akcje... ©



Muzułmanie świętują Id al-Adha w Moskwie, czerwiec 2025 r. FOT. YULIA MOROZOVA/REUTERS/FORUM

Jak Moskwa walczy z imigracją



Maciej Pieczyński

Rosjanie mają dosyć przybyszów z Azji Środkowej i Zakaukazia. Kreml wprowadza kolejne antyimigranckie przepisy. Rosja pozostaje jednak imperium multi-kulti z ogromnym odsetkiem muzułmanów

Kto najbardziej zagraża Rosji?" – sondę z takim pytaniem opublikował niedawno na koncie na portalu społecznościowym Telegram znany prokremlowski politolog i publicysta Wadim Truchaczow. Tylko 18 proc. kliknęło opcję „Ukraina i stojąca na nią Zachód”. Aż 81 proc. głosujących wskazało na „migrantów z Azji Środkowej i Zakaukazia”. „Ani jedno, ani drugie. Niech rosyjscy imperiałści przestaną wymyślać zagrożenia” – tak odpowiedział 1 proc. obserwujących Truchaczowa,

choć warto odnotować, że prowojenny propagandysta w ogóle dał do wyboru taką opcję swoim subskrybentom. Oddanych zostało ponad 2 tys. głosów.

To tylko jeden z wielu przykładów rosnących w Rosji w ostatnim czasie nastrojów antyimigranckich. Mają one charakter oddolny, ale wymuszają odgórną reakcję władz. Przełomem w stosunku do cudzoziemców z krajów muzułmańskich stał się zamach w podmoskiewskim centrum handlowym Crocus City Hall, przeprowadzony przez terrorystów

z Państwa Islamskiego Prowincji Choraszan w marcu 2024 r.

Jego sprawcami byli przebywający w Rosji imigranci zarobkowi z Tadżykistanu. Kreml próbował wówczas zrzuć odpowiedzialność na Ukrainę. Bezsztucznie. Ślad ISIS był aż nadto oczywisty. Do Internetu – najpewniej w sposób całkowicie kontrolowany i celowy – wyciekło nagranie, na którym funkcjonariusz rosyjskich służb (prawdopodobnie FSB) odcina ucho jednemu z zatrzymanych zamachowców. Skoro nie udało się udaremnić zamachu, to można było przynajmniej pokazać, że władza potrafi brutalnie się za tę tragedię zemścić.

ZAOSTRZENIE PRAWA

Według danych Rosstatu między styczniem a listopadem 2024 r. do Rosji przyjechało najwięcej migrantów w ciągu ostatnich 26 lat. Przez cały ubiegły rok, jak podaje rosyjskie MSW, odnotowano 373 przypadki organizacji nielegalnej imigracji. Pięć razy więcej niż w 2023 r. We wrześniu 2024 r. (pół roku po zamachu w Crocus City Hall) największą grupę przyjeżdżających do Rosji migrantów ekonomicznych wciąż stanowili obywatele Tadżykistanu (31 proc.). Ponadto przez cały 2024 r. Moskwa deportowała z kraju ponad 80 tys. cudzoziemców. To prawie dwa razy więcej niż w 2023 r. Generalnie w ciągu całego 2024 r. Rosję opuściło ponad 2 mln obcokrajowców. Rosstat informował, że liczba imigrantów w kraju jest najmniejsza od dekady.

Władze na Kremlu zaostryły politykę imigracyjną. W lipcu 2024 r. Duma Państwowa przyjęła cały pakiet ustaw w tym duchu. Pobyt w Rosji obcokrajowców nieposiadających wizy albo karty pobytu skrócono ze 180 do 90 dni. Policja zyskała prawo deportacji imigrantów bez wyroku sądu (wcześniej takie uprawnienia miała jedynie FSB). Obcokrajowiec, który popełnia przestępstwo lub narusza prawo migracyjne, zostaje wpisany do specjalnego „rejstru osób pod kontrolą”. Nie otworzy rachunku w banku, nie założy firmy, nie będzie mógł prowadzić samochodu i nie zawrze związku małżeńskiego na terenie Rosji. Często wpisanie do takiego rejestru ostatecznie skutkuje deportacją.

W grudniu 2024 r. Putin podpisał ustawę zabraniającą przyjmowania do szkół dzieci imigrantów, które nie znają

języka rosyjskiego. Prawo weszło w życie w kwietniu tego roku. Żeby dostać się do szkoły, dziecko przebywającego w Rosji imigranta będzie musiało zdać specjalny – co istotne, bezpłatny – egzamin językowy.

Z kolei od 1 września obcokrajowcy mieszkający w Moskwie i w obwodzie moskiewskim będą mieli obowiązkowo robione zdjęcia biometryczne i zdejmowane odciski palców. Będą też musieli informować władze o miejscu swojego zamieszkania poprzez specjalną aplikację w telefonie. Ponadto imigranci są często wysyłani na front. Dotyczy to zarówno tych, którzy już zdążyli otrzymać rosyjskie obywatelstwo, jak i nielegalnych imigrantów. Tym ostatnim proponowany jest paszport w zamian za służbę na ukraińskim froncie.

Latem 2025 r. w Dumie ruszyła kolejna ofensywa legislacyjna przeciw imigrantom. Ponaddwukrotnie (z 420 do 1000 rubli) podwyższono opłatę urzędową za rejestrację pobytu obcokrajowca w Rosji. Zameldowanie w danym miejscu, dotychczas bezpłatne zarówno dla obywateli Rosji, jak i dla obcokrajowców, tych ostatnich kosztować będzie 500 rubli. Za przedłużenie pozwolenia na pracę imigranci zapłacą 4200 rubli. Szkoły zostały zobowiązane do przekazywania MSW informacji na temat uczniów imigrantów, w tym dotyczących ich poziomu znajomości języka rosyjskiego. W sierpniu parlamentarzyści wpadli też na pomysł, aby zobowiązać lekarzy do informowania policji o obcokrajowcach bez ubezpieczenia.

DOBRY I ZŁY MUZUŁMANIN

Antyimigranckie nastroje dotyczą przynajmniej z krajów muzułmańskich. To jednak nie oznacza, że Putin walczy z islamizacją Rosji w imię obrony chrześcijaństwa czy generalnie konserwatywnych wartości. Islam jest obok prawosławia, buddyzmu i judaizmu uważany za tradycyjną rosyjską religię. W aż siedmiu podmiotach federacji muzułmanie stanowią większość mieszkańców. W Dagestanie, Czeczenii i Inguszetii jest to ponad 90 proc. Nie są to jednak cudzoziemcy, tylko rdzenna ludność, która wierzyła w Allaha, jeszcze zanim ich ziemia znalazła się pod panowaniem Moskwy. Putin skutecznie rozprawił się z nastrojami separatystycznymi na Kaukazie. Czeczenia, trzymana żelazną ręką Kadyrowa, została

najpierw brutalnie spacyfikowana, następnie zalana dotacjami z budżetu państwa i dziś jest wobec Kremla całkowicie lojalna (nie tylko w sensie rezygnacji z dążeń separatystycznych, lecz także wrogości wobec islamskiego terroryzmu) – w zamian nie tylko za pieniądze, lecz także za pełną autonomię kulturową (prawo szariatu jest tam w praktyce ważniejsze niż ustawodawstwo federalne).

Rdzenni rosyjscy muzułmanie trzymają wspólny z Cerkwią prawosławną konserwatywny front w sprawach obyczajowych. Kadyrowcy walczą na Ukrainie z Zachodem, który jest wspólnym wrogiem dla Rosji i sporej części świata radykalnego islamu. Muzułmanie w Rosji, z punktu widzenia Kremla i dominującej narracji, dzielą się więc na „dobrych” (rdzennych, lojalnych i konserwatywnych) i „złych” – nielegalnych migrantów, obcych, potencjalnie zinfiltrowanych przez organizacje terrorystyczne.

Należący do prawosławnego oligarchy Konstantina Małofiejewa portal telewizji Tsargrad ma nawet osobną zakładkę pod nazwą „Migranci”, której tytułowi bohaterowie są zarazem bohaterami negatywnymi. Wiele mówią już same nagłówki publikowanych tam artykułów: „Zmarł rosyjski chłopak, pobity przez migrantów”; „W Jekaterynburgu migrant udawał głuchego i zaczepiał dziewczyny”; „Tragedia pod Moskwą: migranci zabili sportowca”.

Tsargrad z satysfakcją informuje o kolejnych nalotach policji na miejsca przebywania nielegalnych imigrantów. Alarmuje też, że na rosyjskich ulicach przybysze z krajów muzułmańskich coraz częściej dopuszczają się przemocy: „biją policjantów, a kobietom narzucają swoje zasady”. „W naszych miastach powstają prawdziwe getta, rozwija się spójna, alternatywna rzeczywistość, na którą składają się podziemne meczety, „gospodarka halal” [gospodarka oparta na sprzedaży produktów halal – przyp. M.P.], islamski sektor bankowy, kluby MMA szkolące armie bojowników” – czytamy w jednym z artykułów. Przy czym autor, powołując się na ekspertów, wyraźnie zaznacza, że problemem jest islam radykalny, a nie tradycyjny.

Przypominane są barwne incydenty – a to w Moskwie kierowcy spowodowali gigantyczny korek, bo zatrzymali się, wysiedli z dywanikami, żeby pomodlić się

na środku ulicy; a to w Samarze tańczący goście weselni zatamowali ruch na jednej z dróg. Członek Rady Praw Człowieka przy prezydencie Rosji Kirył Kabanow publicznie stwierdził niedawno, że radykalne organizacje realizują bardzo konkretną ideologię podboju terytorium i wyparcia stamtąd rdzennej ludności. Jako przykład takiej praktyki przedstawił Chanty-Mansyjski Okręg Autonomiczny, gdzie przybysze z Azji Środkowej zaczynają powoli zastępować miejscowych. Według Kabanowa ten region staje się „jedną wielką etniczną enklawą środkowoazjatycką”, z której Rosjanie uciekają.

ROBOTY ZAMIAST MIGRANTÓW

Przeciwko masowej imigracji niejednokrotnie występował patriarcha Cyryl. Zdaniem głowy rosyjskiej Cerkwi jest to poważne zagrożenie dla tradycyjnej tożsamości społeczeństwa rosyjskiego. Cyryl publicznie (choć łagodnie) krytykował nazbyt jego zdaniem liberalną politykę migracyjną. Zaznaczał, że problemem nie jest islam sam w sobie, tylko islamski radykalizm, a także ryzyko powstawania zamkniętych grup etnicznych, wrogo odnoszących się do samych Rosjan. Bodaj najbardziej oryginalne rozwiązanie kwestii nielegalnych imigrantów zaproponował wspomniany już Konstantin Małofiejew. Prawosławny oligarcha złożył oryginalną propozycję. Mianowicie oświadczył, że w jego ocenie należałoby zamienić migrantów na roboty. Tak to uzasadnił: „Rosyjski robot, pomalowany żelazem, byłby o wiele lepszy od białkowego migranta. Nikogo nie zgwałci, nikogo nie zabije, nie będzie z nim żadnych problemów”. Wedle słów Małofiejewa Rosja powinna postawić na wprowadzenie robotyzacji pracy. Przede wszystkim właśnie po to, aby w ten sposób móc zrezygnować z masowego ściągania migrantów zarobkowych.

Oczywiście oryginalny pomysł prawosławnego oligarchy pozostanie w sferze fantazji. Niechęć do przybyszów z krajów muzułmańskich będzie rosła, władze zaś będą proponować kolejne antyimigranckie rozwiązania. Rosnąć będzie też jednak liczba muzułmanów w Rosji, która pozostanie państwem wieloetnicznym i wielokulturowym, niezależnie od woli Małofiejewa czy patriarchy Cyryla.

Poseł Lewicy Arkadiusz Sikora napisał na Facebooku: „Środki z Unii Europejskiej pozwoliły dokonać skoku cywilizacyjnego naszemu krajowi. Ten, kto neguje naszą obecność w UE, musi być szalony!”. To typowo lewicowe myślenie na temat zbawienne- go wpływu dotacji unijnych, wtlaczane Polakom przez polityków i dziennikarzy, które niestety ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Taka też była retoryka premiera Mateusza Morawieckiego, który zgodził się na przystąpienie Polski do tzw. Funduszu Odbudowy i z entuzjazmem mówił o miliardach euro, które wpłyną do polskiej gospodarki. Identyczna jest retoryka uśmiechniętej koalicji, która wdraża Krajowy Plan Odbudowy po odblokowaniu tych funduszy przez Unię Europejską. Przeciwno KPO protestowali wyłącznie politycy Solidarnej Polski i Konfederacji.

KORUPCJA I OSZUSTWA

Dotacje unijne szkodzą, i to bardzo, o czym tłumaczę od ponad 20 lat w moich artykułach i książkach. Powody, dla których nie powinniśmy brać złamanego euro dotacji, dzielę na cztery grupy.

Po pierwsze, unijne dotacje kosztują. Przy ich wdrażaniu konieczna jest dodatkowa biurokracja zarówno ze strony rozdających (np. ministerstwo do spraw funduszy, urzędy marszałkowskie, różne agencje), jak i beneficjentów. Firmy i samorządy albo zatrudniają specjalnych pracowników, by się zajmowali pozyskiwaniem dotacji, albo zlecają to wyspecjalizowanym firmom, które z tego żyją (nie stworzy się dobrobytu z przetrwania papierów). Do tego dochodzi problem z korupcją i oszustwami przy rozdawaniu unijnych pieniędzy. Centralne Biuro Antykorupcyjne na swojej stronie ciągle ujawnia tego typu przestępczość. CBA prowadzi np. postępowanie przygotowawcze w sprawie żądania korzyści majątkowej wielkiej wartości w zamian za przyznanie armatorom dotacji na zakończenie działalności związanej z rybołówstwem morskim na Bałtyku. Jedna z większych tego typu afer, ujawniona przez NIK, miała miejsce w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, które rozdaje dotacje unijne na cele badawcze i rozwojowe. Według minister funduszy i polityki regionalnej Kata-



Tomasz Cukiernik

Polska powinna przestać przyjmować dotacje unijne, a kredyty w ramach Krajowego Planu Odbudowy w szczególności. Wtedy Bruksela nie miałaby jak szantażować, przejmować kompetencji, wtrącać się do wszystkiego i dyscyplinować niepokornych, którzy opierają się jej polityce w takich obszarach, jak praworządność, klimat, imigracja

rzyny Pełczyńskiej-Nałęcz „straty dla budżetu spowodowane naruszeniami w NCBR w minionych latach wyniosą od 400 do 600 mln zł”. Zarzuty postawiono 45 osobom (urzędnikom, w tym byłej zastępczyni dyrektora NCBR, przedsiębiorcom i „słupom”), a na dodatek w niewyjaśnionych okolicznościach zmarł Maciej Grzegorzewski, dyrektor działu kontroli projektów NCBR, który miał status świadka w tej aferze. Co więcej, unijne dotacje wydawane są w sposób marnotrawny i na niekoniecznie potrzebne cele: betonoza w centrach miast, zwężanie ulic, wieże widokowe w absurdalnych miejscach, fotoradary, ścieżki rowerowe, po których nikt nie jeździ. Na dodatek potem te baseny, stadiony,

muzea, opery, teżnie współfinansowane z unijnych dotacji trzeba utrzymywać z budżetów najczęściej samorządowych, przez co brakuje pieniędzy na realne potrzeby.

Po drugie, unijne dotacje oznaczają ingerencję w rynek i wzrost znaczenia nieefektywnego i niewydajnego sektora publicznego kosztem efektywnego i wydajnego sektora prywatnego. Sama Komisja Europejska w oficjalnych dokumentach mówi o „zwiększeniu roli sektora publicznego w gospodarce”. To przyjęcie nieprawdziwego paradygmatu, że urzędnik lepiej od funkcjonującego na rynku przedsiębiorcy wie, jak należy zarządzać gospodarką. Pieniądze nie są wydawane na to, co jest potrzebne, tylko



FOT. ADRIAN STOK

„Iwiał część funduszy z Brukseli trzeba jednak najpierw wymienić na złotówki. W ostatecznym rachunku złote, na które wymienia się owe fundusze, pochodzą z emisji (w tym dodruku pieniędzy) realizowanej przez NBP. W rezultacie NBP emituje dodatkowy pieniądź krajowy”.

Po czwarte, i to chyba jest najgorsza cecha unijnych dotacji – są one wykorzystywane politycznie. Mamy propagandę, jak to UE za pośrednictwem naszych wspaniałych polityków, którzy „wywalczyli” te miliardy, wspiera nasz rozwój. Taki przekaz mydlący ludziom oczy jest niezwykle istotny i dla eurokratów, i dla polityków krajowych. Po to na każdym rogu ulicy stawiane są propagandowe tablice z niebieskimi flagami. Niestety, fundusze uzależniają kraje członkowskie i krajowych polityków od brukselskiej centrali. Dotacje są narzędziem szantażu. UE pokazała, że nie cofnie się przed wykorzystaniem tego narzędzia, by uzyskać bieżące cele polityczne. Dotacyjny szantaż Brukseli dotyczył uchwał prorodzinnych przyjętych w 2019 r., z których samorządy musiały się wycofać, żeby otrzymać unijne srebrniki. Podobnie było z tzw. praworządnością, kiedy Bruksela – na wniosek ówczesnej opozycji! – blokowała Polskę wypłatę funduszy. Również w nowej perspektywie finansowej UE pieniądze będą wypłacane tylko grzecznym i posłusznym. Jeśli kraj nie będzie realizował unijnej polityki dotyczącej klimatu czy imigracji, to dostanie figę z makiem. Nowe unijne wytyczne wzmacniają mechanizm warunkowości pod hasłem „pieniądze za praworządność”, ale zostaje on rozszerzony o „pieniądze za imigrantów”. Nie na tym polega suwerenność państwa, że musi się słuchać ośrodka politycznego spoza jej granic.

NOWE EUROPODATKI

Niestety, fundusze KPO powielają wszystkie wymienione wyżej negatywne cechy zwykłych dotacji unijnych, a na dodatek mają jeszcze inne wady.

KE wymusiła na rządzie PiS zgodę na wypełnianie tzw. kamieni milowych, których nie potrzebujemy i które nam szkodzą, kosztują i utrudniają życie, jak np. konieczność wdrożenia stref czystego transportu w miastach, prawne ułatwienia dla budowy farm wiatrowych czy

wprowadzenie podatków od rejestracji i posiadania samochodów spalinowych. Poza tym są to fundusze znaczone. To Bruksela decyduje, na jakie cele mają zostać wydane. Konkretnie: mamy realizować unijną politykę klimatyczną, co sprowadza się do likwidacji energetyki węglowej przy jednoczesnych inwestycjach w OZE, oraz cyfryzację, co dla obywateli oznacza pogłębioną inwigilację, czego przykładem jest portfel tożsamości cyfrowej.

W wydatkach z KPO na kulturę można znaleźć takie pozycje, jak szkolenie z choreografii scen intymnych w teatrze czy projekt „Ekofeminizm w praktyce osób artystycznych z Ameryki Południowej”

Kolejna sprawa, z punktu widzenia beneficjentów KPO to w ok. 60 proc. kredyt, a w 40 proc. – dotacje. Jednak Fundusz Odbudowy to w całości kredyty zaciągnięte przez UE na rynkach finansowych, które do 2058 r. będą spłacane przez podatników krajów członkowskich. W ten sposób KPO oznacza nie tylko wzrost zadłużenia publicznego, lecz także nowe podatki na jego spłatę. W tym celu na podstawie mapy drogowej uzgodnionej w 2020 r. przez PE i Radę Europejską zostaną wprowadzone nowe zasady własne UE, które uzupełnią składki krajów członkowskich. W związku z tym Bruksela już wdrożyła lub szykuje nowe obciążenia, z których wpływy będą szły bezpośrednio do budżetu UE, takie jak graniczny podatek węglowy czy część dochodów z ETS. W głowach eurokratów zrodziły się też koncepcje innych nowych europodatków: podatek dla firm, których roczny obrót przekracza 50 mln euro netto, opłaty za odpady elektroniczne czy podatek akcyzowy od tytoniu. To wszystko negatywnie wpłynie na konkurencyjność unijnych gospodarek, w tym polskiej.

Wreszcie trzeba zauważyć, że po ujawnieniu afery KPO widać coraz wy-

na to, co źle poinformowanym urzędnikom się wydaje, że jest potrzebne. Efektem jest rugowanie rynku z kolejnych branż, takich jak branża szkoleń czy internetowa, nieoptymalne wykorzystanie zasobów i nieuczciwa konkurencja – bo jedna firma dostanie dotację, a druga nie. Dotacje powodują też uzależnienie beneficjentów od brukselskich funduszy i kształtują żebraczą mentalność. Przedsiębiorcy zaczynają myśleć nie o tym, jak rozkręcić firmę, unowocześnić proces produkcyjny, bardziej przypodobać się klientowi, tylko jak uzyskać dotację i jak ją rozliczyć. Ponadto inwestycje realizowane z dotacji są zwykle znacznie droższe niż te realizowane na zasadach rynkowych. To nic innego jak centralne planowanie na poziomie unijnym i krajowym, które prowadzi do utraty konkurencyjności, problemów gospodarczych i wolniejszego wzrostu dobrobytu.

Po trzecie, unijne pieniądze odpowiadają za wzrost inflacji. Otóż – jak tłumaczył w „Dzienniku Gazecie Prawnej” Leon Podkaminer, emerytowany pracownik naukowy Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych, w latach 2005–2009 członek zespołu doradców do spraw polityki pieniężnej Parlamentu Europejskiego –

■ różniej, iż pieniądze te są wydawane dla samego ich wydawania. Przewidziałem to w roku 2021, kiedy w raporcie „Koszty i ryzyka unijnego Funduszu Odbudowy”, przygotowanym dla Solidarnej Polski, zacytowałem ówczesną minister funduszy Małgorzatę Jarosińską-Jedynak, która stwierdziła: „Czasu nie jest dużo, inwestycje trzeba wybrać jak najszybciej”. Zwróciłem wtedy proroczą uwagę, że oznacza to niebezpieczeństwo, iż pieniądze zostaną wydane bezsensownie i niecelowo, na zasadzie „byleby tylko znaleźć jakiś projekt i na coś je wydać”. Dokładnie tak się dzieje. W związku ze słabym naborem w pierwszej rundzie w drugiej rundzie naboru wniosków rząd uśmiechniętych rozluźnił kryteria, żeby łatwiej było otrzymać pieniądze. W efekcie kredyty z KPO, które miały iść na projekty rozwojowe i zapewnić Polsce „skok cywilizacyjny”, marnowane są na jachty, ekspresy do kawy, naukę gry w brydża on-line, a nawet przysłowiowy już klub dla swingersów. W wydatkach z KPO na kulturę może być jeszcze gorzej. Są np. szkolenie z choreografii scen intymnych w teatrze czy projekt „Ekofeminizm w praktyce osób artystycznych z Ameryki Południowej”. Ale nawet nie to, że w ten sposób marnotrawi się grube miliony, jest najgorsze. Gorzej, że zgodnie z żądaniami Brukseli z KPO pieniądze są wydawane na cele, które dodatkowo szkodzą i utrudniają ludziom życie. Mam na myśli przede wszystkim wydatki pod hasłem „neutralności klimatycznej”, jak budowa kolejnych farm OZE, które destabilizują polski system elektroenergetyczny, co wymusza wielomiliardowe inwestycje w sieci. Na przykład Polenergia, spółka Dominiki Kulczyk, na budowę morskich farm wiatrowych dostała pożyczkę z KPO w wysokości 750 mln zł. Pieniądze z KPO są wydawane chyba gorzej niż kredyty Gierka, bo te przynajmniej częściowo szły na sensowne i potrzebne inwestycje w przemysł stoczniowy i motoryzacyjny, elektrownie, zakłady chemiczne, kopalnie, huty.

INTERES POLITYCZNY

Po co w takim razie Brukseli KPO? I dlaczego ewidentnie wbrew interesom Polaków rząd Mateusza Morawieckiego zgodził się na zaciąganie tych kredytów, a rząd Donalda Tuska odblokowanie tych

pieniędzy wymieniał jako największy sukces i tak ochoczo wciąga nas w pułapkę KPO?

Po pierwsze, to nie oni podejmują te strategiczne decyzje, tylko ośrodek położony poza krajem. Oni są tylko wykonawcami polityki, która ma służyć całkowicie komu innemu. Za taką tezę przemawia też to, że wśród przywódców krajów unijnych nie znalazł się ani jeden uczciwy polityk, który by stwierdził: „Nie chcemy tych szkodliwych kredytów z KPO”. A komu one służą? To oczywiste, że zarabiają na nich kredytodawcy, czyli tzw. rynki finansowe.

Po drugie, w ramach budowy europejskiego superpaństwa KPO służy Brukseli, która za pomocą „kamieni milowych” przejmując kolejne kompetencje krajów członkowskich. I na tym się nie skończy. Po „sukcesie” Funduszu Odbudowy już realizowane lub planowane są kolejne fundusze, co również przewidziałem w moim raporcie dla Solidarnej Polski. Napisałem, że „nie można też wierzyć w zapewnienia eurokratów, że na Funduszu Odbudowy zakończy się ta ponadprogramowa interwencja. Należy się raczej spodziewać, że odrotu od tego już nie będzie. Przepuszczalnie po 2023 roku pod innym pretekstem zostanie wymyślony inny fundusz, by Bruksela nie traciła wpływów”. I rzeczywiście, mamy kolejne formy rozdawnictwa unijnego, jak program SAFE na obronność (150 mld euro), Czysty Ład Przemysłowy (100 mld euro) czy przygotowywany Niebieski Ład (390 mld euro).

Po trzecie, chodzi o władzę. KPO uzależnia kraje członkowskie od finansowej kroplówki i w ten sposób łatwiej je dyscyplinować wstrzymaniem tych funduszy.

Po czwarte, skutkiem ubocznym, na którym zależy nie tyle Brukseli, ile bardziej lokalnym władzom, i co zachęca je do realizacji KPO, jest fakt, który jaskrawo wypłynął przy aferze KPO. Politycy i działacze związani z rządem PiS już nie zdążyli się na tym wzbogacić, bo Bruksela z przyczyn politycznych, w ten sposób ingerując w polskie wybory parlamentarne, wstrzymała wypłatę funduszy. Ale uśmiechnięta koalicja i ludzie z nią związani ruszyli po te pieniądze jak po swoje. Posłanka Katarzyna Królak z Koalicji Obywatelskiej w Polsat News

przyznała bez żenady wprost: „Połowa albo i większość moich znajomych, rodziny bliższej i dalszej też dostała dofinansowania w ramach HoReCA”. Zarabiali jeszcze inni znajomi królika. Poseł Kazimierz Smoliński z PiS ujawnił na X, że bez pośredników, którzy brali 10 proc. wartości dotacji, można było zapomnieć o wsparciu.

Pojawił się też czarny rynek handlu spółkami do wyłudzenia dopłat z KPO. Nie należy jednak z gruntu potępiać firm, które wnioskuje o to dofinansowanie. Biznes polega na tym, że trzeba zarabiać. Tym bardziej że przynajmniej teoretycznie KPO miał wesprzeć firmy, które zostały poszkodowane covidowym lockdownem. Jednak te pieniądze były potrzebne w tamtym czasie, a nie po pięciu latach, kiedy wiele z tych firm do tej pory dawno upadło. Poza tym poszkodowane firmy nie powinny prosić się o te fundusze, a dawno temu uzyskać uczciwe odszkodowanie za lockdown. Niestety, rzeczywistość jest taka, że biznes do tej pory zмага się w sądach o przyznanie rekompensat. Co więcej, okazało się, że KPO dofinansowuje bogate firmy, które mają pieniądze, by z góry ponieść te wydatki, a dopiero potem czekać na zwrot części z nich.

Potępić trzeba rządzących, że wciągnęli Polskę w gigantyczną pułapkę kredytową KPO także dlatego, że publiczne programy wsparcia nigdy i nigdzie nie mają prawa zadziałać zgodnie z intencjami tych, którzy je wprowadzają. Ostatecznie co cwaśni geszefciarze powiązani z władzą dostaną pieniądze, które podatnicy frajerzy będą spłacać do 2058 r. A zadłużenie publiczne rośnie w stachanowskim tempie. Dlatego Polska powinna przestać przyjmować dotacje unijne, a kredyty KPO w szczególności. Wtedy Bruksela nie miałaby jak szantażować, przejmować kompetencji, wtrącać się do wszystkiego i dyscyplinować niepokornych. Cały Fundusz Odbudowy – podobnie jak unijne dotacje – jest iluzją dostania czegoś za nic. Jak pisze brytyjski ekonomista i historyk prof. Antony C. Sutton w książce „Wall Street i Hitler”, „establishment zawsze oferuje coś za nic; ale coś zawsze jest odbierane komuś innemu w postaci podatków lub grabieży i przekazywane dalej w zamian za polityczne poparcie”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Nie” dla lokali komunalnych

Wydarzenie kampanii przed wyborami, związane z kupnem przez Karola Nawrockiego od Jerzego Ż. mieszkania komunalnego, które Jerzy Ż. mógł wykupić za jedynie 10 proc. jego wartości, rzuciło snop światła na kuriozum, jakim są owe mieszkania komunalne.

Najpierw buduje się je za pieniądze z podatków mieszkańców gminy, a potem – nierzadko po uważaniu i równie nierzadko za bezcen – rozprzedaje się tym i owym, w tym „znajomym królika” albo „potrafiącym się odwdziaczyć” osobie podejmującej taką, korzystną dla nich decyzję. To znaczy, nie same mieszkania komunalne są kuriozum, ponieważ wspólnoty gminne z pewnością powinny dysponować pulą mieszkań na wypadek przeróżnych zdarzeń losowych, ale już sposób ich traktowania – jako beneficjów, którymi obdarowuje się tego czy tamtego – z pewnością tak.

Według money.pl „pod koniec 2022 r. gminy dysponowały zaledwie 778 750 lokalami komunalnymi – to 43 proc. mniej niż w 2000 r. i aż o 55 proc. mniej niż w 1995 r., gdy zasób liczył ponad 1,7 mln mieszkań. W latach 2003–2022 sprzedano ponad 620 tys. mieszkań komunalnych, z czego rekordowy był 2009 r., kiedy to zawarto ponad 95 tys. transakcji. Często odbywały się one z bardzo wysokimi bonifikatami, co pozwalało nabywcom kupować

mieszkania niemal za darmo – niejednokrotnie w centralnych, atrakcyjnych lokalizacjach”.

Nie podzielam wyczuwanego w powyższym tekście negatywnego stosunku do pozbycia się przez gminy znacznej części mieszkań komunalnych. Z pewnością sprzedaż wielu z nich była uzasadnioną koniecznością likwidacji tej resztki po PRL. I zapewne ceny z wysokimi bonifikatami miały – z tego samego powodu – sens. Wszak teraz należy ten proces raz na zawsze skończyć.

Nie wiem, czy zasób mieszkań komunalnych pozostających w rękach gmin jest wystarczający, za duży czy za mały? Z pewnością po skompletowaniu odpowiedniego, dopasowanego do możliwości i potrzeb zasobu takich mieszkań nie powinno się ich sprzedawać – zwłaszcza z bonifikatą. Jaki bowiem sens miałoby budowanie za pieniądze podatników mieszkań komunalnych, które potem sprzedawane byłyby przez samorządowców za półdarmo, by znów mogli oni narzekać, że mieszkań takich jest za mało, i domagać się od podatników kolejnych pieniędzy na budowę następnych, które za jakiś czas za półdarmo sprzedadzą?

Tytułowe „nie” dla mieszkań komunalnych nie oznacza więc „nie” dla posiadania ich przez gminy, ale „nie” – i to stanowcze „nie” – dla sprzedawania ich, zwłaszcza z bonifikatą, czyli poniżej rynkowej wartości. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie współczuję Niedzielskiemu

Pobito byłego ministra zdrowia z czasów pandemii, Adama Niedzielskiego. Sprawcy krzyczeli podobno, że jest „zdrajcą ojczyzny”. Politycy PiS za to pobicie obarczają winą ministra Marcina Kierwińskiego, który odebrał Niedzielskiemu ochronę. Muszę przyznać, że bulwersującą dla mnie informacją było nie to, że byłemu ministrowi ochronę odebrano, ale że w ogóle ją miał. Wiele miesięcy po tym, jak stracił stanowisko. SOP ma niańczyć każdego byłego członka

Bulwersującą dla mnie informacją było nie to, że byłemu ministrowi ochronę odebrano, ale że w ogóle ją miał

ządu? Łatwo być decydującym o losach milionów ministrem w gabinecie albo za przyciemnionymi szybami limuzyny z ochroną. Trochę trudniej stanąć potem twarzą w twarz z obywatelami, prawda, panie Niedzielski?

Jasna rzecz: dla przemocy usprawiedliwienia nie ma. Nie jest to sposób załatwiania spraw. Jeżeli nie powie się tego jasno, to eskalacja może być nieuchronna. Czy pobicie byłego ministra miało motyw polityczny czy też było zwykłym bandyckim napadem –

trudno orzec, skoro sprawcy najpewniej byli nietrzeźwi. Nie da się go jednak oddzielić od kontekstu lat 2020–2022. To Adam Niedzielski dawał twarz – obok Mateusza Morawieckiego – najbardziej szkodliwym, sprzecznym z prawem i skandalicznym działaniom ówczesnej władzy. To on współodpowiadał za organizację służby zdrowia w czasie COVID, za co zapłacił 200 tys. nadmiarowych zgonów, w dużej części osób z innymi schorzeniami. To za jego sprawą dziesiątki tysięcy ludzi umierało w szpitalach samotnie, nie mogąc spotkać się z bliskimi. Ci ostatni zaś nie mieli prawa spojrzeć na zmarłych, bo nieludzkie i całkowicie absurdałne przepisy zakazywały otwierania trumien.

To za sprawą Niedzielskiego przed sądami lekarskimi stawali i stają nadal medycy niezgadający się z linią ówczesnej władzy. To on jest współwinny zniszczeniu dziesiątków tysięcy biznesów, setkom tysięcy bezprawnie nałożonych mandatów i obciążeniu budżetu 200 mld zł tarcz antycovidowych.

Gdy dzisiaj Niedzielski skarży się na FB na to, że go pobito, potępiam pobicie z zasady, ale dla byłego ministra nie mam ani krztyn zrozumienia czy współczucia. Zwłaszcza mając świadomość, że za swoje arcyszkodliwe poczynania nie poniósł i zapewne nie poniesie już nigdy odpowiedzialności. ©



Wzgórze Tumskie w Płocku (1929)

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Mało znane bohaterstwo Płocka



Cezary Gmyz

Celem bolszewików było zdobycie mostu na Wiśle. Miało ono umożliwić przerzut wojsk i zaatakowanie Warszawy od znacznie słabiej bronionej strony zachodniej. Płocczanie walczyli więc nie tylko o swoje miasto, lecz także o los całej Polski

Niecałe 100 km dzieli Warszawę w linii prostej od Płocka. Gdy płynie się Wisłą, jest to podobny odcinek. A jednak mało który warszawiak ma świadomość, że Płock był kiedyś nie tylko historyczną stolicą Mazowsza, lecz także Polski. Problem tkwi w tym, że Płock jest infrastrukturalnie odcięty od Warszawy. Podróż do tego miasta zajmuje dwa razy dłużej niż do Siedlec, które są położone dokładnie w takiej samej odległości od stolicy.

Niestety, jeśli ktoś nie dysponuje własną jednostką pływającą, to nie dotrze do Płocka również rzeką. A jeszcze pół wieku temu na tym odcinku odbywały się cieszące się wielką popularnością rejsy tzw. białej żeglugi, czyli pasażerskie. Nie

mówiąc o tym, że przez stulecia była to tętniąca życiem arteria transportowa.

Wielka szkoda, bo to jeden z najpiękniejszych odcinków królowej rzek. Szybujące po niebie bieliki, polujące olbrzymie sumy, piaszczyste brzegi zasiedlane przez jaskółki brzegówki, łosie brodzące w rozlewiskach, wysokie skarpy przypominające jako żywo nadmorskie klify, dzikie plaże z drobnym piaskiem nieustępujące Copacabanie. A wszystko to prawie nieskażone obecnością człowieka. Tak wygląda droga wodna do Płocka.

Sam Płock bez wątpienia należy do najpiękniejszych miast w Polsce wartych przynajmniej jednodniowego wypadu. Historyczne centrum miasta jest tak nasycone atrakcjami, że warto spędzić

w mieście przedłużony weekend, a ceny są znacznie niższe niż choćby w Kazimierzu, o Krakowie, a tym bardziej o Warszawie już nie wspominając.

POCZĄWSZY OD GOTYKU

Miasto osobiście przypomina mi trochę Wilno i jest podobnego rozmiaru. Podobieństwa nie kończą się tylko na obecności w obu tych miejscach św. Faustyny Kowalskiej. Nawiasem mówiąc, chyba największy odsetek turystów przybywających do Płocka to pielgrzymi, wyznawcy kultu Bożego Miłosierdzia, których można tutaj spotkać cały rok.

Miasto, tak jak Wilno, położone jest na wzniesieniu, a zabytki architektury obejmują prawie wszystkie style, począwszy od gotyku. Jednak o przewadze Płocka nad Wilnem decyduje widok ze skarpy na Wisłę. Chociaż Wilnia ma swój urok, to rozmiarami znacznie ustępuje Wiśle. W mazowieckim grodzie bowiem, za sprawą tamy we Włocławku, Wisła przypomina raczej jezioro niż rzekę.

Trzeba też Płockowi oddać, że obok mariny w Puławach ma najlepszą infrastrukturę wodniacką na całym szlaku Wisły, choć pomysł wybudowania moła

wzdłuż, a nie w poprzek nurtu rzeki wydawać się może dziwaczny. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że warszawiacy wybudowali tunel wzdłuż rzeki zamiast pod nią, to możemy chyba usprawiedliwić tę drobną płocką fanaberię.

Przeskoczmy jednak do początków Płocka. Najczęściej ówczesne polskie grody wkraczają na arenę dziejów z nastaniem chrześcijaństwa. Chodzi zwykle o klasztorne nadania czy ustanowienie biskupstwa. Z Płockiem jest inaczej. Jego początki wiąże się bowiem nierozdzielnie z pogaństwem. Owszem, większość grodów istniejących na terenie państwa polskiego w X czy XI w. to dawniejsze ośrodki kultu pogańskiego. Ale o tym wiemy z wykopalisk, nie zaś ze źródeł pisanych. Tymczasem pierwsze wzmianki dotyczące Płocka opisują go jako stolicę państwa Mieśławia znanego też jako Masław. To cześnik Mieszka II, który zbuntował się przeciw jego synowi Kazimierzowi, który do historii przeszedł jako Odnowiciel.

To właśnie Płock stał się jednym z głównych ośrodków tzw. reakcji pogańskiej. Mieśław chciał zbudować państwo oparte na religii słowiańskiej. Miał nawet bić własną monetę, w w średniowieczu było pewnym wyznacznikiem suwerenności państwowej. Państwo Mieśława przetrwało raptem 10 lat i padło ostatecznie w roku 1047, stając się od tego czasu jednym z najważniejszych ośrodków chrześcijaństwa nie tylko na Mazowszu, lecz także w całym ówczesnym państwie polskim.

Biskupstwo w Płocku ustanowiono już za panowania Bolesława Śmiałego w roku 1075. Po wygnaniu tego króla – czyli po zabójstwie św. biskupa Stanisława – władzę przejął jego brat Władysław Herman, który dwór królewski przeprowadził z Wawelu właśnie do Płocka. Wtedy to powstała katedra romańska ufundowana przez bp. Aleksandra z Malonne. Niestety, zachowały się tylko nieliczne jej pozostałości odkryte w czasie XX-wiecznych wykopalisk. A musiała być ona świątynią niezwyklej wręcz urody, zważywszy na jej najbardziej znaną pozostałość, którą są drzwi płockie w niczym nieustępujące słynnym drzwiom gnieźnieńskim.

Niestety, żeby podziwiać oryginał, trzeba udać się aż do Nowogrodu Wielkiego, gdzie zdobią tamtejszy sobór Mądrości Bożej. W jaki sposób się tam znalazły, nie sposób dociec, choć wiemy, że stało się to

jeszcze w średniowieczu. Niestety, próby wykupienia tego bezcennego zabytku od Rosjan czynione w XX w. spełzyły na niczym. Na szczęście zezwolili oni na wykonanie z oryginalnych drzwi wzoru, co sprawiło, że prezentowana w katedrze płockiej kopia jest wiernym odwzorowaniem oryginału.

Obiekt, który dziś podziwiamy na Wzgórzu Tumskim, to efekt kolejnych przebudów tej świątyni, co pozwala nam w jednej budowli podziwiać gotyk, renesans i klasycyzm. Ostateczny kształt katedrze nadano na początku XX w., pominąwszy oczywiście montaż kopii wzmiankowanych drzwi płockich, co nastąpiło w 1982 r., oraz trwające do dziś prace renowacyjne.

Podziemia kościoła kryją szczątki władców Polski, a wśród nich Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, których sarkofagi znajdują się w kaplicy królewskiej. Gwoli ścisłości, nie możemy mieć absolutnej pewności, że są w nich złożone szczątki tych władców. W sarkofagach znalazły się one bowiem dopiero w roku 1825, kiedy to doczesne resztki znalezione pod posadzką w prezbiterium uznano za kości tych Piastów.

Niestety, nie mamy wystarczającej ilości miejsc, by omawiać fascynujące dzieje innych Piastów mazowieckich z Płocka czy żeglugi wiślanej w kolejnych wiekach. Niezmiennie polecamy jednak wizytę w dwóch doskonałych płockich muzeach – Mazowieckim oraz Diecezjalnym. Oba to niewątpliwie jedne z najlepszych placówek tego typu w całej Polsce.

KRZYŻ WALECZNYCH OD PIŁSUDSKIEGO

Jest jednak epizod w dziejach Płocka, którego pominąć nie możemy, a który niestety jest zbyt mało znany, a w dodatku wiąże się z głównym tematem niniejszego cyklu, czyli z Wisłą. Chodzi mianowicie o wydarzenia sprzed 105 lat, a więc wojnę polsko-bolszewicką. Cud nad Wisłą, czyli Bitwa Warszawska, oraz słynne kontruderzenie znad Wieprza to wydarzenia, które mają już swoje trwałe miejsce w pamięci historycznej. Jednak odbywająca się w tych samych dniach obrona Płocka istnieje właściwie tylko w pamięci regionalnej. Mało kto zdaje sobie sprawę, że dla polskiej marynarki wojennej, którą wówczas stanowiła Flotylla Wiśłana,

wojna polsko-bolszewicka była chrztem bojowym, w dodatku zakończonym bezapelacyjnym zwycięstwem. Bitwa o Płock rozegrała się w dniach 18–19 sierpnia 1920 r., a więc już po wiktorii warszawskiej. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że wojna polsko-bolszewicka była już właściwie rozstrzygnięta. Nie do końca tak jednak było. Bolszewicy zdecydowali się przeprowadzić coś, co moglibyśmy chyba porównać do późniejszej kontrofensywy Niemców w Ardenach, czyli ostatniego zrywu bojowego, który mógł odwrócić losy wojny.

Celem bolszewików było zdobycie mostu na Wiśle. Miał on umożliwić przerzut wojsk i zaatakowanie Warszawy od znacznie słabiej bronionej strony zachodniej. Płocczanie walczyli więc nie tylko o swoje miasto, ale tak naprawdę o los całej Polski. Miasto miało stosunkowo małe regularne siły wojskowe, lecz z pomocą przyszła cała społeczność Płocka.

Bolszewicy wszystkie swoje siły skierowali na zdobycie mostu swoją tradycyjną metodą, czyli atakowaniem masami ludzkimi bez liczenia się ze stratami. A sytuacja dla atakujących nie była łatwa. Do mostu prowadziła tylko jedna droga, którą stanowił jar wykopany w skarpie wiślanej. Oczywiście zdobycie części Płocka prowadzącej do tego jaru w pewnym stopniu ułatwiło sytuację, ale tylko w pewnym stopniu. Na szczęście tuż przed bolszewickim atakiem do miasta dotarły posiłki. Jednak trzon obrony stanowili zmobilizowani już wcześniej żołnierze oraz swoistego rodzaju pospolite ruszenie płocczan, w tym harcerzy. Swoje dołożyła Flotylla Wiśłana, której najważniejszymi jednostkami pływającymi były kanonierki i tzw. monitory wyposażone w artylerię. Stanowiły one znacznie niebezpieczniejszą broń niż artyleria lądowa, bo miały dużo większą mobilność, przemieszczając się po rzece o wiele szybciej niż jednostki lądowe.

Obrona miasta, a przede wszystkim mostu na Wiśle przeszła do legendy. Dość powiedzieć, że Płock został uznany za bohatera walki z bolszewikami i uhonorowany Krzyżem Walecznych przez samego marszałka Józefa Piłsudskiego. Osobiste krzyże otrzymali od Naczelnika państwa również marynarze.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Supraśl – miasto monasterskie



JACEK KOMUDA

Leżący dziś w województwie podlaskim, a w XVII w. w województwie trockim Wielkiego Księstwa Litewskiego Supraśl jest doskonałym przykładem, jak w dawnych czasach wyglądały miejskie osady na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Miasteczko powstało bowiem wokół prawosławnego monasteru Zwiastowania Przenajświętszej Bogurodzicy i św. Jana Teologa, ufundowanym pierwotnie w 1498 r. w Gródku przez wojewodę Aleksandra Chodkiewicza.

Wedle popularnej legendy wprowadzeni tam z ławry Peczerskiej w Kijowie mnisi nie byli zadowoleni z pierwotnej lokalizacji klasztoru. Spuścili zatem z biegiem rzeki Supraśl drewniany krzyż z relikwiami, który miał wskazać miejsce posadowienia nowej wspólnoty.

Zatrzymał się on na uroczysku zwanym Sucha Gruda, gdzie w 1500 r. rozpoczęła się budowa wielkiego kompleksu.

Najpierw powstała drewniana cerkiew św. Jana Ewangelisty, potem refektarz

i pustelnia. W 1510 r. Chodkiewicz nadał klasztorowi miasteczko Choroszcz z przyległościami, które w 1529 r. wymienił na Chwosty i Porosł. Królowie Aleksander i Zygmunt Stary potwierdzili przywilejami te fundacje. Z kolei Józef Sołtan, arcybiskup smoleński, nadał monasterowi Topilec, Baciuty i Pyszczevo nad Narwią. W 1516 r. w monasterze wzniesiono cerkiew Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, którą podziwiać możemy do dziś.

W latach 30. XVI stulecia zbudowano kolejną cerkiew – cmentarną Zmartwychwstania Pańskiego z katakumbami przeznaczonymi



Księga wydana w monasterze w Supraślu. FOT. DOMENA PUBLICZNA

na pochówki mnichów, fundatorów i donatorów klasztoru. W owych czasach monaster w Supraślu był już znany i sławny, zwłaszcza za sprawą Suprańskiej Ikony Matki Bożej, uważanej za cudotwórczą, a także bogatej biblioteki, w której w 1557 r. znajdowało się 200 ksiąg. Odwiedził ją zresztą w 1543 r. król Zygmunt August. Dużą sławą cieszyły się skryptorium, a także drukarnia klasztorna, czynna od 1695 r. W pobliżu klasztoru zaczęło też rozwijać się miasteczko Supraśl.

Początkowo mnisi zajęli nieprzychylnie stanowisko wobec unii brzeskiej. Pomimo wysiłków unickiego metropolity kijowskiego Michała Rahozy monaster pozostawał prawosławny. Kolejny metropolita, Hipacy Pocij, próbował zmusić go do przyjęcia unii, m.in. pozyskując archimandrytę Hilariona Massalskiego do sądu za nieposłuszeństwo. Kiedy ten nie stawiał się na rozprawie, został zaocznie skazany na banicję. Nowy archimandryta zgodził się przyjąć unię, jednak wpływy Hilariona były tak duże, że jeszcze przez kilka lat klasztor pozostawał wierny prawosławnym regułom. Ostatecznie w 1635 r., po procesie pomiędzy Krzysztofem Chodkiewiczem reprezentującym fundatorów a metropolitą Józefem Rutskim, klasztor przyjął regułę bazylianów i został podporządkowany unii. Oznaczało to zarówno rozwój ośrodka, jak i zmianę jego wyposażenia. W 1643 r. pojawił

się tutaj wspaniały trójrzędowy ikonostas powstały prawdopodobnie w warsztacie Andrzeja Modzelewskiego w Gdańsku, zniszczony w czasie drugiej wojny przez Sowietów. Rozwijała się drukarnia, która na początku publikowała druki religijne, jak unicki „Służebnik” czy „Żywot św. Onufrego”. Potem księgi liturgiczne, w języku polskim, po łacinie i cyrylicy, wreszcie druki świeckie, jak zbiory tłumaczeń Jana i Stanisława Morsztynów, czy „Krótkie zebranie historii i geografii polskiej”, a w 1770 r. „Partyzanta, czyli sztukę prowadzenia pomyślnie wojny podjazdowej” Węgra Mihálya Lajosa Jeneya. Od 1784 r. publikowano przede wszystkim druki świeckie – poradniki i literaturę piękną. Dziś o tamtych publikacjach przypomina otwarte w monasterze muzeum drukarstwa.

Klasztor w Supraślu zapisał się piękną kartą w czasach powstania kościuszkowskiego, wspierając je finansowo i publikując uniwersały. Stało się to później przyczyną najpierw ograniczenia wydawania przez władze zaborcze, a potem nakazem sprzedaży i zamknięcia drukarni, gdy Supraśl znalazł się po trzecim rozbiore w składzie Prus. Majątek wspólnoty został skonfiskowany, a kiedy po traktacie w Tylży Supraśl znalazł się w składzie Rosji, władze carskie w 1824 r. podporządkowały klasztor Kościołowi prawosławnemu. Z upadku podniósł go w latach 80. archimandryta Mikołaj Dołmatow. W okresie międzywojennym budynki klasztorne były przedmiotem licznych konfliktów pomiędzy katolikami i prawosławnymi. Ostatecznie zakończyły się one dopiero po drugiej wojnie i upadku PRL odbudową zniszczonych budowli i przekazaniem monasteru prawosławnym. ©



RYS. MART

I RZECZYPOSPOLITA

NISSAN PRIMASTAR COMBI



FOT. MP

Odświeżona wersja popularnego, przestronnego i praktycznego modelu to bardzo dobry wybór dla naprawdę dużych rodzin. Co prawda, z zewnątrz nie wygląda tak atrakcyjnie jak modne SUV-y, ale w wersji combi (testowanej) może pomieścić osiem lub nawet dziewięć osób (z podwójną ławką z przodu). Mimo dwóch foteli z przodu oraz dwóch trzymiejscowych kanap w kolejnych rzędach w bagażniku wciąż jest mnóstwo miejsca na walizki dla całej rodziny (dokładnie 1800 l).

Do tego Nissan Primastar Combi – czyli w zasadzie Renault Trafic ze znaczkiem Nissana i ładniejszym, bardziej nowocześnie wyglądającym grillem – wciąż prowadzi się niemal niczym

zwykłą osobówkę. Oczywiście nie można tu liczyć na wygraną w miejskich wyścigach spod świateł (sprint od zera do 100 km/h zajmuje aż 13,6 s), ale nikt po takim samochodzie nie oczekuje raczej wyścigowych możliwości. Prędkość maksymalna to 174 km/h. Mimo to zarówno dynamika, jak i kultura pracy silnika zasługują na pochwałę.

Testowany wariant – z wysokoprężnym silnikiem 2.0 dCi o mocy 150 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 350 Nm, a także z sześciobiegową manualną skrzynią biegów – ma jeszcze jedną zaletę: jest bardzo oszczędny (m.in. dzięki systemowi start-stop oraz hamowaniu regeneracyjnemu). Średnie spalanie w cyklu mieszanym wyniosło podczas testu 6,9 l/100 km.

Centralne miejsce na desce rozdzielczej zajmuje 8-calowy ekran systemu multimedialnego. Szkoda jednak, że do obsługi Android Auto czy Apple Carplay nadal potrzebny jest kabelek. W podstawowej wersji wyposażenia są analogowe zegary z 3,5-calowym ekranem TFT, ale już w dwóch wyższych kierowca ma do dyspozycji zarówno siedmiocalowe cyfrowe zegary, jak i kamerę cofania czy bezprzewodową ładowarkę do smartfonów. W kabinie są też osobne nawiewy dla pasażerów oraz poduszki boczne, kurtynowe oraz czołowe kierowcy i pasażera. Jak na auto rodzinne przystało Primastar Combi uzbrojony jest również w zestaw systemów bezpieczeństwa, wśród których znajduje się m.in. system inteligentnego hamowania awaryjnego czy system ostrzegania o niezamierzonej zmianie pasa ruchu.

Istotnym minusem tego modelu jest to, że nie da się nim wjechać do wielu garaży podziemnych w galeriach handlowych. Na szczęście mierzącym 5,48 m długości i 2,3 m szerokości Primastarem Combi nadal można jednak zaparkować na zewnętrznych miejscach przeznaczonych dla samochodów osobowych.

Nissan Primastar Combi w najtańszej wersji kosztował 176,9 tys. zł brutto. Testowana opcja z silnikiem dCi 150 i sześciobiegową manualną skrzynią biegów to wydatek 189,9 tys. zł, a w wariantcie z dziewięciobiegową skrzynią automatyczną trzeba zapłacić od 189,9 tys. zł do 215,9 tys. zł (w zależności od wersji wyposażenia). Najdroższa opcja to Primastar z silnikiem o mocy 170 KM i automatem, która w najlepszej wersji wyposażenia kosztuje 218,9 tys. zł. ☹☹

REALME GT 7

Rewelacyjna bateria, znakomity jasny wyświetlacz AMOLED, szybkie ładowanie, niezła wydajność, obsługa eSIM oraz odporność na pył i wodę (IP69) – to największe zalety tegorocznego „pogromcy flagowców” ze stajni popularnej chińskiej marki.

Świetne wrażenie robi 6,78-calowy, 10-bitowy ekran LTPO AMOLED o częstotliwości odświeżania 120 Hz, rozdzielczości 1264 x 2780 pikseli i jasności szczytowej wynoszącej aż 6000 nitów (co jest bardzo przydatne podczas użytkowania w mocnym słońcu). Jest tu też wsparcie dla Dolby Vision oraz HDR10+.

„Pod maską” zamontowany wydajny procesor MediaTek Dimensity 9400e oraz 12 GB pamięci RAM LPDDR5x. Jest co prawda wyraźnie gorszy niż Qualcomm Snapdragon 8 Elite, ale tak czy owak na brak mocy narzekać nie można. Wszystko działa płynnie, a aplikacje otwierają się błyskawicznie.

Graczy ucieszy informacja o komorze parowej i grafenowej części tylnej obudowy, która odpowiedzialna jest za skuteczne chłodzenie smartfona. I rzeczywiście nawet przy długim i intensywnym użytkowaniu GT 7 staje się co prawda wyraźnie ciepły, ale nie parzy dłoni.

Największą zaletą smukłego smartfona (ma 8,3 mm grubości) ważącego 206 g jest jednak wykonany w technologii węglowo-krzemowej akumulator



o pojemności aż 7000 mAh. W praktyce oznacza to, że ten model praktycznie zawsze wystarcza na półtora dnia intensywnej pracy, a przy oszczędnym użytkowaniu bateria może wystarczyć nawet na trzy dni pracy z dala od elektrycznego gniazda. Model GT7 obsługuje szybkie ładowanie SuperVOOC, dzięki czemu na naładowanie smartfona do 50 proc. wystarczy zaledwie kwadrans, a po 40 minutach bateria telefonu jest już pełna.

Plusem jest także odporność na pył i wodę potwierdzona certyfikatem IP69. Zastosowanie technologii Rainwater Smart Touch ułatwia zaś korzystanie ze smartfona podczas jesiennej deszczu.

Aparaty fotograficzne, jakkolwiek z pewnością nie najlepsze na rynku, nie są złe. Główny obiektyw ma rozdzielczość 50 MP i jasność f/1.88. Za pomocą GT 7 przy odpowiednim oświetleniu można więc zrobić bardzo dobre zdjęcia.

Wady? Wprawdzie smartfon wygląda solidnie, jednak zarówno tylny panel, jak i boczna ramka nie zostały wykonane ze szkła i metalu, lecz z plastiku. Na szczęście matowe wykończenie sprawia, że ta oszczędność na materiałach nie rzuca się za bardzo w oczy, ale nie jest to model, który pozwoli wyróżnić się z tłumu. Minusem jest też brak bezprzewodowego ładowania.

Cena: 2699 zł. ☹☹

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ranczo
nad wodą

Co roku 25 sierpnia wyruszamy na pielgrzymkę do Częstochowy ze wsi Wiewiec położonej ok. 40 km od Jasnej Góry. Ta nieduża parafialna pielgrzymka ma bardzo długą tradycję. W tym roku, żeby w niej uczestniczyć, zatrzymaliśmy się na nocleg w Ranczu nad Wodami.

Okazuje się, że kilka minut od Wiewca leży polskie Yellowstone. Jedną rodziną gospodaruje na sporym terenie, hodując krowy rasy Scottish Highland. Jest to stara, kudłata szkocka rasa bydła górskiego, znana z długich rogów i dużej odporności. W Polsce hodowana od XIX w. – obecnie głównie na mięso, które posiada wysokie walory kulinarne.

Piękny, rozległy teren, krowy pasące się swobodnie na łąkach i znakomite, zdrowe mięso. Przyjechalibyśmy tam po południu – akurat były dni otwarte, więc można było spróbować, jak smakuje świeża, zdrowa i ekologiczna wołowina.

Do wyboru były tatar, bitki wołowe z kluskami śląskimi, gulasz wołowy i hamburger. Oczywiście nasz wybór padł na tatar i danie śląskie, ale godny uwagi był także gulasz. Danie ma tę zaletę, że gotuje się je długo i w tym czasie można stopniowo dokładać przyprawy, które decydują o jego smaku. Złazcza wtedy, gdy mięso jest delikatne i świeże. Oczywiście wydobyliśmy od pań z kuchni przepis na gulasz, choć nie jest to przecież danie zbyt trudne w przygotowaniu. Kluczowa jest jednak jakość mięsa.

Ranczo położone jest pomiędzy Częstochową, Łodzią a Bełchatowem, więc jeśli będziecie w tych okolicach, to zajrzyjcie tutaj, upewniwszy się wcześniej, że jest otwarte! Oprócz krów są tu także owieczki, alpaki, ptactwo i inne typowe wiejskie atrakcje.



FOT. ADRIAN STOLK

Gulasz wołowy
z Rancza nad Wodami

- 1,5 kg wołowiny (karkówka, łopatką, przęga) • 150 g wędzonego boczku • 50 g masła • 2 ząbki czosnku • 2 marchewki • 1 cebula • sól, pieprz i papryka słodka wędzona • 500 ml bulionu wołowego • 500 ml wina czerwonego wytrawnego • 2 łyżki koniaku (opcjonalnie) • 1 łyżka koncentratu pomidorowego • kilka gałązek tymianku i natki pietruszki • 200 g pieczarek

Mięso kroimy na małe kawałki. Na dużej patelni lub w rondlu rozgrzanym wkładamy pokrojony w małą kosteczkę boczek i powoli smażymy aż do zarumienienia. Wyjmujemy na talerz, na tej samej patelni obsmażamy mięso wołowe z każdej strony, wyjmujemy. Następnie podsmażamy czosnek i pokrojone w małe kawałki marchewkę i cebulę. Smażymy kilka minut, następnie podlewamy winem, koniakiem i bulionem oraz koncentratem pomidorowym. Dusiemy do zagotowania i dodajemy liść laurowy, tymianek i posiekaną natkę pietruszki. Dodajemy podsmażone wcześniej mięso i boczek. Doprowadzamy do wrzenia. Zmniejszamy gaz i dusimy pod przykryciem wszystko na małym ogniu do miękkości lub wstawiamy do nagrzanego piekarnika do 150 st. C i pieczemy ok. dwóch i pół godziny. Na koniec odkrywamy, przemieszamy mięso i pieczemy jeszcze ok. 30 minut do miękkości. Smacznego! © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

My, białasy

Jako człowiek o upór-
czywie białej skórze
zawsze marzyłam, żeby się
opalić. Zazwyczaj źle się
to kończyło. Nad Balatonem
tak się spiekałam, że obłożona
zsiadłym mlekiem, jedynym
dostępnym wtedy lekar-
stwem, dwa dni przeleżałam
w namiocie. Potem zlaży ze
mnie płyty czerwonej skóry.

Było to w czasach, kiedy
oparzenia leczono tym, co
było pod ręką, o filtrach
przeciwśłonecznych nikomu
się nie śniło. Panie na plaży
smarowały się masłem kaka-
owym, które nie wiem skąd
brały, ale podobno zapewnia-
ło piękną brązową opaleniznę.

Któregoś razu, miałam wte-
dy 19 lat, postanowiłam za-
inwestować, żeby upodobnić
się do pań, które widywałam
na plaży i na deskach kurortu
Deauville, gdzie przebywałam
w charakterze au pair, zajmu-
jąc się trzyletnią dziewczynką.
Raz a dobrze postanowiłam: ja
też będę czarna.

Nabyłam za obcą walutę (to
były jeszcze pocziwe franki)
krem z bergamotką, wcale nie
tani, który, jak zapewniał opis,
gwarantował szybką, piękną
i brązowozłotą opaleniznę.

Obudziłam się w nocy ze
straszonym swędzeniem całe-
go ciała. Rano okazało się, że
od stóp do głowy jestem po-
kryta purpurowym piekącym
rumieniem w postaci placków
o średnicy kilku centymetrów.
Do tego gorączka.

Pracodawcy, mili państwo,
przestraszeni tym wido-
kiem wezwali lekarza, który
stwierdził: silne uczulenie na

olejek z bergamotki. Zrobił
zastrzyk z wapnia i zalecił
przebywanie poza zasięgiem
słońca dopóty, dopóki wysyp-
ka nie zejdzie.

Minęło wiele lat, moja skó-
ra jest równie biała, jak była,
ale od tego czasu my, białasy,
„mniejszość etniczna”, prze-
staliśmy się czuć wykluczeni.
W ramach różnorodności też
mamy prawa obywatelskie
i nikt na ulicy nas nie bije. Ale
moda na opalone ciało nie
minęła, mimo że rak skóry
szaleje. Znajomy dermatolog
mówi, że groźby nie działają:
w biurach po wakacjach wciąż
jest plebiscyt na najciemniej-
szą dziewczynę. Moda okazuje
się silniejsza niż ostrzeżenia
i pod koniec sierpnia ulice
zaludniają się złocistobrazo-
wymi ludźmi, którzy właśnie
wrócili znad mórz i oceanów.

Przypominam sobie epizod
sprzed epoki komórek, kiedy
z wakacji dzwoniło się z auto-
matu telefonicznego. W po-
czekalni dworca w Gdańsku
drzwi do kabiny telefonicznej
były otwarte: może na skutek
gorąca, może zepsute.

W każdym razie rozmowę
słyszała cała duża poczekal-
nia. Dziewczyna o karnacji
zblizzonej do mojej, może
jeszcze bardziej różowej, bo
dziewczyna była ruda, dzwo-
niła do mamy. „Mamo, jest cu-
downa pogoda, opalamy się,
nie uwierzysz, jestem czarna!”
– powiedziała do słuchawki.

W tym momencie oczy
podróżnych zwróciły się
w stronę kabiny i dziewczyny.
I uśmiech przebiegł przez ich
twarze. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Popisowe bezpieczeństwo

Testują nas i testy wypadają słabo. Państwo zaniedbuje swój podstawowy cel istnienia – zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom. Jedna rakietka już kiedyś przeleciała pod Bydgoszcz i gdyby jakaś wycieczkowiec nie znalazła jej po dłuższym czasie od upadku, nie wiedzielibyśmy w ogóle, że coś nad nami latało. Bo wojsko nie wiedziało. Ten ostatni dron spod Osin tylko dlatego się ujawnił, gdyż wybuchł, lub samozniszczył się tak spektakularnie, że sprawa pojawiła się w mediach. Gdyby upadł, jak ten spod Bydgoszczy, to też czekałby na swe odkrycie przez przypadkową grzybiarkę czy myśliwego. W obu przypadkach wojsko dołożyło ze swej strony zamieszanie komunikacyjne. Bo jak tu się przyznać, że latają sobie, czym chcą i jak chcą, wojsko zaś tego nie zestrzeliwiuje, a nawet nie zauważa?

Testujący robi taki test i patrzy, jaka jest reakcja drugiej strony. Po pierwsze: reakcja militarna. Ta, jako zerowa, daje przeciwnikowi obraz naszej obrony, czyli żałosnej bezradności. Jak widać, kontynuowanej z ekipy na ekipę. Przecież w tej sytuacji widzimy tylko „broń upadłą” i Bóg raczy wiedzieć, co tu u nas wcześniej wleciało, polatało i odleciało, bo wiemy tylko z mediów (nie od wojska) o tym, co spadło, a o udanych wycieczkach po nieboskłonach Najjaśniejszej

nie dowiemy się, bo albo armia to ukrywa, albo – co gorsza – sama o nich nie wie. Wychodzi z obecnych dyskusji, że nawet gdyby tego ostatniego drona armia wykryła, to nie bardzo wiadomo, jak go trzeba było zestrzelić. A więc rysuje się rozzuchwalający przeciwnik obrazek państwa i armii z dyktu.

Testuje się też społeczną reakcję. Co zrobią media? Jak to opowie władza? Jaka będzie reakcja społeczna na te niewesołe wieści? To też daje pojęcie o nie tylko militarnej, lecz także społecznej odporności. Czy będą reakcje panikarskie? A może słynne: „Polacy, nic się nie stało”? Ktoś bowiem, kto nas testuje, liczy się z tym, że co nieco ze swoich możliwości ujawnia. Ale to są działania przyczynkarskie. Na Ukrainie w akcjach codziennie bierze udział po kilkaset dronów w kilkudziesięciu operacjach i jakoś sobie wojujący (i ludność cywilna) radzą. My nie wiemy, co począć z jednym obiektem, nawet jak już się ujawni, bo gdzieś rąbnąć.

A ja robię sobie swój indywidualny test – naszej reakcji, naszych rządzących i wyciągniętych z tych testów konsekwencji. Znowu się dowiemy, co spadło, jak media nam o tym powiedzą. A co z tym systemowo robimy, nie dowiemy się nigdy? Obawiam się, że nie z powodu tego, że to jakaś tajemnica, tylko że nic z tym nie zrobimy. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Demoralizacja uhonorowana

Radni Zielonej Góry nadali tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zielonej Góry Zbigniewowi Izdebskiemu. Kandydatura seksuologa pojawiła się w ostatniej chwili, więc żeby podjąć głosowanie, trzeba było najpierw przegłosować zmianę regulaminu. Chodziło o to, by uhonorowanie Izdebskiego ogłosić jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego. Wobec ogólnopolskich protestów stowarzyszeń rodziców, w tym Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, zalecającej wypisywanie dzieci z udziału w lekcjach tzw. edukacji zdrowotnej, nadanie tytułu honorowego obywatela głównemu autorowi podstawy programowej przedmiotu jest uwiarygodnieniem tego antyrodzinnego ideologicznego politycznego projektu.

Radnym zatem przypomnę kilka kwestii. Wasz honorowy obywatel zaczynał karierę w 1983 r. jako pracownik kuratorium oświaty. To właśnie wtedy w szkołach przeprowadzono brutalną akcję zdejmowania krzyży, których powrót do klas wywalczyła Solidarność. Potem pedagog Izdebski jako pracownik Studium Pedagogicznego prowadził wśród studentek ankiety dotyczące ich życia seksualnego w sposób, który naruszał delikatność i anonimowość respondentek.

Studenci i uczestnicy kursów z obrzydzeniem wspominają zajęcia z Izdebskim, wskazując właśnie obsesyjny wręcz

brak delikatności w omawianiu kwestii seksu. Natomiast badania Izdebskiego z 2004 r. kwalifikowałyby się dziś do zgłoszenia do prokuratury.

Piętnastoletnie i szesnastoletnie dziewczynki zmuszono do odpowiadania na pytanie, czy uważają, że w Polsce powinien być dopuszczony seks z osobą dorosłą dziecka: a) w wieku 10 lat, b) 12, c) 14. Miały zakreślić prawidłową odpowiedź. Pytano także o to, co otrzymywały za seks z osobą dorosłą. Czy były to pieniądze, dzinsy, posiłek w McDonaldzie? Ponadto padały pytania dotyczące seksu oralnego i seksu analnego oraz oglądania pornografii.

W 2009 r., gdy psycholog Andrzej Samson został prawomocnie osądzony za przestępstwa seksualne wobec dzieci, Izdebski wspierał swojego współpracownika i napisał przedmowę do jego książki pisanej w więzieniu. Zielonogórski seksuolog szczytył się członkostwem Instytutu Kinseya. Nie przeszkadzało mu to, że przestępcze działania patrona tej instytucji – zaburzonego naukowca z USA – są już zdekonspirowane. Píše o nich szczegółowo jedna z ofiar zwyrodnialca, Judith Reisman, w książce „Zbrodnia i nauka”.

I na koniec – powierzenie Izdebskiemu (bez medycznego przygotowania) opracowania podstawy programowej edukacji zdrowotnej pokazuje, że wcale nie o zdrowie tutaj chodzi. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Gwiazda czerwony karzeł

I wtedy Tusk mówi zło-wieszczo (cytuję z pamięci, a mam swoje lata, więc mogą być drobne przekłamania): „Ha, ha i tak nastawiam ci wiatraków i nie potrzebuję twojej zgody, prezydencie, ha, ha”. Tak na Radzie Gabinetowej albo jakoś w tym duchu premier zwrócił się do prezydenta, który zablokował Ustawę Siemensu (może ustawa nazywa się trochę inaczej, ale ja mam swoje lata). Stop. Refleksja nasza mnie wtedy oczywista: Ale jak to? To Tusk nam tych wiatraków nastawia, co to ich nikt nie chce (Siemensu nie biorę pod uwagę), bez podpisu prezydenta? Stop. To po co on w ogóle ustawę pisał (dobra, wiem, że nie on pisał, ale nie napiszę, kto pisał, bo jest artykuł w Kodeksie karnym o zniesławieniu)? Po co on ją prezydentowi do podpisu dawał, jak mówi teraz, że mu podpis nie jest potrzebny? Hmm... Stop. Może on teraz z tą panią Pauliną Hennig-Kłoską konstruuje specjalne takie nowe i obowiązuje miary „700 metrów, tak jak my je rozumiemy”, które według starych, używanych jeszcze metrów będą wynosić mniej niż 500 metrów, i tym sposobem uda się im wiatraków naćkać jak igieł w akupresurowej pupie? Stop.

Miłosz Motyka, minister z PSL, zareagował patriotycznie po innym wecie Karola Nawrockiego, pisząc: „Weto prezydenta do ustawy o zapasach ropy i gazu to uderzenie w bezpieczeństwo energetyczne Polski i interesy

przedsiębiorców”. Stop. No niestety, ja z kumplami (oni tacy sami mądrzy jak ja) tego pana Motyki za bardzo nie rozumiemy, pociesza nas, że np. ludzie z Kancelarii Prezydenta i sam prezydent też chyba nie za bardzo. Stop. Według tej ustawy zapasy gazu dla Polski byłyby przechowywane nie w Polsce, tylko u naszych sąsiadów zachodnich. Stop. Dość brutalnie napisał o tej ustawie prezydent: „To de facto rezygnacja w suwerenności w zarządzaniu bezpieczeństwem energetycznym, faworyzująca podmioty zagraniczne kosztem inwestycji w polską infrastrukturę”. Stop. Zastanawiam nad tymi przedsiębiorcami, o których wspominał minister Motyka. Stop. Czy to może chodzić o niemieckich przedsiębiorców?

Kubuś Wojewódzki – razem z takim panem, z którym robił interesy na wódzie, i ten pan trafił do więzienia, a Kubuś nie trafił, bo może być w części niewinny (kto wie?) – więc nasza gwiazda TVN (A tak zmieniając temat, wiedzą państwo, że jest taka gwiazda jak czerwony karzeł? No dobra, to tylko taka regresja) skazana została przez sąd karny. Stop. Według prawomocnego wyroku Kubuś z panem (który trochę siedział) reklamowali wódę z pełną świadomością i mają zapłacić po prawie pół miliona grzywny. Stop. Pamiętam, jak kiedyś Kubuś reklamował taką obrzydliwą w smaku oranżadę, tego powinien się trzymać. Jakby do tego stworzony... ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Mysz, która ryknęła

Coraz ciekawiej wyglądać zaczyna sytuacja w tzw. koalicji chętnych. Deklarowała ona chęć wysłania na Ukrainę żołnierzy, w celu „wywarcia presji” na Rosję i zagwarantowania Ukrainie sprawiedliwego pokoju. Z wojowniczych zapowiedzi pierwsze wycofały się Niemcy. Potem zrobiła to Wielka Brytania. Państwo, opowiadające na prawo i lewo o swojej gotowości do zatrzymania imperialnych zakusów Rosji, dziś przebąkuje skromnie o gotowości wysłania najwyżej kilkuset ludzi, którzy, stacjonując „z dala od strefy walk”, wsparlby Ukraińców szkoleniem i logistyką. Trudno przypuszczać, by oferta Zjednoczonego Królestwa mogła znacząco wpłynąć na relacje sił pomiędzy Ukrainą a Rosją.

Po chwili nieśmiałego oczekiwania odzywać się zaczęli pozostali uczestnicy „koalicji chętnych”. Swoje stanowisko ogłosił „mojarstwo bałtyckie”. Jest ono, tradycyjnie, bardzo bojowe. Już w 2022 r. parlamenty tych państw zażądały od ONZ zamknięcia przestrzeni powietrznej nad Ukrainą, nie precyzując niestety, kto miałby to zamknięcie na Rosji wyegzekwować. Wartych odnotowania sił powietrznych państwa bałtyckie nie posiadają. Także w kwestii zaangażowania wojsk lądowych sprawa skończyła się na buńczucznych pogroźkach. Według prezydenta Łotwy jest jeszcze

za wcześniej, by można było mówić o udziale łotewskich żołnierzy w misji na Ukrainie. Sąsiednia Estonia, której siły zbrojne liczą sobie 7 tys. żołnierzy, zadeklarowała gotowość do akcji. Premier Estonii podkreślił jednak, że „Tallin rozważa udział sił nie większych niż jedna kompania piechoty”. Jest to w najlepszym razie ok. 200 ludzi. Także prezydent Litwy Gitanas Nausėda przypomniał sobie właśnie, że udział armii litewskiej w pomocy Ukrainie nie powinien być większy niż jej niegdyś, kompanijny kontyngent w Afganistanie. Kolejnych 200 żołnierzy nie zrobi zapewne w Moskwie większego wrażenia. Cały wkład państw bałtyckich do „koalicji chętnych” zabezpieczyłby, według ukraińskich danych o nasyceniu obrońcami linii frontu, jego jeden kilometr. Do obsadzenia wojskiem pozostanie ich jeszcze tysiąc.

Pół wieku temu wielkim powodzeniem cieszyła się brytyjska komedia zatytułowana „Mysz, która ryknęła”. Film opowiadał o przywódcach mikroskopijnego państewka Grand Fenwick, które, dla ratowania się przed bankructwem, wypowiada wojnę USA. Nieliczna armia Grand Fenwick, pod dowództwem postaci granej przez Petera Sellersa, wychodzi z konfliktu zwycięsko. Czyżby współczesni Bałtowie planowali powtórzyć, po latach, ten zaskakujący scenariusz? ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Tak mi dobrze, że dobrze mi tak”

Gdy Herbert George Wells, brytyjski pisarz, odwiedził w Moskwie Gorkiego, pupila Stalina, oszołomiony przepychem jego willi, odebranej po rewolucji jednemu z milionerów, stwierdził złośliwie: „Widzę, że nie jest źle być czołowym pisarzem proletariackim!”. „To dar od narodu sowieckiego!” – wybełkotał wściekły Gorki.

U nas w 1948 r. za powrót do komunistycznej Polski dar od narodu, a w istocie od prezydenta Bieruta i Stanisława Radkiewicza, ówczesnego szefa bezpieki, otrzymał poeta Julian Tuwim. Była nim najpiękniejsza w podwarszawskim Aninie

pisząca Anna Kowalska. Piękne były też stylowe meble, bibeloty. Ewa, adoptowana córka Tuwima, wstydziła się zapraszać do siebie koleżanki. Zarówno willę, jak i mieszkańców obsługiwał sztab pracowników – zamieszkali na stałe pielęgniarzka Tuwima, jego sekretarka, sprzątaczką, gosposia, ogrodnik, szofer, który woził go przyznaną mu jedną z pierwszych warszaw (mieli ją oprócz niego tylko Solski i Dunikowski).

Chory na agorafobię, lęk przestrzeni, niewiele jednak z tego luksusu korzystał, bał się schodów, rzadko wychodził nawet do ogrodu, a najwyżej na taras. Bolał nad utratą poetyckiej

literackie tradycje – przed wojną mieszkali tu Gałczyński, Zaruba, spędzało lato wielu pisarzy. Atrakcyjny Château d'Anin czekał jednak gorszy los – zajął go kolejny mieszkaniec, Piotr Jaroszewicz, z rodziną, wieloletni premier PRL. Bardzo tu nie lubiany – wokół willi i w okolicy kręciła się obstawa i smutni panowie z kieszeniami wypchanymi spluwami odprowadzali do szkoły młodszego z synów premiera. Willa była strzeżonym bastionem, nikt niezapowiedziany nie mógł tu wejść. Krążyły słuchy, że na posesji mieści się prywatna stacja benzynowa starszego syna premiera, Andrzeja, „czerwonego księcia”, rajdowca i playboya.

Sam premier najwyraźniej się bał – na spacerach chodził z bronią, miał groźne psy, sznauclery, jednego z nich mu otruto. Gdy, jak to w PRL, często wyłączano w Aninie światło, jaśniało złowieszczo jedynie wokół willi premiera i drogi do niej. W 1992 r. został razem z żoną brutalnie zamordowany, a przed śmiercią skrupowano ich i torturowano. Prawie nic nie zginęło, a sprawców nie odnaleziono do dziś.

Kolejni właściciele willi gruntownie ją przebudowali, a wielki ogród rozparcelowali na działki pod nowe domy. Mimo to nikt w Aninie nie pamięta, że była tu kiedyś willa Tuwima, to ciągle willa Jaroszewicza, miejsce przeklęte, naznaczone makabryczną, wciąż pamiętaną niewyjaśnioną zbrodnią. ©©

Zarówno willę, jak i mieszkańców obsługiwał sztab pracowników – zamieszkali na stałe pielęgniarzka Tuwima, jego sekretarka, sprzątaczką, gosposia, ogrodnik, szofer

modernistyczna willa Lotha, perełka zbudowana w latach 30., otoczona dębowym lasem, z ogrodem z basenem, przy ulicy Zorzy 19B. Po „wyzwoleniu” przejęła ją bezpieka, urządziła tu tajny areszt i katownię UB, gdzie przesłuchiwał sam oficer Józef Światło, który uciekł później na Zachód. W 1948 r., po remoncie, przekazana została Tuwimowi, który nazywał ją Château d'Anet. „Na nasze warunki można ją nazwać pałacem. Przypomina żywą ilustrację z miesięcznika angielskiego. Urodę i elegancję stanowi sama architektura” –

weny i drwinami dawnych przyjaciół – skamandrytów zarzucających mu sprzedajność. Choć po operacji żołądka nie mógł dotknąć alkoholu, to nadal pił, próbował podobno popełnić samobójstwo. „Tak mi dobrze, że dobrze mi tak” – mawiał.

Mieszkał tu krótko, w 1953 r. zmarł nagle na serce w wieku zaledwie 59 lat. Wdowę po nim i adoptowaną córkę natychmiast wyrzucono z willi, otrzymały mieszkania na osiedlu Łatawiec. Planowano utworzenie muzeum Tuwima, tym bardziej że Anin miał

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / UTJOJANSKI.WS

Unia Europejska to świat paranoików, którymi rządzą paranoicy. Wierzą w bliski koniec świata, jak sekta dni ostatnich. „Planeta płonie” to ich paranoja. „Giniemy, więc nie ma sensu się rozmnażać” – kolejna paranoja. „Ludzie mają tyle samo praw do tej planety co rośliny i zwierzęta” – wiodąca paranoja ekodupków, której podporządkowane są liczne przepisy o ochronie planety przed ludźmi.

Pozostałe gatunki **WALCZĄ** o przetrwanie, czyli występują z pozycji: nie obchodzi mnie, co o tym myślą inne gatunki – ja walczę o przetrwanie mojego. Tymczasem ekodupki moczą się w spodnie za każdym razem, gdy ktoś normalny wybiera się na polowanie, na ryby, a nawet gdy się wybiera do restauracji na steki. W Bałtyku nie wolno łowić ryb, bo ryby są dla fok, a ludzie mają jeść tofu.

Spotkałem jednego takiego w Gdańsku. Gapił się z przerażeniem, gdy kupowałem kilo kiełbasy z jelenia. (Jeleń jest zdrowy, nie dostaje paszy ani antybiotyków). Ekodupek był bliski omdlenia. Postanowiłem go dobić. Wystawiłem tę moją kiełbasę w jego stronę i pytam: – Chce pan kawałek? To kiełbasa z sarenki Bambi.

Ekodupek uciekł spłoszony. Przeraził go wędzony kawałek mięsa we flaku.

Ja myślę tak: Ta planeta jest nasza, a inne gatunki mają tylko tyle praw, ile sobie wywalczą. I nieprawda, że człowiek ma przewagę, zawsze wygra i wybiję wszystko inne, co żyje. Nieprawda! Ze szczytami przegrywamy w każdym mieście, podobnie z karaluchami, podobnie z wirusami i bakteriami. Czy nasz świat

byłby gorszy, gdyby szczury zniknęły?

Mamuty nie wyginęły – w podręcznikach piszą nieprawdę. Myśmy mamuty wybili i żeźarli do ostatniego osobnika. Czy nasza planeta się od tego zawałiła lub jest gorsza? Dinozaury też zniknęły. I co? Oceniam ich wyginiecie jako bardzo dobre z ludzkiego punktu widzenia.

W środku Warszawy widziałem tablice informujące o zagrożeniu, jakim są dziki. Pisali, żeby nie podchodzić i nie podejmować prób głaskania ani karmienia, bo dzik jest dziki i groźny. Do takiej paranoi doprowadzili nas paranoicy chroniący dziką przyrodę **KOSZTEM** ludzi – dziki w środku milionowego miasta, w czasach cywilizacji cyfrowej. Mamy środki, by dzika rozwalić, spłoszyć, zniechęcić, odegnąć. Nie stosujemy tych środków, bo rządzą nami paranoicy i dzik jest dla nich ważniejszy od dzieci w piaskownicy w środku miasta.

Po drugiej wojnie światowej (przypomnę, że dla Polaków była to wojna z Niemcami i z Ruskimi, a nie tylko z Niemcami; i przypominę jeszcze, że to **NIE** była wojna z żadnymi „nazistami”, tylko z **NIEMCAMI**), no więc po drugiej wojnie światowej było w Polsce zbyt wiele wron. Plaga. Słowo „wrona” w rozumieniu potocznym – chodzi o różne czarne ptaszyska, które kraczą. Było ich zatrzęsienie i były szkodnikami. Jak sobie z tym poradzono? Ludzie mieli w domach broń z czasu wojny. Za każdą martwą wronę przyniesioną do urzędu dostawało się dwa nowe naboje – jeden jako zwrot naboju zużytego na wronę, a drugi jako napiwek

za dobrą robotę. Mój dziadek walczył wtedy z komunistami i gromadził amunicję. Aby nie marnować dobrych kul na wrony, zrobił synom porządne proce. Problem wron rozwiązano w kilka miesięcy.

Na planecie Ziemia liczba gatunków stale się zmniejsza i nie powstają żadne nowe. Wiemy to z obserwacji naocznych, z zapisów historycznych, naukowych oraz z wykopalisk. Wiemy to nawet z legend, które też stanowią źródło wiedzy o świecie. Na przestrzemi dziejów nie zaobserwowaliśmy powstania żadnego nowego gatunku. Czyli teoria Darwina o powstawaniu gatunków raczej nie jest prawdą. Mamuty żeźarliśmy. Był jeszcze dawno temu na terenie Polski taki gatunek jak tur – też go już nie ma. Na wyspach dalekich był ptak dodo czy jak mu tam. Był, a ostatniego żeźarli ludożercy dawno temu i nie ma to wpływu na moje życie. Hasło „ochrona gatunków zagrożonych” mnie czasami przekonuje, ale trzeba dodać: ochrona tak, ale **NIGDY** za cenę wyniszczenia ludzi i ludzkości. A ci paranoicy rządzący w Europie właśnie to robią – wyniszczają ludzi, bo „planeta płonie”. A idź w cholerę, paranoiku! Wszyscy won!

Wyłącznie gatunek ludzki w swojej wersji europejskiej walczy sam ze sobą o to, by samego siebie zlikwidować. Każdy inny gatunek stara się przetrwać. Czyli walczą z nami wirusy, bakterie, walczą z nami grzyby, walczą z nami dzikie drapieżniki, każdy walczy z człowiekiem o przetrwanie, a teraz jeszcze ludzie zwalczają sami siebie, żeby zrobić na planecie więcej miejsca dla roślin i zwierząt.

Rządy paranoików dotyczą nie tylko ekologizmu i klimatu. W sierpniu miałem dyskusję z ekipą korektorów. Nic do nich nie mam – korektorzy stosują zasady, które ustala dla języka polskiego jakaś grupa paranoików będąca u władzy. W moim tekście najpierw występował murzyn, a trochę dalej występował żyd. Korekta, realizując paranoiczne przepisy językowe, poprawiła mi słowo „murzyn” na „Murzyn” (wielką literą), a trochę dalej poprawiła mi słowo „żyd” na „żyd” (małą literą). Czyli Murzyn ma być pisany wielką literą, ale żyd małą. Razism? Nie! Polityczna poprawność, czyli paranoja. Tłumaczyłem, że murzyn to nazwa pewnej odmiany człowieka: są biali (to słowo korekta pisze małą literą), są czarni, czyli murzyni (to słowo korekta każe pisać wielką literą) i są też żółci – trzy równorzędne rasy. Na podobnej zasadzie jak owczarek, spaniel i jamnik.

W przypadku Żyda miałem na myśli **NARODOWOŚĆ**, więc napisałem to słowo wielką literą. Korekta uparcie zmieniała na małą. Tłumaczę, że „żyd” pisany małą literą oznacza wyznanie (na podobnej zasadzie: katolik, protestant), a Żyd pisany wielką literą oznacza narodowość, jak Polak, Niemiec i Rusek.

Ostatecznie otrzymałem z redakcji następujące zawiadomienie: Po długich dyskusjach z korektą udało się zmienić na Żyda pisanego wielką literą (bo Murzyna za skarby świata nie pozwolą napisać małą).

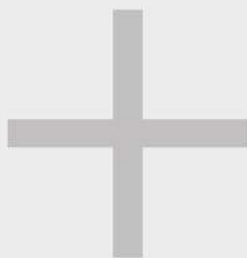
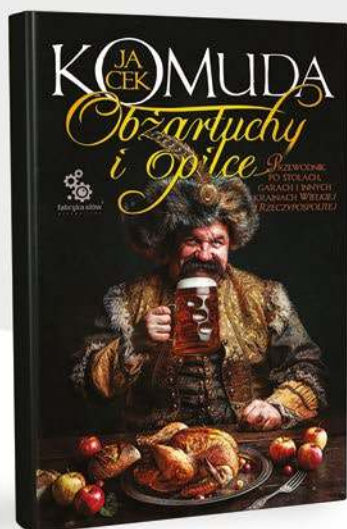
To są paranoiczne zasady językowe narzucone normalnym ludziom przez paranoików zarządzających Europą. A w tym czasie w USA administracja Trumpa wprowadza w życie „Doktrynę Zdrowego Rozsądku”. ©o

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA:

„OBŻARTUCHY I OPILCE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~601~~zł

273,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 328zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a2d4d28e41

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SZLACHTA – PRAWDA VS MITY

Jacek Komuda o dumie Rzeczypospolitej – Stan szlachecki stworzył podstawy współczesnej kultury polskiej. Czy mamy herby czy nie – wszyscy jesteśmy duchowymi potomkami obywateli, którzy założyli dawną Rzeczpospolitą

Białe imperium z Medellin – Zabójstwo polityczne, które właśnie wstrząsnęło Kolumbią, przypomniało jej obywatelom o terrorze, który lata temu rozpełtał w ich ojczyźnie Pablo Escobar

„Trupie główki” idą w ogień – Dywizja SS-Totenkopf uchodziła za najbardziej fanatyczną i zarazem najlepszą jednostkę w niemieckich siłach zbrojnych

Błyskawice i „jajka” – Żołnierze AK walczący w Warszawie dokonywali prawdziwych cudów, by zdobyć uzbrojenie i naboje. Czasem, na skutek niemieckich błędów, w ich ręce wpadały prawdziwe „skarby”

Rzeki krwi i atramentu – Zdobycie przez Mongołów Bagdadu było największą tragedią w dziejach islamu

Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima – Po aferze z „Konduktem” Salon wyklął Bohdana Drozdowskiego. Odtąd jego książki z rzadka doczekiwały się recenzji, milczano nawet o tych tytułach, które osiągały sukces czytelniczy

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**